

# *Collins Nancy A.*

## *Wampy*

*Witajcie w nocnej szkole... dla najlepszych z nieśmiertelnych.*

*Kiedy zachodzi słońce, dziewczęta z prawdziwej nowojorskiej elity kierują się do Bathory Academy, gdzie młode damy z najlepszych wampirzych rodów uczą się, jak zmieniać postać i wabić swoje ofiary.*

*Lilith, niekwestionowana królowa szkoły, doskonale wie, czego chce od życia: zachować wieczną urodę i co noc bawić się do świtu ze swoim niesamowitym chłopakiem. I nie życzy sobie, by ktoś jej w tym przeszkadzał.*

*Ale pojawia się Cally. Pierwsze spotkanie obu dziewczyn kończy się tragicznie i Lilith zaczyna łaknąć zemsty...*

*Zdumiewające, jak powszechne bywa złudzenie, że piękno jest dobrem.*

**Lew Tołstoj**

## ROZDZIAŁ 1

Bruno, wysadź mnie tutaj - odezwała się Lilith Todd, wsuwając szpilkę Christiana Louboutina na prawą stopę.

Szofer obejrzał się przez ramię. Prowadził klasycznego rollsa Szóstą Aleją. Bruno woził rodzinę Toddów jeszcze w czasach brukowanych ulic i czterokonnych powozów. Przedtem był oficerem w jakiejś europejskiej armii.

- Na pewno, panno Lilith? Jeśli panienka chce, objadę ten kwartał ulic jeszcze raz - zaproponował.

Lilith sprawdziła, czy zamek szmaragdowozielonej sukienki bez pleców Diora jest zapięty w talii, i zerknęła na zegarek firmy Patek Philippe. Ucieszyła się w duchu, widząc, że pobiła swój rekord przebierania się ze szkolnego mundurka

w imprezowe ciuchy na tylnym siedzeniu limuzyny-

— Powiedziałam: teraz, Bruno.

— Tak, panienko Lilith.

Kiedy szofer zahamował przed klubem, w części parkingowej dla samochodów, młody człowiek ubrany w charakterystyczny dla Dzwonnicy strój - czarne designerskie dżinsy, T-shirt i marynarka smokingu - podskoczył otworzyć drzwi limuzyny.

Kiedyś Dzwonnica była episkopalnym kościołem, ufundowanym przez nowojorskie reki finansjery. Ponad sto dwadzieścia pięć lat później bogaci i sławni nadal przechodzili przez te ozdobne podwójne drzwi, tyle że teraz zjawiali się tu, żeby napić ciało, nie troszcząc się o ducha.

Chociaż było już po drugiej nad ranem, przed klubem kręciło się sporo chętnych do wejścia; szeptali między sobą i spoglądali na muskularnych bramkarzy pilnujących drzwi klubu. Kiedy Lilith postawiła na chodniku kształną stopę, tłum kłębiący się po niewłaściwej stronie aksamitnego sznura zaczął się jej przyglądać, spragniony każdego przeblysku blasku i sławy, nieważne jak ulotnego.

Lilith uniosła dumnie głowę i powoli zaczęła się wspinać po schodach. Jej długie miodowo-blond włosy opadające na plecy przypominały

welon panny młodej. Jedna z tych lasek, które na Manhattan muszą się dostawać przez most albo tunel, szturchnęła koleżankę i pokazała palcem mijającą je niedbałym krokiem Lilith.

- Patrz! Kolejna sława! Czy to nie ta...? - Chyba nie - odparła koleżanka, mrużąc oczy jak jubiler, który próbuje odróżnić szlachetny klejnot od tombaku. - Za młoda. Ale jestem pewna, że jest znana. Albo bogata. Albo i jedno, i drugie. Lilith zakryła usta dłonią, żeby nikt nie widział jej uśmiechu. Och, była bogata i znana. Tylko w inny sposób, niż się tym małolatom wydawało. Kiedy stanęła przed wejściem do klubu, jakiś nowy ochroniarz zablokował jej drogę umięśnionym ramieniem. - Wyglądasz całkiem, całkiem - powiedział, mierząc wzrokiem jej smukłą sylwetkę. - Ale muszę zobaczyć dowód tożsamości. Nagle podbiegł parkingowy i postukał bramkarza w ramię. Mięśniak pochylił głowę, żeby usłyszeć chłopaka. Lilith uśmiechnęła się, widząc w jego oczach błysk paniki. - Przepraszam, moja pomyłka - wymamrotał ochroniarz, odsłaniając znacząco szyję dla okazania szacunku i schodząc jej z drogi. - Życzę udanego wieczoru, panno Todd.

Lilith przeszła przez oświetlone drzwi i skierowała się w stronę głównego parkietu, który zajmował dawną nawę świątyni.

Dziewczyna podniosła wzrok na budkę didżeja wzniesioną w miejscu po ambonie i pomachała ręką chłopakowi puszczającemu ogłuszającą muzykę.

Zauważyła Sebastiana, kierownika klubu i zarazem szefa salonu dla VIP-ów, znajdującego się na pierwszym piętrze. Podbiegł do niej tak szybko, jak tylko pozwalały mu na to błękitne skórzane buty, robione na zamówienie. Jak zwykle na jej widok zrobił zachwyconą minę.

- Lilith! Kochanie! Wyglądasz cudownie! Tak bardzo się cieszę, że cię widzę! - przekrzykiwał muzykę dudniącą z klubowych głośników.

- Witaj, Seb! - krzyknęła. - Reszta tu jest?

- Jules przyjechał przed chwilą. Idź na Chór, twoja ulubiona mieszanka jest już podgrzana.

- Jesteś niezastąpiony, Seb - westchnęła i pocałowała powietrze po obu stronach jego chudych policzków.

- Jestem pewny że mówisz to każdemu zabójczo przystojnemu kierownikowi, który pozwala ci pić za darmo. - Mrugnął do niej.

Kiedy weszła na dawny kościelny chór, w którym teraz mieścił się salonik dla VIP-ów, dostrzegła Julesa de Laval, wyciągniętego na jednej z

niskich sof. Miał na sobie koszulkę polo Armaniego z rękawkami podwiniętymi tak wysoko, że odsłaniały sprężyste bicepsy. Właśnie rozmawiał z Tanith Graves, jedną z jej najlepszych przyjaciółek. Z potarganymi rudobłond włosami do kołnierzyka, zielonymi oczami, idealnie prostym nosem i mocną szczęką, wyglądał jak gwiazdor filmowy i uwielbiał się tak zachowywać.

Tanith i Lilith lubiły uchodzić za siostry, a skoro obie miały jasne włosy, owalne twarze, brązową opaleniznę i podobnie się ubierały, łatwo było ludziom to wmówić.

Obok Tanith siedział jej chłopak, Sergei Sava-novic, jeden z kumpli Julesa z Ruthvenu. Dzięki ciemnym włosom do ramion, czarnym oczom i upodobaniom do półgolfów oraz skórzanych spodni przypominał rosyjskiego poetę, ale w rzeczywistości pochodził z Serbii. Zresztą zawsze to podkreślał, jeżeli ktoś o to zapytał.

Carmen Duivel i Oliver Drake również leżeli na sofie. Lalkowata buzia i miedziane loczki Carmen idealnie współgrały z ciemnobłond włosami i chłopięcą urodą Olivera. Jak większość wampi-rzych par, tak i oni spotykali się tylko dlatego, że wiedzieli, że fajnie razem wyglądają.

— No i przyszła! — zawołał z uśmiechem Jules i wstał. - A już zaczynałem myśleć, że nauczycielka zatrzymała cię po lekcjach.

— Dzięki Założycielom! Dziś jest czwartek  
- roześmiała się Lilith, kiedy się objęli. - Nie wiem, jak skrzepy mogą  
chodzić do szkoły pięć dni w tygodniu! - Zerknęła szybko na salę i  
pocałowała Julesa w policzek. — Na kogo jeszcze czekamy?  
— Na Melinę - odparła Carmen.  
— Wielka mi niespodzianka — zauważyła Lilith, przewracając  
oczami. — Przecież ona zawsze się spóźnia.  
— I kto to mówi? Ty też nie jesteś punktualna  
— skarcił ją Jules.  
— Tak, skarbie, ale ja robię to specjalnie. To różnica. Ominęły mnie  
jakieś plotki?  
— Ollie wspomniał, że załatwił wejściówki na zamkniętą imprezę  
Victoria's Secret - powiedziała Carmen z ożywieniem.  
— Jeden ze zniewoleńców mojego ojca jest rzecznikiem  
reklamowym firmy — wyjaśnił spokojnie Oliver.  
— Victoria's Secret? Tylko nie to... - Lilith pogardliwie pociągnęła  
nosem.  
— Tak, wcale nie byłam taka pewna, czy mam ochotę iść - dodała  
Carmen, nagle tracąc entuzjazm. — Sama nie wiem, co mi odbiło.  
— Idę po drinka. Muszę się pozbyć z ust posmaku szkoły -  
stwierdziła Lilith. - Tylko nie



plotkujcie, jak mnie nie będzie. I tak potem będziecie musieli wszystko powtórzyć.

Kiedy szła w stronę baru zrobionego z fragmentów dawnych kościelnych organów, zauważyła, że barman sięgnął pod kontuar.

— To co zwykle? — spytał.

— Oczywiście.

— Bardzo proszę. - Podał jej kieliszek wypełniony po brzegi czymś, co można byłoby wziąć za bordo.

Lilith powąchała napój, uśmiechnęła się i z aprobatą skinęła głową.

Kiedy dołączyła do przyjaciół, zobaczyła, że pojawiła się już Melinda. Z bladozielonymi oczami, skórą barwy cafe au lait i włosami zaplecionymi w mnóstwo warkoczyków córka Antona Mauvais'a była fascynująco piękna. I stała zbyt blisko Julesa.

— Miło, że wreszcie się zjawiaś, Melly. — Lilith wśliznęła się między tych dwoje. Melinda się cofnęła.

— Musiałam pojechać do domu, żeby się przebrać - wyjaśniła Melinda. - Inaczej byłabym tu wcześniej.

— Co pijesz, Liii? - spytał Sergei.

— AB Rh minus w temperaturze ciała z odrobiną anlykoagulantu, dokładnie tak jak lubię.

- Mniam.

- No i... Jak było w szkole? — spytał Jules.

- Uch! Proszę, nie przypominaj mi! - Lilith się skrzywiła. - Minął dopiero tydzień, a już totalna padaka.

- Nie miałem pojęcia, że padaka to miara czasu. — Jules zachichotał.

- Przymknij się! - Lilith poklepała go po nodze. - Wiesz, o co mi chodzi? W każdym razie miałam nadzieję, że zaczną nas w tym roku traktować jak dorosłych, a nie jak bezbronne pisklęta. Ze zorganizują nam małe polowanko, no wiecie... I nic z tego! A przecież już z palcem w nosie mogłabym złowić każdego skrzepa w tym klubie.

— Napila się i zmysłowo oblizła usta.

- Jeśli masz ochotę, możemy wybrać się na slumsowanie - podsunęła Tanith. - W tym mieście dniem i nocą można trafić na całe mnóstwo dilerów. Nikt nie zauważy ani się nie przejmie, jeśli któremuś coś się stanie.

- Fajne miejsce jest przy placu Waszyngtona

— zasugerował Jules bezceremonialnie, mrugając okiem do koleżanki.

Tanith uniosła brew, ale zadbała o to, żeby Lilith nie dostrzegła wyrazu jej twarzy. Wszystkie przyjaciółki Lilith wiedziały, że na zaczepki Julesa lepiej nie reagować, nawet żartobliwie.

— Naprawdę? No to jedźmy! — rzuciła Lilith, ignorując zachowanie Julesa.

Małżeństwo między Lilith Todd a Julesem de Lavalem zostało zaaranżowane przez ich rodziny, kiedy oboje byli małymi dziećmi. Uważano je za idealne połączenie władzy Starego Świata z bogactwem Nowego Świata.

Lawalowie należeli do najstarszej arystokracji w mieście, a ich dziedzictwo krwi sięgało jeszcze czasów sprzed panowania Chlodwiga Pierwszego. Ojciec Julesa, hrabia de Laval, nadal był właścicielem sporych posiadłości ziemskich w ojczyściej Francji. Natomiast rodzice Lilith po przyjeździe do Ameryki i zmianie rodowego nazwiska z Todesking na Todd nie rościli sobie pretensji do arystokratycznego pochodzenia. Byli jednak bogatsi od króla Midasa. Aranżując kontrakt małżeński z Lavalami, pan Todd gwarantował swojej ukochanej córce, że kiedy dorośnie, stanie się prawdziwą księżniczką, a przynajmniej hrabiną. Natomiast Lawalowie zapewniali sobie stały dopływ pieniędzy niezbędnych do utrzymania licznych zamków, pałaców i dworów. Oczywiście układ między rodzinami nie powstrzymywał oczu Julesa — ani innych części jego ciała — przed regularnym łamaniem tego paktu.

— Może zrobimy to w ten weekend? — Wzruszył ramionami. — Jeśli nie będzie wam przeszkadzało, że pójdzie z nami jeszcze parę osób.

— Ja zawsze chętnie imprezuję — westchnęła Lilith i przytuliła się do niego.

Nagle rozległ się brzęczyk i Jules wyciągnął komórkę.

— To tata — stwierdził, marszcząc brwi. — Lepiej już pójde.

Lilith próbowała tak stanąć, żeby zerknąć na wyświetlacz i sprawdzić, kto do niego dzwonił, ale Jules zdążył już schować komórkę.

— Od kiedy to lecisz do domu po telefonie taty? — spytała.

— Odkąd zawałem ostatni test z alchemii — odparł kwaśno. — Stary zagroził, że nie pozwoli mi jechać do Vail, jeśli po szkole nie będę się uczył przynajmniej dwie godziny.

— No to do jutra wieczorem, tak?

— Jasne — odparł Jules. Pochylił się, żeby ją pocałować na pożegnanie, a Lilith wspięła się na palce. Przyciągnął ją do siebie i wsunął język w jej spragnione i chętne usta. Po długim, nieśpiesznym pocałunku spojrzal jej w oczy i seksownie się do niej uśmiechnął. To zawsze działało. — Muszę spadać, mała. Zadzwoń do mnie, kiedy wstaniesz.

Lilith patrzyła za wychodzącym Julesem. Chociaż Chór był zatłoczony, wszyscy rozstępowali się przed nim, nie musiał się nawet odzywać. Zastanawiała się, czy naprawdę wraca do domu, czy to była tylko zwyczajna wymówka, żeby spotkać się z kimś innym. Będzie miał mnóstwo możliwości na unikanie jej towarzystwa, kiedy już się pobiorą... Ale do tego czasu chciała mieć go wyłącznie dla siebie. Już sama myśl, że robił to z inną dziewczyną, wywoływała u Lilith atak zazdrości.

Spojrzała na swoje dłonie i zobaczyła, że zaciska je w pięści.

— Na chwilę was przeproszę, dobrze? — powiedziała. — Muszę poprawić makijaż.

Damska łazienka przy saloniku dla VIP-ów była zdecydowanie mniejsza niż ta na dole. Znajdowały się w niej tylko dwie kabiny i nie było żadnego lustra nad umywalką. Lilith zlustrowała pomieszczenie, sprawdzając, czy spod drzwi kabin nie widać czyichś stóp. Pewna, że jest sama, opuściła klapę sedesu, żeby na nim usiąść. Ręce jej drżały, kiedy przesuwała zasuwę na drzwiach kabiny. Torebkę Prądy postawiła między nogami i sięgnęła do środka, a jej palce nerwowo szukały kieszonki zamkniętej na suwak, gdzie trzymała

nielegalny towar. Nikt o nim nie wiedział; ani rodzice, ani Tanith, ani nawet Jules.

Potrzebowała tylko odrobiny dla wzmocnienia. Tylko odrobiny, żeby się uspokoić i przywrócić trochę pewności siebie. Wszyscy myśleli, że dla niej wszystko jest takie proste. Ale odgrywane przez nią role idealnej córki, idealnej przyjaciółki, idealnej uczennicy i idealnej dziewczyny stanowiły spory wysiłek.

To jej się należało.

Wyciągnęła z torby szylkretową puderniczkę i uśmiechając się, otworzyła wieczko, a potem zajrzała do środka.

Małe, okrągłe lustro.

Lilith wpatrywała się we własne odbicie, przekręcając lustro to w jedną, to w drugą stronę, żeby do woli napatrzeć się na siebie.

Przez całe życie powtarzano jej, że jest piękna. Matka tak twierdziła.

Ojciec ciągle to powtarzał. Jules tak mówił. A nawet Tanith. Kiedy podrosła, dawali jej to odczuć i inni — nie słowami, ale spojrzeniami. I chociaż miała tylko szesnaście lat, przywykła już do zachwyty, którym obdarzali ją obcy ludzie. Ale to wszystko nie miało znaczenia, ponieważ najważniejsza była możliwość przekonania się o tym na własne oczy.

Jednak ulgę, którą przynosiło jej to małe cacko, musiała okupić ogromnym stresem. Gdyby

kiedykolwiek przyłapano ją z tym lusterkiem, wyrzucono by ją ze szkoły i postawiono przed obliczem Synodu, rady sprawującej władzę i dbającej, żeby przestrzegano starożytnych praw jej ludu. Lilith przyjrzała się swojej fryzurze i makijażowi, sprawdzając, czy wygląda dobrze, a potem zamknęła puderniczkę. Kiedy chowała lustro w sekretnej kieszonce, dłońe znów miała pewne i była spokojna. Zanim wyszła z kabiny, spuściła wodę w toalecie, w razie gdyby ktoś w tym czasie wszedł do łazienki. Najważniejsze były pozory.

Znów była sobą: Lilith Todd, amerykańską wampirzą księżniczką.

- Gdzie byłaś tyle czasu? - spytała Melinda, kiedy Lilith dołączyła do grupy.

- Nudzę się. Chcesz zejść na dół? - Lilith zignorowała pytanie, dopijając drinka.

- Jasne. — Tanith wzruszyła ramionami. — Sergei nie cierpi tańczyć, niestety.

- Najlepiej poruszam się w sypialni. - Sergei uśmiechnął się znacząco. - Zostanę tutaj i trochę się napiję, jeśli nie masz nic przeciwko.

- Ja też. - Oliver uniósł wysoko szklankę na potwierdzenie swoich słów.

- Chodź. - Lilith pociągnęła Tanith za rękę. - Zatańczymy. -

Obejrzała się na Carmen i Melinę. — Idzicie?

Carmen i Melinda wymieniły spojrzenia, poderwały się i bez słowa ruszyły za przyjaciółkami.

Chociaż parkiet był zatłoczony, Lilith i jej świta już po chwili tańczyły na samym środku sali. Śmiały się i chichotały. Nagle Lilith zorientowała się, że ktoś ją obserwuje. Obejrzała się i zobaczyła mężczyznę w wieku mniej więcej trzydziestu pięciu lat, który nie odrywał od niej wzroku.

Zwykle ignorowała skrzepów, którzy przychodzili do Dzwonnicy, ale dzisiaj było inaczej. Nudziła się, trochę wypila, a ponadto ten obcy jej się podobał. Może się zabawi? Pochwyciła spojrzenie faceta i leciuteńko skinęła głową.

Skrzep błysnął w uśmiechu zębami - efekt drogich zabiegów dentystycznych — i ruszył w jej stronę. Tanecznym krokiem wyszła mu na spotkanie, cały czas patrząc mu prosto w oczy.

Kiedy Tanith, Carmen i Melinda zobaczyły, co robi Lilith, ustawiły się między nimi a pozostałymi bywalcami klubu, oddzielając potencjalną ofiarę od reszty ludzi. Nadal tańczyły, a skrzep nawet nie zauważył, że jego partnerka powoli spycha go w stronę krawędzi parkietu.

Objął Lilith w tali, a oczy płonęły mu pożądaniem. Był w doskonałym humorze, najwyraźniej musiał zażyć jakieś chemiczne diabelstwo. Lilith z łatwością wysunęła się z jego ramion. Uśmiech--



nęła się, pogroziła mu palcem z udawanym wyrzutem, ale nadal nie odezwała się ani słowem. Zamiast tego skinęła głową w stronę pobliskiej toalety. Oczy zabłysły mu jeszcze mocniej.

Upewniwszy się, że droga wolna, Lilith szybko zaprowadziła nieszczęśnika do łazienki. Świta szła tuż za nią, a Tanith wtargnęła do środka pierwsza, żeby wszystkiego dopilnować. Natomiast Carmen i Melinda stanęły na straży przy drzwiach, zniechęcając intruzów.

Lilith wpatrywała się w skrzepa i popychała go w stronę środkowej kabiny, której drzwi stały otworem.

- Twoja koleżanka też jest zainteresowana? - spytał mężczyzna i zerknął w stronę Tanith, która stała za plecami Lilith, blokując mu drogę do ucieczki.

Lilith spojrzała przez ramię na przyjaciółkę. Dziewczyny uśmiechnęły się do siebie znacząco.

- Tak, ona też ma ochotę na kawałek ciebie. Lilith łagodnie pchnęła nieznanego do

środku kabiny. Facet stanął przed porcelanową muszlą.

- W sumie wszystkie mamy na ciebie ochotę. Mężczyzna uśmiechnął się od ucha do ucha,

poluzował krawat i usiadł na klapie od sedesu. Wpatrywał się w Lilith takim wzrokiem, jakby

się spełniła jego najskrytsza fantazja erotyczna. Cztery napalone laski, gotowe uprawiać z nim seks? Dlaczego miałby nie chcieć? Na efekty nie musiał długo czekać. Lilith rzuciła się na niego i obnażyła parę pięciocentymetrowych kłów, które zatopiła w jego odsłoniętej żyłce szyjnej. Skrzep ledwie zdążył wydać krótki, urywany okrzyk przerażenia, zanim neurotok-syny w jej ślinie rozeszły się po jego organizmie, paraliżując struny głosowe, a wkrótce całe ciało. Przewrócił tylko oczami, odsłaniając białka.

Chociaż Lilith od zawsze piła ludzką krew, zaledwie dwa, trzy razy w życiu miała okazję spróbować jej prosto z żyły. Kędy krew ofiary wypełniła usta, zdumiała ją swoim niesamowicie świeżym smakiem. Zaczęła ssać łapczywie szkarłatny płyn, drżąc z rozkoszy, a żywotna siła ofiary rozchodziła się po jej ciele.

- Hej, nie bądź samolubna. - Tanith uśmiechnęła się szeroko i klepnęła Lilith w ramię.

- Częstuj się — powiedziała Lilith, odsuwając się na bok, żeby ustąpić miejsca przyjaciółce.

Tanith uniosła bezwładną prawą rękę ofiary, odsunęła rękaw marynarki i wgryzła się w obnażony nadgarstek. Facet nie jęknął, nawet nie mrugnął okiem.

Lilith odwróciła wzrok od sceny rozgrywającej się w kabinie i spojrzała na swoje odbicie w lustrze

nad umywalką. Podeszła bliżej, zafascynowana widokiem własnych ust połyskujących wilgotną czerwienią, jakby pokryła je cienka warstwa szminki. Tanith wyszła z kabiny i otarła wargi kawałkiem papieru toaletowego, a do środka wsunęła się Carmen po swoją porcję wieczornej przyjemności.

Nagle tuż za drzwiami zrobiło się zamieszanie i do damskiej łazienki wpadł Sebastian. Przy uchu miał bezprzewodową słuchawkę, a na jego twarzy malował się niepokój.

- Co tu się dzieje, do diabła? Dostałem wiadomość, że ktoś blokuje wejście do damskiej toalety.

Lilith podeszła do niego, zasłaniając kabiny.

- Takie tam zabawy dziewczynek, wiesz. Nie ma się czym przejmować, Seb.

- Ale co wy tu wyprawiacie, dziewczyny? Łazienka przy saloniku dla VIP-ów jest zamknięta? - Sebastian zerknął na podłogę i oczy rozszerzyły się mu ze zdumienia. - Zaraz, momencik, to są męskie buty?

Ominął Lilith i szybkim szarpnięciem otworzył drzwi. Na podłodze leżał mężczyzna, porzucony niczym szmaciana lalka. Broda opadła mu na klatkę piersiową, a skórę miał niemal tak białą jak kafelki, którymi była wyłożona łazienka. Sebastian złapał nieszczęśnika za włosy i uniósł jego głowę, a potem pozwolił jej opaść.

— Co wyście narobiły?! - wrzasnął. — Znacie zasady. Żadnego popijania z gwinta w lokalu! A przynajmniej nie w czasie godzin klubowych!

— Słuchaj... Wyluzuj, dobra? — odparła Lilith, usiłując uspokoić kierownika. — Zawsze możesz umieścić go w piwniczce z pozostałymi, nie?

— Mam się wyluzować? — warknął Sebastian i pokazał kły z nieukrywaną złością. — Czy wiecie, kim on jest?!

Lilith i pozostałe dziewczyny popatrzyły po sobie i pokręciły głowami. Podekscytowane polowaniem, nawet nie spytały ofiary, jak się nazywa.

— Ten człowiek to bardzo ważna szycha w przemyśle muzycznym! On nie może ot, tak sobie zniknąć! A już na pewno w moim klubie!

— Sebastian chwycił nadgarstek skrzepa, sprawdzając, czy wyczuje puls. — Jeszcze żyje. Dzięki Założycielom, choć i za to.

— Może podrzucimy go do szpitala? — podsunęła Tanith.

— Z tymi wszystkimi śladami ukąszeń? — rzucił ostro Sebastian, wyraźnie zirytowany brakiem profesjonalizmu dziewcząt. —

Wygląda, jakby wylądował w dole pełnym żmij. — Dotknął palcem słuchawki Bluetooth i gniewnie krzyknął do mikrofonu: -Andre!

Natychmiast zamknij damską

łazienkę w kaplicy! Zadbaj, żeby nikt, absolutnie nikt tu nie wchodził. Nie wiem... Powiedz im, że kibel się zapchał.

- No i co teraz zrobimy? - spytała zaniepokojona Lilith. Jeszcze nigdy przedtem nie widziała, żeby Sebastian był aż tak wściekły, i zrobiło się jej nieswojo.

Chłopak westchnął ciężko i potarł skroń grzbietem dłoni, starając się opanować.

- Co się stało, to się nie odstanie. Jakoś to załatwię. Nie ma sensu się denerwować, jasne? Zajmę się naszym przyjacielem. Każę zrobić mu transfuzję. Jutro będzie się tylko czuć jak zbity pies. Znając tego palanta, uzna po prostu, że się świetnie bawił i że urwał mu się film. Ale wy musicie stąd zniknąć, i to na dłużej.

- Chcesz powiedzieć, że zabraniasz nam przychodzić do klubu?! - jęknęła Tanith.

- Och, daj spokój, Seb... Przesadzasz - odezwała się Melinda.

- Przesadzam?! - warknął Sebastian i zmroził je wzrokiem. - Nie możemy ściągać na siebie uwagi i ryzykować, że zainteresują się nami gliny. A już na pewno nie potrzebujemy w Dzwonnicy Van Helsingów.

- Ale jeśli zabronisz nam tu przychodzić, to gdzie spędzimy weekend? - Carmen wyduła wargi.

— Wszędzie, byle nie tu — zagroził Sebastian. — Jeśli o mnie chodzi, to możecie sobie imprezować nawet w piekle.

## Rozdział 2

Lilith głośno jęknęła, kuląc się pod pościelą z najdelikatniejszej egipskiej bawełny. Może jednak popijanie krwi naszprycowanej koką nie było takim dobrym pomysłem. Chociaż była nieśmiertelna i odporna prawie na wszystkie ludzkie choroby, to jednak narkotyki mogły przyprawić ją o ból głowy.

Przekręciła się na bok i mrużąc oczy, zerknęła na budzik stojący obok łóżka. Cyferki wskazywały trzecią po południu. Obiecała, że spotka się z Tanith przed piątą i pójdą na zakupy. Chociaż zwykle nie lubiła wychodzić przed zachodem słońca, była skłonna od czasu do czasu się poświęcić i wyskoczyć za dnia do Prądy albo Tiffanyego.

Przeciągnęła się, a jej zwinne, szczupłe ciało jeszcze przez chwilę rozkoszowało się dotykiem

prześcieradeł po tysiąc dwieście dolarów za sztukę. Usiadła i nacisnęła włącznik interkomu obok budzika.

— Tak, panienko Lilith? — odezwał się męski głos.

— Już nie śpię, Curtis — powiedziała. — Przyślij mi garderobianą.

— Tak jest, panienko.

Lilith odrzuciła pościel i opuściła nogi na podłogę. Siedziała na krawędzi łóżka, które należało do jej rodziny od czasów Ludwika XV. Wprawdzie umiała się ubierać sama, ale i tak potrzebowała Esmeraldy, która ją czesała i robiła makijaż. I będzie już zawsze jej pomagać.

Zanim przeszła do łazienki, sprawdziła jeszcze raz, czy zasłony w sypialni są dobrze zaciągnięte i nie przepuszczają popołudniowego słońca. Chociaż ona sama mogła się poruszać swobodnie w ciągu dnia bez żadnych nieprzyjemnych efektów ubocznych, nie dało się tego powiedzieć o nieumarłych służących jej rodzinie. Ostatnia rzecz, jakiej potrzebowała, to garderobiana, która nagle wybuchła ogniem, tuż przed jej wyjściem na zakupy.

Pewna, że pokój jest zacieniony, weszła do łazienki, w której było dodatkowe pomieszczenie z fotelem do zabiegów kosmetycznych i solarium.



Czekając, aż woda pod prysznicem zrobi się gorąca, Lilith zsunęła krótką jedwabną koszulkę i cisnęła ją w kąt łazienki. Wsunęła się pod silny strumień wody i przez chwilę rozkoszowała się jej dotykiem. Następnie powoli namydliła całe ciało pachnącym żelem, który przygotowywał specjalnie dla jej rodziny osobisty perfumiarz. Kiedy wyszła spod prysznicza, usłyszała ciche pukanie do drzwi.

- Czy panienka jest już gotowa? - zapytała garderobiana, otwierając drzwi łazienki na tyle szeroko, żeby wsunąć głowę do środka.

Esmeralda wyglądała na trzydziestoparolet-nią kobietę. Oliwkowa cera, czarne jak noc oczy i długie, gęste włosy związane złotą opaską w kucyk. Lilith nigdy jej o to nie pytała, ale domyślała się, że kobieta, zanim została nieumarłą, była Cyganką.

- Przygotuj wszystko, Ezzie — poleciła Lilith. — A ja się ubiorę.

- Jak sobie panienka życzy - odparła garderobiana i zeszła jej z drogi. Lilith przeszła wyprostowana obok służącej. Dopiero wtedy kobieta weszła do środka, ciągnąc za sobą czarną, chromowaną walizeczkę na kółkach z przyborami do makijażu.

Lilith otworzyła drzwi do garderoby. Z górnej szuflady antycznej wiśniowej komody na bieliznę

wyjęła czerwono-różowe jedwabne majteczki La Perłą i stanik z fiszbinami do kompletu. Z niesmakiem popatrzyła na szkolne mundurki wiszące osobno, zupełnie jakby mogły skazić resztę jej ubrań. Po kwadransie zdecydowała się wreszcie na różową bluzkę Marca Jacobsa i spódnicę Chloe w kwieciste wzory. Może dziś kupi sobie coś nowego?

Wróciła do łazienki. Esmeralda zdążyła już rozłożyć pędzle do makijażu. Kasetka z kosmetykami była otwarta. Rozsuwała się jak płatki egzotycznego kwiatu otwierającego się nocą. W środku kryły się niezliczone słoiczki, tubki, sztyfty i tacki, niezbędne w jej zawodzie.

Kiedy Lilith wskoczyła na fotel kosmetyczny, jej wzrok odruchowo powędrował w stronę, gdzie powinno się znajdować lustro od toaletki. Gdyby była chociaż zwyczajną dziewczyną, jak te, które mieszkają w tym apartamentowcu.

— Dlaczego nie mogę mieć chociaż jednego lustra, Ezzie?

— Bo to zabronione — odparła Esmeralda znużonym tonem, starannie nakładając podkład firmy Sisley na twarz swojej pani.

— Wiem, ale to nie w porządku. Przecież mam jeszcze odbicie.

Dlaczego jestem karana za to, że wszyscy inni wkoło mnie są już tak starzy, że nie mogą się przeglądać w lustrach?

— To prawda, panienka ma jeszcze odbicie - stwierdziła Esmeralda, nie przerywając pracy. - Ale już niedługo. Kiedy panienka na dobre przekształci się z pisklęcia w dorosłą, przestanie widzieć swoje odbicie. A Synod zabronił posiadania luster.

Lilith wiedziała o tym i nie zamierzała się spierać. Zdecydowała się zmienić temat.

- Zerknął na te pisma, które ci dałam?

- Tak, obejrzałam je - westchnęła garderobiana.

Esmeralda była kiedyś kosmetyczką kochanicy pewnego francuskiego króla i złościła się, kiedy Lilith podrykała jej pod nos najnowsze włoskie „Vogue” czy „W”. Oczywiście Esmeralda dobrze się wywiązywała z pracy, ale Lilith po prostu chciała wyglądać modnie, i tyle. W szkole uczono ich przecież, że trzeba nadążać za trendami w modzie i dbać o swój wizerunek. Bo przy braku ostrożności mogła wyglądać jak matka Carmen, która nadal ubierała się jak gwiazda filmowa z lat czterdziestych XX wieku.

— Myślisz, że możesz mnie do niej upodobnić? - zapytała Lilith, wskazując na zdjęcie jakiejś celebrytki spacerującej po czerwonym dywanie.

Esmeralda uśmiechnęła się złośliwie do Lilith.

- Phil! Panienka będzie wyglądać autentyczniej niż ta gwiazdka. Lilith miała ochotę zachichotać, ale wiedziała, że nie może się poruszyć. Esmeralda musiała dokończyć dzieła. Przecież to bardzo ważne, żeby pokazać się światu jako istota bardziej ludzka niż zwykły człowiek.

— Witam, panno Todd — powiedział odźwierny, otwierając przed Lilith wykończone mosiądzem drzwi apartamentowca Balmoral. — Widzę, że wcześniej pani dziś wychodzi.

Lilith skinęła mu tylko głową. Nie zamierzała odpowiadać temu ludzkiemu zniewoleńcowi. Chociaż większość mieszkańców dzielących tę kamienicę przy Park Avenue nie miała zielonego pojęcia o prawdziwej naturze lokatorów apartamentu na ostatnim piętrze, to wszyscy pracownicy obsługi byli na usługach jej ojca. Rolls stał tam gdzie zwykle. Szofer, który jeździł za dnia, siedział za kółkiem. Zawsze gotowy, żeby zabrać Lilith tam, gdzie sobie tylko zażyczy. Teraz wyszedł z samochodu i z szacunkiem dotknął daszka czapki, kiedy podchodziła. Otworzył szarmancko drzwi limuzyny. Kiedy już się wygodnie rozsiadła, sięgnęła do torby, szukając iPhone'a. Włączyła go. Po chwili

usłyszała dwa piknięcia, co oznaczało, że otrzymała wiadomości. Pierwsza była od Tanith, która pytała, czy Lilith też ma gigantycznego kaca. Drugą dostała od Carmen. Koleżanka chciała wiedzieć, czy wybiera się do Dolce & Gabbany. Prędko odpisała:

„Tak” na oba SMS-y, a potem nacisnęła klawisz szybkiego wybierania i zaczęła liczyć dzwonki. Jules odebrał przy trzecim.

- Zastanawiałem się, kiedy zadzwonisz -powiedział zaspanym głosem. - Zaczynałem już myśleć, że Van Helsingowie porwali cię w drodze do domu.

- Niestety, nie - roześmiała się Lilith. - Obudziłam cię?

- Właściwie to nie - odparł, tłumiąc ziewnięcie. - Tylko jakoś dobrze mi się leży w łóżku.

- Mam nadzieję, że sam.

- Chcesz się spotkać w Dzwonnicy? - podsunął.

Lilith usiłowała nie zwracać uwagi na to, że się nie roześmiał razem z nią ani nawet nie zareagował na jej słowa.

Już nieraz klócili się na temat jej zazdrości. Podczas ostatniej kłótni wykrzyczał, że jeśli jeszcze raz oskarży go o zdradę, to naprawdę to zrobi.

Zamiast tego powiedziała:

— To długa historia, ale tymczasowo nie wolno mi się pojawiać w klubie.

— Co takiego?! — Jules nagle się dobudził. — Lilith... — zaczął żartować... — mów, co narozrabiałaś.

— Nic się nie stało. Seb histeryzuje. Wiesz, jaki on jest. Za parę dni o wszystkim zapomni.

— Tak, ale gdzie teraz będziemy się bawić?

— Możemy iść na slumsowanie do Village.

— Rzeczywiście, czemu nie.

— Dobra, dojechałam. Muszę lecieć! Do zobaczenia później?

— Na razie.

Lilith schowała telefon, bo rolls zatrzymał się pod butikiem D&G na rogu Madison i Sześćdziesiątej Dziewiątej. Upewniła się, że wielkie słoneczne okulary Fendi pewnie siedzą na jej nosie, i dopiero wtedy wysiadła z limuzyny. Chociaż mogła wychodzić na światło dzienne i nie musiała się obawiać, że się zamieni w skwierczącą kielbasę, bezpośrednio promienie słońca nadal raziły ją w oczy.

— Prześlę ci wiadomość, kiedy będę wychodzić — rzuciła do szofera z dziennej zmiany.

Lilith uwielbiała chodzić do Dolce & Gab-bany. Wszystko w tym miejscu, począwszy od

kryształowej klamki u drzwi, a skończywszy na złoceniach sufitu i poduszkach porozkładanych na kanapach, które stały w pokojach do przymiarek, olśniewało wystawnością. A poza tym ciuchy dawały trochę wytchnienia od obrzydliwego mundurka, który nosiła do szkoły.

Kiedy Lilith weszła do butik, dwie klientki przystanąły i się jej przyjrzały, a potem zaczęły między sobą szeptać z ożywieniem, zakrywając dłońmi usta. Po ich minach Lilith poznała, że wzięły ją przez pomyłkę za jedną z tych oszałamiających celebrytek, dzięki którym obaj projektanci byli tak popularni.

Przeglądając zawartość półki z perfumami, Lilith zauważyła brodatego mężczyznę po trzydziestce. Otwarcie się na nią gapił. Chociaż była przyzwyczajona do tego, że starsi faceci się do niej ślinią, w jego spojrzeniu kryło się coś innego.

Lilith spojrzała na niego.

— Może zrobisz sobie zdjęcie? — warknęła. — Starczy ci na dłużej. W przeciwieństwie do większości sprośnych staruchów, którzy wlepiali w nią oczy, ten nie odwrócił się pośpiesznie, tylko uśmiechnął się do niej.

— Może któregoś dnia zrobię — powiedział, kładąc na szklanym kontuarze wizytówkę napisem

do dołu i skierował się do wyjścia. — Miłych zakupów, moja droga. Lilith chwyciła wizytówkę i ją odwróciła. Na drugiej stronie wydrukowano wypukłymi literami słowa: „Kristof: fotograf” i numer telefonu. Wsunęła ją do torebki z dreszczem ożywienia. — Liii!

Lilith uniosła wzrok i zobaczyła Tanith, która do niej szła po wypolerowanej do połysku mozaice. Przyjaciółka ubrała się w wiśniową sukienkę od Gucciego i srebrne buty na platformach, a na nosie miała okulary Prądy.

— Zaczynałam się już martwić, że o mnie zapomniałaś! — poskarżyła się Tanith, kiedy się uściśniły i cmoknęły na odległość w policzki.

— Jakby to było możliwe! — Lilith zachichotała, wsuwając dłoń pod łokieć koleżanki. — No i? Udało ci się już coś wybrać?

— Odłożyłam na bok lawendową sukienkę, ale chcę, żebyś przy tym była, kiedy będę ją mierzyć. Aha, i widziałam taką koktajlową w kolorze pawiego błękitu, na tobie wyglądałaby idealnie! Jest superkrótka.

— No i co ja bym bez ciebie zrobiła? — westchnęła Lilith.

— Hej, od tego są przyjaciółki, nie? — odparła Tanith.



— Dziwnie się czuję, kiedy myślę, że za parę lat nie będziemy mogli tego robić — stwierdziła Lilith ze smutkiem.

— Czego? Kupować ciuchów? — Tanith zmarszczyła brwi.

— Nie — odparła Lilith. — Chodzi mi o to. — Po-stukała w lustro w przymierzalni, uważając, żeby nie uszkodzić jego powierzchni.

Pomalowane na perłowy kolor paznokcie Lilith, jak u wszystkich wampirów, były niezwykle twarde, niczym szpony. — Jak skończymy dwadzieścia pięć lat, nie będziemy już widziały swojego odbicia w lustrze. I nikt inny też go nie zobaczy! A to znaczy, żadnych zakupów w takich miejscach jak to, przecież wiesz.

— Tak, koszmar — przyznała Tanith. — Ale spróbuj o tym nie myśleć. Nie ma sensu zastanawiać się nad czymś, czego nie możesz zmienić. Ja i tak rzadko patrzę w lustro. Poza tym zawsze są takie sklepy jak Siostra Północy. Poza tym ciesz się tym, co masz, póki jeszcze możesz! — Roześmiała się ironicznie.

— Tak, chyba masz rację. — Lilith uśmiechnęła się słabo.

Tanith spojrzała na nią z zaciekawieniem.

— Liii, jesteś przygnębiona. Wszystko dobrze z tobą i Julesem?

— Wszystko dobrze — odparła Lilith, lekceważąco machając dłonią. — Ciagle chyba czuję się źle po wczorajszym.

— Ja też! Czym się naćpał ten gość? — Tanith pokręciła głową.

— A tak przy okazji, dogadujecie się z Ser-geiem?

— Jest miły, ale tylko się wyglupiamy. Jest obiecany jakiejś dziewczynie ze Starego Kontynentu, nigdy jej nie widział na oczy. Ale jest bardzo seksowny. — Tanith włożyła lawendową koktajlową sukienkę z surowego jedwabiu. — Jak wyglądam?

— Ten kolor do ciebie pasuje — powiedziała Lilith, zdejmując ubranie i wkładając niebieską sukienkę. — Nie wiedziałam, że Sergei jest już obiecany. Szkoda. Taka śliczna z was para. — Przesunęła dłońmi po płaskim brzuchu i biodrach, obracając się to w jedną, to w drugą stronę. Podziwiała głęboki dekolt sukienki. — Miałś rację, wyglądam w niej idealnie.

— Potrzebujesz jeszcze tylko seksownych szpilek i gotowe — stwierdziła Tanith. — Masz szczęście. Ty i Jules macie okazję się poznać, zanim zostaniecie związani. A Sergei nawet nie wie, czy ta dziewczyna, której jest obiecany, nie wygląda jak któryś z Orlocków.

Lilith nie mogła się powstrzymać od śmiechu. Zakryła dłonią usta.  
- Tanith, nie powinnaś mówić takich rzeczy! - skarciła koleżankę z żartobliwą dezaprobatą. - Wiesz, że Exo to kuzyn Julesa!

Xander Orlock, znany wśród rodziny i przyjaciół jako Exo, to cioteczny brat Julesa. A matka Exo, Juliana, była młodszą, piękną siostrą ojca Julesa i drugą żoną hrabiego Borisa Orlocka, patriarchy jednego z najstarszych i najpotężniejszych rodów na świecie.

Orlockowie cieszyli się złą sławą, ponieważ kojarzyli związki między sobą, żeby zachować linię krwi, która sięgała, bez żadnych domieszek, czasów Urloka, jednego z trzynastu Założycieli.

Wydanie Juliany za Orlocka było dla de Lava-lów niezwykle korzystne, chociaż hrabia w wyniku tych wszystkich krzyżówek był straszliwie brzydki.

- Exo wcale nie jest taki tragiczny, trochę przypomina Spocka - zachichotała Tanith, wzruszając ramionami. - Myślałam raczej o jego ojcu albo o starszym bracie.

- Brr... - Lilith udała, że się otrząsa. - Nie wspominaj mi o nim! Na samą myśl o Klausie robi mi się zimno. Cieszę się, że Orlockowie będą ze mną spokrewnieni wyłącznie przez małżeństwo, nie przez więzy krwi.

Kiedy wróciły do buszowania między wieszakami, zobaczyły Melinę idącą w ich stronę w towarzystwie Carmen.

— Na zakupy!

Mniej więcej kwadrans po zamknięciu przyjaciółki skończyły przebierać i wybierać. Dzięki platynowym kartom kredytowym mogły przebywać w butikach nawet po zamknięciu. Zachodzące słońce połyskiwało na firmowych torbach ze złotej folii, kiedy wyszły na chodnik przed sklepem.

— Co teraz? — spytała Melinda.

— Mogłybyśmy wrócić na kilka drinków do mnie - zaproponowała Tanith. — Rodzice wyjeżdżają dzisiaj wieczorem do Brazylii.

— Świetny pomysł! - Lilith uśmiechnęła się szeroko.

Melinda dodała:

— A może się przejdziemy?

— Czemu nie — zgodziła się Lilith. — Wyślę kierowcę do domu i zadzwonię do Julesa. Może również wpadnie z chłopakami do Tanith. A potem całą paczką pojedziemy do Village. Ale będzie fajnie!

Dziewczyny gadały jedna przez drugą, spacerując w zapadającym zmierzchu. Kiedy mijaly wspaniałe sklepy przy Madison Avenue, przechodnie odwracali się za nimi, żeby popatrzeć, jak idą. Lilith i jej przyjaciółki udawały, że nie widzą, jakie wywołują wrażenie.

Niektórym wydawało się, że te cztery młode kobiety modnie ubrane są modelkami albo hollywoodzkimi gwiazdkami. Inni spoglądali pożądliwie. Ale znaleźli się i tacy, którzy znali prawdę skrywaną za maską obojętności i nie mogli odwrócić wzroku, jak ptaki zahipnotyzowane ruchami kobry.

Kiedy Tanith była małą dziewczynką, opowiadała innym, że mieszka naprzeciw pomnika Alicji w Krainie Czarów z Central Parku. Teraz jako punkt orientacyjny podawała sklep Jim-my'ego Choo. Ledwie zerknąwszy na buty na wystawie, przyjaciółki skęciły w Sześćdziesiątą Trzecią w stronę Piątej Alei.

Trzech nieumarłych, obładowanych bagażami, stało w holu, kiedy drzwi windy otworzyły się na ostatnim piętrze, gdzie mieszkała Tanith. Poczekali, aż dziewczyny wysiądą, i dopiero wtedy weszli bez słowa do środka.

- O rany! - jęknęła Tanith. - Jeszcze tu są!

- Ale już niedługo - powiedział sucho jej ojciec, wychodząc z apartamentu. Z falującymi ciemnymi włosami i oczami o ciężkich powiekach Dorian Graves wyglądał, jakby przed chwilą

zszedł z okładki gotyckiego romansu. Lekko cmoknął Tanith w policzek. — Bądź grzeczna i obiecaj, że nie spalisz domu do fundamentów, kiedy nas nie będzie, dobrze?

— Tylko jeśli obiecasz, że przywieziesz mi coś błyszczącego.

— A nie przywożę za każdym razem? — zachichotał. — No cóż, muszę chyba iść. Twoja matka już czeka na dole. Wrócimy pod koniec przyszłego tygodnia. Na razie, moje młode damy. —

Grzecznym skinieniem głowy pożegnał przyjaciółki córki i wszedł do windy.

— No, mamy ich z głowy — powiedziała Tanith z ulgą, kiedy za ojcem zamknęły się drzwi windy. — Rozgoście się.

— Z przyjemnością. — Lilith uśmiechnęła się od ucha do ucha, odstawiając torby na posadzkę. Zrzuciła z nóg szpilki i zanurzyła palce zadbanych stóp w miękkim dywanie. Tanith skierowała się w stronę barku w rogu, gdzie jej ojciec trzymał dobre trunki.

Otworzyła lodówkę i wyjęła torbę A Rh minus naszprycowanej koniakiem, gdy tymczasem Carmen i Melly rozsiadły się na skórzanej sofie. Tanith rozlała krew do czterech kryształowych koniakówek i podała je przyjaciółkom.

— Za nas — powiedziała Lilith, unosząc kieliszek.

— Za nas — zawtórowały Tanith, Carmen i Melinda, podnosząc swoje w toaście.

— Za wampirze księżniczki z Nowego Jorku! Obyśmy panowały wiecznie!

### ROZDZIAŁ 3

No więc, gdzie będziemy slumsować dziś wieczorem? — spytała Melinda, a rzucona przez nią ćwierćdolarówka spadła z niskiego stolika, o włos mijając dużą szklankę firmy Waterford Crystal.

— W parku Waszyngtona — wyjaśnił Jules, wrzucając swoją monetę do środka szklanki wprawnym ruchem palców. — No dobra! — Uśmiechnął się szeroko. Przez długą chwilę przyglądał się reszcie, jakby chodziło o sprawę życia lub śmierci, a wreszcie wskazał na Lilith. — Następnego drinka musi wypić Liii.

— Nie musisz mnie zachęcać — roześmiała się Lilith, podnosząc do ust kieliszek 0 Rh plus naszprycowanej tequilą. — No to za krew — powiedziała, odrzucając głowę w tył i wypijając jednym duszkiem.



— Skoro trafiłem, mogę rzucać jeszcze raz. Jules i wyjął monetę ze szklanki.

— Ale kiedy wreszcie pójdziemy? — spytała Lilith, znudzona. Po wczorajszym wieczorze znów się rwała do polowania.

Jules zerknął na zegarek.

— Chyba jest wystarczająco późno. Możemy jechać, bo to trochę potrwa, zanim się tam dostaniemy. Potem pojedziemy do nowego klubu.

— Super. Powiem Tanith. — Lilith podeszła do Tanith i Sergeia, którzy leżeli razem na dywanie i się całowali. Bosą stopą żartobliwie szturchnęła przyjaciółkę w biodro. - Hej, wy dwoje, dajcie sobie na wstrzymanie! Czas przenieść imprezę na ulicę.

Tanith niechętnie odsunęła się od Sergeia i uśmiechnęła się do Lilith z zamglonym wzrokiem.

— To tylko rozgrzewka.

— Myślisz, że będziemy bezpieczni? — spytał Sergei.

— Ciągłe masz obsesję na punkcie Van Helsingów? — zachichotała Lilith. — To tylko historyjka, którą straszą dorośli, żeby nas zniechęcić do zabawy.

— Sam nie wiem... Mojego dziadka zabili Van Helsingowie — stwierdził Sergei.

— Co się dzieje? — zamruczała Tanith. - Boisz się, że dopadną cię łowcy wampirów? No weź...

Kiedy to się stało? Siedemdziesiąt pięć lat temu? Sto?

— Sto dwadzieścia — przyznał.

— Widzisz? — przekonywała Lilith. — Kiedy ostatnio jakiś Van Helsing nadział kogoś z naszych na ulicach Nowego Jorku? I nie chodzi mi o nieumarłych, tylko o nas.

— Lilith ma rację — przyznała Tanith z uśmiechem. — Nie martw się. Najgorsze co może się stać, to że wpadniemy na Nową Krew, bo to przecież otwarte terytorium.

Na chwilę zapadła cisza, kiedy przyjaciele wymieniali spojrzenia, żeby się przekonać, czy ktoś się boi spotkania z Nową Krwią — oczywiście nikt by się do tego otwarcie nie przyznał. To tak, jakby lwy obawiały się hien.

Rodziny należące do Starej Krwi legitymują się prastarym prawem krwi — absolutną kontrolą nad legionami nieumarłych, którzy zapewniają im wielką władzę i bogactwo. Prawo krwi wampirów Nowej Krwi rzadko sięga dalej niż trzy czy cztery pokolenia wstecz, co sprawia, że cieszą się oni mniejszą władzą i społecznym znaczeniem. A powód rywalizacji jest prosty: chciwość.

Spór ten sięga czasów, kiedy stu braci wezwano na ziemię z piekła, w którym się narodzili. Brat mordował brata, podczas walki o panowa-

nie nad ludzkim światem. Nic ich nie było w stanie powstrzymać, wypijali nawet krew upadłych krewnych, byle tylko utrzymać władzę.

Zabijali się nawzajem, aż zostało ich tylko trzynastu. Wreszcie zdali sobie sprawę, że znaleźli się na krawędzi samozniszczenia i zgodzili podzielić świat pomiędzy siebie, zasiedlając wampirzą rasą każdy zakątek globu. Nazwano ich Założycielami.

Czas mijał, a liczba wampirów stopniowo rosła, więc brat znów zaczął zazdrościć bratu, co doprowadziło do rywalizacji i waśni. Ile razy rywal zabijał patriarchę rodu, ci, którzy go przeżyli, mieli do wyboru — albo zostać wasalem nowego pana, który uzurpował sobie prawo do rodowej krwi, albo odbudować dziedzictwo, żyjąc jako wampiry zwane Nową Krwią.

Większość zrzekała się wolności w zamian za ochronę. Pozostali, którzy decydowali się odzyskać władzę, stawali się podatni na ataki zarówno ze strony ludzi, jak i wampirów. Ciągła walka sprawiła, że Nowa Krew była pozbawiona znaczenia przez tysiąclecia.

Jednak sześćset lat temu Danton Gris skłonił pewną liczbę rodzin Nowej Krwi do zawarcia przymierza. Uzgodnili, że będą się wspierać i bronić w razie ataku wampirów ze Starej

Krwi. Wkrótce wasale zaczęli tłumnie opuszczać swoich panów lennych, co zapoczątkowało stuletnią wojnę, która zakończyła się podpisaniem Traktatu Zimnej Krwi. Od tego czasu Nowa i Stara Krew współżyły w zawieszeniu broni.

— A co zrobimy, jeśli wpadniemy na inne pisklęta? — spytał Oliver, przerywając milczenie. — Słyszałem, że nówki nie walczą czysto.

— Chciałabym zobaczyć, jak któryś mi podskoczy — zagroziła Lilith. Pokręciła głową wyniośle.

— Miałaś kiedyś zatarg z kimś z Nowej Krwi, Lilith? — zagadnął Oliver.

— Nie — odparła. — Chyba że liczą się bliźniaczki Maledetto.

— To nie fair — odezwała się Melinda. — Tata Belli i Bette może należy do nówek, ale prawo krwi ich matki sięga czasów Eneasza.

— Tak, ale tylko jedna z nich je odziedziczy — odparła Carmen.

— Hej, je też możemy dopaść — westchnął Jules, zmęczony niepotrzebną gadaniną.

Lilith wyczuła jego nastrój.

— Napilabym się czegoś czerwonego prosto z gwinta. Kto jeszcze ma ochotę? — Uśmiechnęła się szeroko, kiedy przyjaciele zaczęli wznosić gromkie okrzyki radości. — Tak myślałam.

Od dzieciństwa każdy wampir jest uczony, że najłatwiejszymi ofiarami jest zwykła prostytutka albo diler narkotyków. Takie osobniki chętnie nawiązują kontakt z nieznajomymi. Po niewielkiej namowie można ich zaciągnąć w odosobnione miejsce. Kiedy ktoś taki znika, nikt się tym nie przejmie. Wprawdzie wśród nieumarłych zdarzają się istoty o specjalnych umiejętnościach, ale znakomita większość służąca Prawdziwie Urodzonym była kiedyś kryminalistami, dziwkami, ćpunami albo handlarzami narkotyków. I dlatego najlepszym miejscem na Manhattanie na takie rozrywki był plac Waszyngtona. Lilith i jej przyjaciele wzięli mercedesa Julesa oraz bentleya Tanith i ruszyli na spotkanie przygody.

— Ojciec splunąłby krwią, gdyby wiedział, że wybrałam się na slumsowanie — roześmiała się Lilith. — Jestem bardzo, bardzo niegrzeczną dziewczynką.

— Niegrzeczną, owszem, ale jaką miłą — zachichotał Jules, wsuwając dłoń pod jej sukienkę i pieszcząc udo.

— Uwielbiam slumsowanie, a ty? — zamruczała Lilith. Oparła głowę o ramię chłopaka i przysunęła się bliżej, żeby jego dłoń miała lepszy dostęp. — To takie podniecające. Pogoń za prawdziwą, żywą ofiarą nakręca mnie.

— Mnie też — zgodził się Jules, palcami badając gumkę jej stringów Agent Provocateur.

— Nie teraz, Jules — zachichotała Lilith i zwinnie uwolniła się z jego objęć. — Później. Po polowaniu.

Oczy Julesowi zabłyśły. Chciał postawić na swoim, ale w końcu się uśmiechnął i cofnął dłoń.

— Jak sobie życzysz, kochanie.

Lilith wyjrzała przez okno. Mercedes zatrzymał się o kilka przecznic od miejsca przeznaczenia.

— Jesteśmy! — zawołała z triumfem, wyciągając dłoń i otwierając drzwi, zanim zdążył to zrobić kierowca. Obejrzała się przez ramię i zobaczyła, że pozostali wysiedli już z bentleya.

— Spróbujcie mnie dogonić! — krzyknęła Lilith. Śmiała się, kiedy przyjaciele biegli jej śladem. Ich okrzyki i śmiechy odbijały się echem wśród wąskich, krętych ulic Greenwich Village.

Chociaż było już po drugiej w nocy, ulica wcale nie była wyludniona. Sporo młodych ludzi wracało z klubów czy całonocnych jadłodajni. Albo właśnie się do nich wybierało. Śmiali się i żartowali. Lilith i jej znajomi również wyglądali jak kolejna grupka hałaśliwych studentów wracających do akademików Uniwersytetu Nowojorskiego po nocnej imprezie.

Chichocząc, paczka skierowała się w stronę łuku triumfalnego w pobliżu Piątej Alei i północnej części placu Waszyngtona. Biała marmurowa budowla, efektownie oświetlona reflektorami punktowymi, wyglądała jak olbrzymi nagrobek.

Chociaż na alejki w parku światło rzucały uliczne latarnie, było tam znacznie ciemniej niż w sąsiedztwie. Kiedy wampiry przeszły pod łukiem triumfalnym i ruszyły w stronę wielkiej fontanny stojącej na środku placu, zauważyły kilku mężczyzn, którzy spacerowali w pobliżu metalowych ławek. Ubrani w luźne spodnie, sportowe bryle i bluzy z kapturami byli prawdziwymi panami parku Waszyngtona. Bez wątplenia dilerzy wzięli przyjaciół za kolejną grupkę podpitych imprezowiczów szukających narkotyków. Lilith uśmiechnęła się na myśl o przerażonym spojrzeniu ofiary, kiedy wreszcie zrozumie prawdę.

Jules pokazał im gestem, żeby zebrali się przy niewielkiej kępie drzew, przy niskim płotku z napisem: „Nie deptać trawy”. Jak zwykle grał rolę wodzireja, wyznaczając role pozostałym uczestnikom zabawy.

— Jedno z nas wprowadzi w trans ofiarę i zaciągnie ją w jakieś odludne miejsce. A my się nią zajmiemy. Dodatkowe punkty będą za jakieś

trofea, coś osobistego, odebranego nieszczęśnikom. Prochy się nie liczą. No dobra, zasady ustalone, kto chce być przynętą?

— Och! Och! Ja! — krzyknęła Lilith, wymachując ręką, jakby zamierzała odpowiadać na lekcji przed całą klasą.

— Bardzo dobrze, zatem Lilith — powiedział ze śmiechem.

Zawróciła i spojrzała zza drzew na mężczyzn włóczących się przy zachodniej stronie fontanny. Zobaczyła jakiegoś grubawego

Afroamerykani-na z siwą brodą, siedzącego na ławce obok torby na zakupy z napisem „I V New York” wypchanej czymś, co wyglądało na zmięte gazety i stare pojemniki po jedzeniu na wynos.

Nie miała zamiaru zajmować się jakimś podstarzałym, obrzydliwym gościem z piwnym brzuchem. Jeśli już kogoś ma wybrać, to musi być młody i w dobrej formie.

Zauważyła wysokiego, chudego dilerą, który opierał się o jeden z wielkich granitowych występów wmurowanych w krawędź fontanny niczym wskazówki kompasu, które wskazują cztery strony świata.

Twarz miał zwróconą w inną stronę, a ręce schowane w kieszeniach granatowej kurtki z kapturem.

Kiedy się zbliżyła, odwrócił się i natychmiast odezwał z typowym dla dilerów tekstem:



- Trawki? Trawki?

Lilith stanęła naprzeciw niego, ale się nie odezwała. Handlarz odczytał to jako zachętę i gestem ręki przywołał ją bliżej.

- Ile?

Lilith nie ruszyła się, ale obdarzyła go półuśmiechem. Zobaczyła, że zmienił się mu wyraz twarzy z czysto zawodowego na pełen nadziei na jakąś rozrywkę.

- Chcesz więcej, kotku? Bo mam wszystko, czego ci potrzeba — odezwał się chępliwie.

Lilith korciło, żeby się odgryźć, ale nie odważyła się odezwać, żeby nie zakłócić koncentracji. Najłatwiej kontroluje się umysł ofiary, kiedy skłoni się ją, żeby popatrzyła prosto w oczy łowcy. Fizyczna atrakcyjność dawała jej przewagę.

Diler spojrział na piękną, młodą dziewczynę i nagle zrozumiał, że nie może oderwać od niej wzroku. Zupełnie jakby cały świat skupił się na tej idealnej buzi i błyszczących kocich oczach.

Lilith z największą koncentracją, na jaką było ją stać, pomyślała:

*Chodź ze mną.*

Chociaż ręce i nogi miał zdętwiałe, jakby ktoś naszprycował go nowokainą, nie zdołał oprzeć się pokusie pójścia za tym dziwnym aniołem.

Lilith uśmiechnęła się, kiedy do niej ruszył. Ale zanim zdążył zrobić kolejny krok, spojrział

w bok, jakby usłyszał kogoś nawołującego jego imię, a potem się cofnął. Co u licha?!

W jakiś sposób umysł dileru wyzwolił się spod jej kontroli. To nie powinno było się zdarzyć, a przynajmniej nie jej. Lilith zmarszczyła brwi i podwoiła skupienie.

*Popatrz na mnie.*

Handlarz powoli obrócił głowę w jej stronę, a Lilith zobaczyła, że oczy ma zamglone, a usta rozchylone, wyraźny znak, że rzeczywiście był zahipnotyzowany.

*Chodź ze mną.*

Diler znów zrobił krok, ale nagle zatrzymał się i lekko zachwiał na jednej nodze, jak dziecko skaczące w klasy.

Twarz Lilith zaczęła pałać irytacją. Była pewna, że pozostali śmieją się do rozpuku, obserwując ją ze swojej kryjówki w mroku.

*Już!*

Rozkaz zabrzmiał w głowie dileru jak przepięcie elektrycznej gitary i facet pochylił się, jakby ktoś dźgnął go widłami. Ale ułamek sekundy później odskoczył w tył, mocno uderzając o kamienny występ fontanny. Miało się wrażenie, że popchnęła go czyjaś niewidzialna ręka.

Lilith zmarszczyła brwi, usiłując się zorientować, co się dzieje.

Ofiara poruszała się jak mario-

netka, a nie jak zwierzę, które usiłuje wymknąć się z wnyków. Ale kto mógł wywoływać takie zakłócenia?

I właśnie wtedy Lilith przyszło do głowy, że nie jest jedyną osobą, która siedzi w myślach dilera. Jakaś dziewczyna wyszła zza występu fontanny. Nieznajoma była ubrana w szare obcisłe dżinsy, fioletowe tweedowe kozaki, długą czarną koszulę i podniszczoną czarną skórzaną kurtkę. Ciemne włosy miała ostrzyżone w wyrazistą, postrzępioną krótką fryzurę, która przy pełnych wargach i wydatnych kościach policzkowych nadawała jej wygląd groźnego chochlika. Lilith z niepokojem zrozumiała, że stoi twarzą w twarz z przedstawicielką Nowej Krwi.

- Ten jest mój - warknęła nówka, wskazując na dilera. Mężczyzna stał przy występie fontanny niczym motyl przypięty do planszy, a z ust ciekła mu ślina.

- Spadaj, śmieciaro - syknęła Lilith, obnażając kły w rytualnym geście wyzwania. — On jest mój!

- To ty spadaj, suko - odcięła się nówka, a jej oczy zapłonęły. - Byłam pierwsza!

Lilith ruszyła przed siebie, zaciskając dłonie w pięści.

- Jak śmiesz tak do mnie mówić! Nie wiesz, kim jestem?

— Tak — zakpiła nówka. - Jesteś zarozumiałą laską ze śródmieścia, której zaraz skopię tyłek!

Obydwie piorunowały się wzrokiem. Krążyły niczym bokserzy gotujący się do starcia. Lilith zamachnęła się na rywalkę. Chciała rozerwać na strzępy ciuchy i ciało dziewczyny swoimi ostrymi jak brzytwa paznokciami. Ale nówka okazała się niespodziewanie zwinna i odskoczyła na bok, unikając ataku z gracją matadora. Lilith aż obróciła się na pięcie, zaskoczona szybkością przeciwniczki. Nówka roześmiała się na widok zdziwionej miny Lilith.

— Wy, starocie, umiecie gadać, ale jak przyjdzie co do czego, jesteście do niczego! — Śmiech nówki zamienił się nagle we wrzask bólu, bo Lilith przejechała pazurami po jej prawym boku.

— Pierwsza krew należy do mnie — zakpiła Lilith, cofając rękę. — No i kto tu jest beznadziejny?

Ta z Nowej Krwi zachwiała się, przyciskając dłoń do boku, a jasnoczerwona krew sączyła się między jej palcami. Chociaż ciało zaczęło się już goić, przez najbliższe minuty była podatna na atak — wystarczająco dużo czasu, żeby Lilith zadała ostatni cios. Oczy nówki na moment wywróciły się do góry, tak że widać było wyłącznie białka.

- No i co? - dokuczała Lilith. - Nie zemdlejesz mi tu chyba, prawda? Jeśli dziewczyna chciała coś odpowiedzieć, to Lilith jej nie usłyszała, bo nagle zerwał się porywisty wiatr. Porwał wszystkie śmieci i uniósł je w wirze żwiru oraz odpadków, wyganiając dilerów z terenu parku. Lilith uniosła ręce, żeby osłonić twarz przed kłującymi ukąszeniami wichury. Zobaczyła Tanith i Julesa biegnących w jej stronę. Nówka w transie uniosła rękę i sięgnęła po jakąś niewidoczną linę, a potem zacisnęła ją w garści. Rozległy się trzaski, jakby ktoś biegł po suchych jesiennych liściach. A potem wokół zaciśniętej pięści dziewczyny pojawiła się aureola bladoniebieskiej poświaty.

- Lilith! - zawołała Tanith, przekrzykując ryk wiatru. - Odsuń się od niej! To przywoływaczka burz!

Lilith obróciła się i spojrzała na swoją przeciwniczkę, która teraz trzymała w dłoni kulę białobłękitnej błyskawicy. Dotychczasową brawurę szybko zastąpił lęk. Chociaż wampiry są odporne na każdą ludzką chorobę mają zdolności regeneracyjne i wszystkie rany goją się na nich błyskawicznie, może tylko poza dekapitacją albo przebicciem serca kolkiem, elektryczność może je zabić.

Cofając się przed nówką, Lilith zobaczyła zbliżającego się Julesa.  
— Jules! Pomóż mi! — krzyknęła.

Wrzask Lilith zakłócił koncentrację napastniczki, której oczy nagle się obróciły i stały normalne. Chociaż huraganowa wichura momentalnie ucichła, dziewczyna nadal trzymała w dłoni trzaskającą prądem błyskawicę.

Wyrwany z transu diler nagle ocknął się i zwał w mrok. Po chwili brodaty facet, który siedział na ławce, zerwał się i wyciągnął z reklamówki niewielką kuszę.

— Van Helsingowie! — krzyknął Jules ostrzegawczo.

— Lilith! Uważaj! - wołała Tanith. Biegając w stronę przyjaciół, Lilith obejrzała

się przez ramię i w ostatniej chwili dostrzegła, że łowca wampirów do niej mierzy. Odruchowo rzuciła się w bok, a belt śmignął tak blisko, że otarł się o jej żebra. Tanith nie miała tyle szczęścia. Padła na ziemię jak bezwładna lalka ze sterczącą z piersi lotką strzały.

Lilith padła na kolana obok przyjaciółki.

— Tanith, wstawaj! Musisz się podnieść!

Łowca wampirów przygotowywał się do kolejnego strzału. Jednak nówka uniosła dłoń i posłała błyskawicę w jego stronę. Potem odwróciła się na pięcie i uciekła. Zniknęła w mroku.

Rozległ się przeraźliwy krzyk i poczuli odór palonych skóry i włosów. Kulisty piorun trafił łowcę wampirów prosto w tors. Mężczyzna wypuścił z dłoni kuszę i upadł bezwładnie na ziemię. Jules stanął nad Lilith, rozpaczając nad ciałem Tanith, i zaczął się gorączkowo rozglądać, szukając wzrokiem kolejnych Van Helsingów. Chociaż nigdy wcześniej się z nimi nie zetknął, wiedział, że łowcy wampirów nie działają w pojedynkę. No i proszę, namierzył trzech kolejnych przebranych za dilerów; biegli w ich stronę z drugiego krańca parku, każdy uzbrojony w kuszę.

- To zasadzka! - krzyknął Jules, szarpnięciem stawiając Lilith na nogi. - Zapomnij o Tanith. Ona nie żyje! Musimy uciekać... - Nie zdążył dokończyć zdania. Najbliższy z nadbiegających Van Helsingów strzelił do niego. Młody wampir ryknął z bólu i rzucił się na napastników, obnażając kły i pazury.

Van Helsingowie odruchowo cofnęli się na widok potwora o skrzydłach nietoperza i ludzkiej twarzy, który runął w ich stronę z bełtem tkwiącym w udzie.

Jules porwał szponiastą stopą kuszę łowcy wampirów i uniósł ją razem z właścicielem w powietrze.

- Strzelaj do niego! - wrzeszczał Van Helsing, usiłując się wyrwać. — Nie martw się, że mnie trafisz! Strzelaj!

Jules pchnął pasażera na gapę prosto na parkową ławkę. Kiedy pozostali łowcy wampirów ruszyli na pomoc koledze, Jules odleciał w mrok nocy. Zostawił Lilith samą na pastwę wrogów.

— Cholera, ta przywoływaczka burz zwiła — mruknął Drummer, podnosząc się.

— Nic ci nie jest?

— Przeżyję. — Prawe ramię zwisało bezwładnie i czuł, że złamał przynajmniej jedno żebro, ale nic poważniejszego mu się nie stało. Z bolesnym grymasem na twarzy odgonił pozostałych machnięciem ręki. — O mnie się nie martwcie... Zobaczcie co z Big Ikiem.

Remy, starszy z tych dwóch, szybko podbiegł do ciała postawnego mężczyzny i zbadał mu puls.

— Jest mocno poparzony... Zwłaszcza ręce... Ale przeżyje. Na szczęście miał buty na gumowej podeszwie.

— Wezwij pomoc — warknął Drummer. - Powiedz im, że mamy poszkodowanego.

— A co z nią? — Kevin wskazał ciało wampirzycy rozciągnięte na chodniku.

— Znasz procedury — odparł Drummer. — Pijawy lubią udawać martwych. Trzeba sprawdzić, czy nie żyje.

— Jasne — odparł Kevin i wyciągnął z pochwy nóż Ghurków, a potem ostrożnie



szturchnął butem leżące ciało. - Wiesz, jeszcze nigdy nie widziałem, żeby pijawa wzywała burzę... Albo zmieniała się w nietoperza, czy co to tam było.

- Bo do tej pory likwidowałeś tylko nieumarłych — wyjaśnił Drummer. — Nieumarli nie umieją się zmieniać ani kontrolować pogody. Dzisiaj natknęliśmy się na Prawdziwie Urodzonych, prawdopodobnie to Stara Krew. - Zmarszczył brwi, patrząc na martwą dziewczynę. Wampirzyca wydawała się niepokojąco młoda i ładna, nie mogła mieć więcej niż jakieś szesnaście, siedemnaście lat. - To dziwne... Przysiągłbym, że ta blondynka była ubrana na niebiesko...

- W coś takiego? - spytał Remy, unosząc podarte strzępki sukienki w barwie pawiego błękitu.

- Gdzie to znalazłeś? - spytał Drummer podejrzliwie.

- Leżało tam, obok fontanny. - Zanim Remy zdążył obrócić się i wskazać palcem miejsce, gdzie znalazł zniszczoną sukienkę, usłyszał niski, gardłowy warkot i zamarł w bezruchu.

Nagle wielki wilk o palających błękitnych oczach i bez ogona wyskoczył z fontanny i chlapiąc pióropuszem zimnej wody, obalił Remy'ego na ziemię.

- Zastrzel ją! - wrzasnął Drummer, mierząc ze swojej kuszy w wilczycę. — Ucieknie nam! —

Jego strzała chybiła, odbijając się rykoszetem od chodnika, a wielkie zwierzę znikło w labiryncie uliczek.

— Cholera! — zaklął Drummer i cisnął kuszę na ziemię mimo tępego bólu w ramieniu. — Szef dostanie szalu, kiedy o tym usłyszy!

## ROZDZIAŁ 4

Cally Monture z niesmakiem pokręciła głową, zbiegając po schodach do metra. Co ją napadło? Powinna była pozwolić tej plastikowej lalce w niebieskiej sukience wziąć sobie ofiarę. Ale nie, duma musiała wziąć górę, a teraz Cally musiała uciekać. Babcia ostrzegała ją, co się stanie, jeśli da się ponieść temperamentowi. I jak zawsze miała rację. Dziewczyna z ulgą pomyślała, że starsza pani już nie żyje i nie może być świadkiem jej żalosnej porażki — ale ulga była niewielka, bo bardzo za nią tęskniła.

Chociaż zdarzało jej się polować w parku już parę razy w ostatnich miesiącach, po raz pierwszy natknęła się na prawdziwe problemy. Pewnie zmieniłaby plany na wieczór, gdyby wiedziała, że

w drogę wejdą jej nie tylko Stara Krew, ale i Van Helsingowie. Zarówno fanatyczni Van Helsingowie, jak i mściwa Stara Krew byli niebezpiecznymi wrogami. Dobrze że babcia nauczyła ją przed śmiercią paru zaklęć. Przynajmniej mogła się bronić. Ale i tak miała mnóstwo szczęścia, że walczyła z pisklakiem takim jak ona. Gdyby to były dojrzałe wampiry, nie miałyby szans.

Kiedy szła w stronę schodów prowadzących na perony, rozejrzała się, czy nikt jej nie ściga. Van Helsingowie tak samo jak wampiry nie lubili zwracać na siebie uwagi w miejscach publicznych. Będzie bezpieczna, jeżeli wmiecha się w tłum.

Kiedy wychyliła się poza krawędź peronu, zwróciła uwagę na jakiegoś faceta w modnie znoszonych dżinsach biodrówkach i dżinsowej kurtce. Czekał na metro. Sądząc po obcisłej koszulce, był niezłe umięśniony. Udawał, że czyta powieść w papierowej okładce, ale Cally widziała, że ukradkiem ją obserwuje.

Był gładko ogolony i miał duże, wydatne usta, ciemnobrunatne oczy i wijące się rudobrązowe włosy. Chociaż wyglądał na jakieś osiemnaście, dziewiętnaście lat, emanowała od niego jakaś powaga i dojrzałość, które Cally zwykle kojarzyła ze starszymi facetami. Może był zwykłym Emo.

Kiedy znów podniósł oczy znad książki, Cally nie odwróciła wzroku. Popatrzyli na siebie i poczuła dziwne mrowienie, trochę podobne do tego, które ogarniało ją, kiedy przywoływała błyskawicę. Przez ułamek sekundy było tak, jakby w powietrzu między nimi przebiegła iskra. Rzuciła nieznajomemu uśmiech, a on zarumienił się i wsadził nos z powrotem w książkę. Tak, zdecydowanie Emo.

Przy innej okazji poplirtowałyby z nim — chociaż troszkę - ale kiedy światło w tunelu zmieniło się na zielone, Cally szybko zapomniała o nowym wielbicielu. Pociąg wjechał na peron, a ona wsiadła do środka i stanęła przy drzwiach. W wagonie oprócz niej było paru innych pasażerów, głównie imprezowiczów wracających do domów po długiej balandze.

Ze dwa przystanki dalej wysiadła i wydało jej się, że widzi tego faceta w dżinsach, jak wychodzi na peron. Obejrzała się za siebie, chcąc się upewnić, ale nikogo nie zauważyła. Przestała o nim myśleć i szybko poszła przejściem w stronę kolejnego peronu.

Teraz, kiedy od potencjalnych wrogów dzieliła ją już spora odległość, Cally bez pośpiechu przeliczyła dzisiejszy zarobek. Z rozczarowaniem przekonała się, że ma zaledwie dwieście dolarów. Zwykle udawało jej się zebrać przynajmniej dwa

razy tyle od dilerów z parku. Zmarszczyła brwi ze zdziwieniem, chowając banknoty za stanik.

Musiała mieć więcej gotówki na kolejne niespodziewane wydatki. I nie potrzebowała wróżki, żeby wiedzieć, że nieszybko to nastąpi. Chociaż ojciec regularnie przysyłał pieniądze, matka miała zwyczaj wydawać je na różne rzeczy, które „musiała” mieć, na przykład wielko-ekranowy, płaski telewizor czy dwudniową wizytę w spa. Dlatego opłaty za elektryczność albo za czynsz spadały na Cally. Przez chwilę zastanawiała się, co stałoby się z jej matką, gdyby Cally nadziała się na belt kuszy. To ją tak rozstroiło, że natychmiast wypchnęła myśl z umysłu.

Nie ma sensu martwić się czymś, co się nie wydarzyło, powiedziała sobie. Skup się na powrocie do domu, tylko to się liczy. Jeszcze jedna przejażdżka metrem i jestem w domu.

Gdzieś za nią rozległy się odgłosy szurania butów po betonie. Cally odwróciła się i zobaczyła sylwetkę mężczyzny, który schodził powoli po schodach. Spanikowała, kiedy rozejrzała się po peronie i przekonała, że jest tam zupełnie sama.

Schowała się za jedną z wąskich stalowych kolumn wspornikowych na peronie. Przytuliła się do zimnej metalowej powierzchni i nasłuchiwała zbliżających się kroków. Gorączkowo

rozglądała się w poszukiwaniu lepszej kryjówki, ale w pobliżu niczego nie znalazła.

Gdyby tylko miała więcej doświadczenia i wiedziała, co robić w tego typu sytuacjach. Nadal nie ochłonęła jeszcze po zejściu w parku. Teraz mogła przywołać jedynie lekką bryzę. A to znaczyło, że będzie musiała polegać na broni, którą znajdzie. Cally sięgnęła umysłem w przestrzeń i natknęła się na coś brunatnego, futrzaste-go i bardzo bliskiego.

Kiedy facet zszedł z ostatniego stopnia, rzucił się na niego szczur wielkości kota o paciorkowa-tych oczach połyskujących jak maleńkie, polerowane kamyczki. Zwierzak wspiał się na tylne łapy i gniewnie, ostro zapiszczał.

- Co u diabła...?! - zawołał nieznajomy, kiedy nagle gryzoń wbiegł po jego nodze. - Aaa! Wynoś się! Pomocy! - Próbował strącić zwierzę, które zaatakowało go błyszczącymi żółtawymi zębami, ale szczur nie dał się odstraszyć i już się zbliżał do gardła. Usiłując ochronić oczy przed ostrymi zębami i brudnymi pazurami, mężczyzna potknął się i poleciał za krawędź peronu. Kiedy uderzył o ziemię, szczur odskoczył i zniknął w mroku tunelu, zostawiając oszołomioną ofiarę rozciągniętą na torach. Facet jęczał, a krew sączyła się z licznych ranek na jego twarzy i rękach.

Cally spojrzała w dół z peronu i ze zdumieniem rozpoznała tego samego chłopaka, którego widziała wcześniej, tego, który ją tak niespodziewanie zainteresował. Obawa o własne życie zmieniła się w panikę. Napuściła na niego tego szczura z nadzieją, że będzie mogła uciec, kiedy zwierzę odwróci jego uwagę. Nie przyszło jej jednak do głowy, że będzie tak poważnie poraniony.

— Co ja narobiłam? — jęknęła.

Odległe dudnienie, powiew powietrza i śmieci unoszące się z tunelu oznaczały, że za chwilę pojawi się pociąg. Zdając sobie sprawę, że nie ma czasu do stracenia, Cally zeskoczyła na tory do rannego nieznajomego.

— Nie ruszaj się! Leż! — krzyknęła, układając go równo pośrodku torów.

— Co robisz?! — zawołał z oczyma rozszerzonymi przerażeniem, kiedy Cally przytuliła się twarzą do niego, blisko jak kochanka.

— Ratuje ci życie! — Czują zapach krwi sączącej się z jego ran i z trudem opanowała głód, jaki w niej wzbudził. Nie czas na rozpraszanie uwagi. — Jeśli nie przestaniesz się ruszać, oboje za chwilę stracimy po nodze!

Ziemia zaczęła się pod nimi trząść, kiedy tak leżeli objęci ramionami. Uszy wypełnił ryk maszyny, zatrząśł ich ciałami. Cally ukryła twarz na



piersi chłopaka, a on leżał pod nią bez ruchu, patrząc na pędzące spody wagonów o centymetry od jego twarzy. Trwało to całą wieczność. Pociąg wreszcie się zatrzymał.

- Co robimy? — spytał chrapliwym szeptem.

- Czekamy, aż odjedzie - szepnęła Cally. - Nikt nie wie, że jesteśmy tu na dole. Nawet jeśli ktoś jest na peronie, raczej nie usłyszy, gdybyśmy zaczęli wołać o pomoc.

Chłopak nic nie odpowiedział, tylko mocniej przyciągnął Cally do siebie. Słuchała uderzeń jego serca i czuła zapach jego skóry.

Przekonała się, że jest dziwnie uspokajający, wręcz kojący.

Po jakiejś minucie drzwi zamknęły się, a koła zaczęły się toczyć.

Cally trwała w kompletnym bezruchu, kiedy kolejne wagony z łoskotem przesuwaly się nad jej głową. Bała się, że najdrobniejszy ruch skończy się tragedią. Była zaskoczona, że skóra chłopaka wydawała się taka ciepła, w porównaniu z jej skórą. Zamknęła oczy i wzięła kolejny głęboki wdech. Smakowała jego zapach, żeby go zapamiętać.

Kiedy przejechał ostatni wagon, wreszcie uniosła głowę i się rozejrzała.

- W porządku - stwierdziła uspokajającym tonem. — Możesz już mnie puścić.

- A tak mi było przyjemnie... - powiedział i roześmiał się słabo.

— Musimy się stąd wydostać, zanim pojawi się następny pociąg — ostrzegła Cally, podnosząc się na nogi.

— Dla mnie brzmi nieźle.

— Halo? Jest tu kto? — zawołała. — Człowiek na torach! Cally nasłuchiwała odpowiedzi, ale dobiegło ją tylko echo jej własnych słów.

— Możesz wstać? — spytała.

— Tak. — Kiwnął głową. — Chyba dam radę.

Kiedy Cally pomagała mu się podnieść, chłopak skrzywił się i ciężko o nią oparł. Lekko się zachwiała pod jego ciężarem, ale potem bez większego trudu przerzuciła go sobie przez ramię. Zwinnie wskoczyła z powrotem na peron. Poruszała się z kocią gracją. Posadziła chłopaka na ławce, a potem łagodnie pogłaskała po lewym policzku, ścierając smugę krwi.

— Hej! Co wy tu robicie?

Jakiś zaniepokojony pracownik metra szybko szedł w ich stronę. Zdając sobie nagle sprawę, że pokryta jest smarem i brudem z szyn, Cally doszła do wniosku, że pewnie wziął ją za bezdomną, która chce obrabować podróżnego.

— Mój przyjaciel potrzebuje karetki — powiedziała szybko. — Chyba jest ranny. Spadł z peronu na tory.

— Jezus Maria! Jak się stamtąd wydostał?

- Zeszłam i go wyciągnęłam. Pracownik metra przyjrzał się jej z powątpiewaniem.
- Taka dziewczynka miałaby wyciągnąć faceta z torów? Zalewasz.
- To pewnie był przyływ adrenaliny, czy coś. - Cally wzruszyła ramionami. - No wie pan, jak ta kobieta, która podniosła samochód, żeby uratować dziecko.
- No tak. Pamiętam, kiedyś o tym czytałem. - Usatysfakcjonowany wyjaśnieniem Cally, wyciągnął z kieszeni kurtki krótkofalówkę. - Centrala? Mówi Colina. Mam tu problem. Odbiór. - Nacisnął guzik odsłuchu, ale z głośnika rozległy się wyłącznie szумы. - Tu na dole odbiór jest beznadziejny. Jesteśmy dwadzieścia metrów pod ulicą. Będę musiał wejść na poziom hali, żeby się połączyć. Nic wam nie będzie?
- Mnie nic nie jest. A jego przypilnuję, póki pan nie wróci.
- Dobrze... Nie ruszajcie się stąd! Pracownik metra ruszył biegiem po schodach, a chłopak cicho jęknął z bólu. Cally położyła mu dłoń na ramieniu, łagodnie go podtrzymując, kiedy usiłował usiąść na ławce.
- Nie szarp się. Chyba coś złamałeś podczas upadku.

Wziął głęboki oddech i się skrzywił.

- Masz rację - jęknął. - Musiałem złamać żebro albo dwa. - Uniósł głowę. - Uratowałaś mi życie - szepnął, gapiąc się na jej usta, twarz i włosy. — Nie musiałaś tego robić.

- Kiedyś moja babcia powiedziała, że najgorzej jest nic nie robić.

- Twoja babcia to bardzo mądra kobieta.

- Była mądra - zgodziła się Cally. - Poza tym jestem pewna, że ty zrobiłbyś dla mnie to samo, gdyby role się odwróciły.

W oczach chłopaka coś zabłysło, szybko odwrócił do niej spojrzenie.

- Być może masz rację.

Cally odwróciła się w stronę peronu, gdzie kursowały pociągi linii brooklyńskiej.

- Chyba słyszę swój pociąg.

- Nie zostawisz mnie tu, prawda? - Sięgnął po jej rękę.

- Nie martw się, karetka jest w drodze. Nic ci nie będzie.

- Proszę... Nie jedź. Zostań ze mną.

- Słuchaj, będę miała poważne kłopoty, jeśli nie pojedę! - przyznała się.

- Ale nawet mi nie powiedziałaś, jak masz na imię! Powinienem przynajmniej znać imię dziewczyny, która uratowała mi życie, prawda?

- Cally.

- Ładnie. - Uśmiechnął się. - A ja się nazywam Peter.
- Cally odwzajemniła uśmiech, a chłopak ścisnął jej dłoń.
- Też mi się podoba. Trzymaj się.
- Postaram się.

Peter Van Helsing patrzył, jak Cally wskakuje do pociągu linii J i macha mu na pożegnanie ze swojego siedzenia przy oknie. Kiedy uniósł zakrwawioną rękę, żeby też jej pomachać, zastanawiał się, jak to wszystko wyjaśni swojemu ojcu. Dziś wieczorem miał swoją pierwszą indywidualną misję; kazano mu obserwować stację metra, która znajdowała się najbliżej parku, w razie gdyby cel umknął Big Ike'owi.

Sięgnął do dżinsowej kurtki i wyjął ukryty drewniany kolek. Wrzucił go do kosza na śmieci obok ławki, tak jak go tego nauczono. Zespół ratowniczy karetki będzie tu lada chwila i nie mógł pozwolić, żeby obcy wtykali nosy w rodzinne sprawy.

## Rozdział 5

Pospieszcie się! — wrzasnął przez ramię Oliver, wybiegając z parku.

— Musimy wracać do samochodów, zanim Van Helsingowie wezwą posiłki!

— Ale zламаłam obcas! - zajęczała Carmen, biegnąc za nim z trudem, jak spętany koń.

Oliver pochylił się i oderwał obcas od drugiego pantofla bez pięty.

— Masz! Teraz znów są do pary!

— Ale to były moje nowe buty Prądy! - zapiszczała.

— Więc będziesz świetnie ubrana, kiedy wbiją ci kolek w serce i obetną głowę — warknął Oliver. - Nie ociągaj się, bo przysięgam, że cię tu zostawię na pastwę Van Helsingów! Nie myśl sobie, że nie!

Widząc wyraz oczu Olivera, Carmen umilkła. Zrzuciła buty i zaczęła biec bosą chodnikami ulic West Village.

Sergei trochę zwolnił. Rozglądał się wkoło.

— Gdzie Tanith? - zapytał. - Ktoś wie?

— Kiedy ją widziałam po raz ostatni, była z Julesem — odpowiedziała Melinda. — Ollie, widziałeś Julesa?

— Pobiegł za Lilith... Tylko tyle zdążyłem zauważyć — odparł Oliver.

— Wygląda na to, że będziemy musieli stąd odlecieć. Póki Jules albo Tanith się nie pokażą, nie dostaniemy się do samochodów — powiedziała Melinda, wskazując na przeciwną stronę ulicy, gdzie stały zaparkowane limuzyny. Kierowca Gravesów oparł się o maskę mercedesa i splótł ramiona na piersi. Wpatrywał się bezmyślnie w przestrzeń. Natomiast szofer de La-valów zajął się polerowaniem przedniej szyby wozu.

— Lecieć? — Carmen zmarszczyła brwi. — Serio? Skrzydlatą formę utrzymam góra przez pięć minut! A żeby się dostać do centrum trzeba przynajmniej dwudziestu!

— Wiem, że to niebezpieczne. Nikt z nas jeszcze nie ma specjalnej wprawy w lataniu — odparła Melinda. - Ale musimy jak najszybciej dostać się do domu.

— A co jeśli oni już wysłali swoich przechwy-tywaczy? — spytał Oliver niespokojnie. — Słyszałem, że Van Helsingowie mają specjalnie szkolone orły i kondory, które polują na wampiry w locie. — Też tak słyszałam — zgodziła się Carmen. — Moja ciotka mówi, że niektórzy używają nawet udomowionych gargulców, wychowanych od piskląt. Gargulców, Melly! Już i orzeł by wystarczył. .. Ale jak mamy walczyć w powietrzu z gargulcem?

— Carm, nakręcasz się bez powodu. — Melinda starała się ją uspokoić. — To tylko plotki, takie miejskie mity, nic więcej.

— Tak, no cóż. Słyszałam to już przedtem. Lilith i Tanith tak samo mówiły o Van Helsingach, a teraz patrz, co się stało. — Głos Carmen drżał. — Wiem tylko tyle, że się boję, bolą mnie nogi i chcę do domu!

— Spróbuję pogadać z szoferem Tanith — zaproponował Sergei.

— Spotykam się z nią od paru miesięcy. Może rozpozna mój zapach...

— Uważaj — ostrzegł go Oliver. — Nieumarły może nie ma takich samych mocy jak my, ale i tak może cię nieźle przetrzepać.

Sergei przeszedł na drugą stronę ulicy i podszedł do bentleya. Kiedy zbliżył się do samochodu, kierowca Tanith odwrócił się w jego stronę.



- Dixon, to ja - odezwał się Sergei i uniósł dłoń na powitanie. - Pamiętaj mnie, prawda? Potrzebujemy z przyjaciółmi dostać się do środka, do samochodu, to wszystko...

Z głębokim warkotem kierowca pokazał Ser-geiowi obnażone kły. Oczy zabłysły mu rubinową czerwienią, kiedy ustawiał się między intruzem a samochodem.

- Hej! Tylko się nie denerwuj! — Sergei natychmiast się cofnął. Obejrzał się przez ramię na pozostałych i pokręcił głową. - Nie da rady. Dixon nie wpuści nas do tego samochodu. To samo szofer Julesa. Będziemy musieli olać gargulce i zaryzykować lot.

- A może nie! — odezwała się z ożywieniem Melinda. - Jules idzie! Wszyscy jak na komendę obrócili się i zobaczyli przyjaciela, który kuśtykał w ich stronę, z bełtem sterczącym z prawego uda. Jules przystanął na chwilę, żeby go wyszarpnąć, a potem złamać wpół jak zapalną. Przyjaciele stłoczyli się wokół niego.

- Chwała Założycielom!— zawołała Carmen, zarzucając mu ręce na szyję. - Baliśmy się, że zginąłeś!

Jules ją uściskał.

- Wiedziałem, że ci dranie cię nie dogonią. -Sergei roześmiał się z ulgą.

— Gdzie Lilith i Tanith? — spytała niespokojnie Melinda.  
— Nie widzieliście? — odparł Jules, wyraźnie zdziwiony.  
— Obawiam się, że nie — przyznał Oliver. — Kiedy wrzasnąłeś:  
„Van Helsingowie!”, zwialiśmy stamtąd najszybciej jak się dało.  
— Jules... Co się stało? — szepnęła Melinda.  
— Tanith nie żyje.  
— O nie! — jęknęła Carmen, dłonią zakrywając usta.  
— Co? — Sergei, zaszokowany, zamrugał. — Jesteś pewien?  
— Obawiam się, że tak — odparł Jules ze smutkiem. — Stary,  
zginęła... Przykro mi.  
— A co z Lilith? — stęknęła Carmen. — Nic jej nie jest?  
— Nie wiem — odparł ponuro Jules. — Miałem nadzieję, że jest tu  
z wami.  
— To co teraz robimy? — rzuciła Melinda.  
— Bez Lilith się nie ruszam — stwierdził Jules stanowczo. — Już  
straciliśmy Tanith; nie stracę jeszcze i jej.  
Od strony parku biegło wielkimi susami jakieś zwierzę rozmiaru  
irlandzkiego wilczarza. Z mokrej sierści kapiała woda, a oczy płonęły  
błękitem. Nagle pies wspiął się na tylne łapy i przytulił pysk do  
twarzy Julesa.

— Liii! — Jules objął ją ramionami. — Udało ci się!  
I nagle w ramionach Julesa stanęła — całkowicie naga, z mokrymi włosami spływającymi kaskadą na plecy — Lilith. Szukała jego ust.  
— O ja cię... — Spojrzenie Olivera mówiło wszystko.  
Jules szybko zdjął kurtkę i okrył nią Lilith.  
— Przepraszam — powiedziała, lekko zawstydzona. — Kiedy wreszcie Dolce & Gabbana zaczną robić sukienki odporne na przekształcania?  
— Ja tam się cieszę, że wyszłaś bez szwanku.  
— Jules przytulił ją do siebie.  
— Musimy się stąd wydostać — nalegała Lilith. — Słyszałam, co mówili Van Helsingowie. Posiłki niedługo się tu zjawią.  
— Będzie ciasno, ale chyba zmieścimy się w limuzynie. — Jules wskazał na kierowcę. — Marcel! Jedziemy!  
Marcel odłożył szmatkę do polerowania i skinął głową.  
— *Out, monsieur* Jules. — I otworzył swojemu panu tylne drzwi mercedesa. Melinda, Oliver, Carmen, Jules i Lilith wpakowali się na tylne siedzenie, a Sergei zajął miejsce obok kierowcy.  
— A co z szoferem Tanith? — spytała Melinda.  
— Nie powinien jechać do domu?

Jules pokręcił głową.

— Nic się nie da zrobić. Przecież to nieumarły. Nie posłucha nikogo, chyba że płynie w jego żyłach krew Gravesow.

Kiedy samochód ruszał, naga Lilith wsunęła się na kolana Julesa, żeby przez tylną szybę po raz ostatni zerknąć na tamtego szofera. Dixon opierał się o bentleya z założonymi na piersi rękami, cierpliwie czekając na powrót swojej pani. I miał tak czekać, póki wschodzące słońce nie zamieni go w popiół.

Nocny dozorca w Balmoral nawet nie uniósł brwi, kiedy Lilith przeszła przez hol na bosaka, ubrana wyłącznie w kurtkę swojego chłopaka. Był przecież tylko służącym. I nie do niego należało wyrażanie dezaprobaty na temat stroju kogoś z rodziny.

Lilith weszła do windy i nacisnęła guzik ostatniego piętra, odczekała, aż drzwi się zamkną, i dopiero wtedy pozwoliła sobie na rozpacz.

Przez całą powrotną drogę starała się ukryć słabość. Ale prawdę mówiąc, wydarzenia w parku mocno nią wstrząsnęły. Jeszcze nigdy nie była świadkiem niczyjej śmierci - i nie przypuszczała, że będzie patrzeć na śmierć przyjaciółki.

Brutalnie jej przypominano, jak niebezpieczny jest świat zewnętrzny. Szczególnie dla piskląt,

które nie opanowały jeszcze wszystkich umiejętności i ciągle się uczą, jak przetrwać na ulicach Nowego Jorku.

Za każdym razem, kiedy zamykała oczy, widziała Tanith rozciągniętą na ziemi, leżącą jak zepsuta lalka. Gdyby nie zdążyła uskoczyć, to ona by teraz tam leżała. Zmarszczyła brwi i pokręciła głową, usiłując wyrzucić z myśli zdarzenia dzisiejszej nocy.

Wszystkiemu winna jest ta cholerna Nowa Krew, powiedziała do siebie. Gdyby nie przyciągnęła uwagi Van Helsingów i nie przywołała burzy, nic by się nie stało.

Najgorsze jednak było to, że pojawienie się łowców wampirów i śmierć Tanith przerwały walkę między nią a tą nówką. Owszem, tamta trąba powietrzna ją zaskoczyła, ale Lilith była pewna, że koniec końców wygrałaby walkę. Do szału doprowadzało ją to, że dziewczynie udało się uciec bez szwanku. Na pewno teraz chwali się kumplom, jak to dała popalić komuś ze Starej Krwi.

W uszach nadal dźwięczały jej docinki tamtej suki. Przywoływaczka burz czy nie, jeszcze się nie urodziła taka nówka, która dorastałaby Lilith choćby do pięt. Obiecała sobie, że jeśli kiedyś jeszcze zobaczy tę nieszczęsną ofiarę ulicznej mody, wyrwie jej język za to, że w ogóle ośmieliła się do niej odzywać!

Lilith wyszła z windy i zobaczyła, że czeka na nią kamerdyner.

- Witam, panienko Lilith - powiedział tym swoim ładnym brytyjskim akcentem. W ogóle nie zwrócił uwagi na to, że jest nieubrana. - Pan chce z panienką porozmawiać.

- Czy to konieczne? - jęknęła Lilith. - Miałam naprawdę paskudny wieczór. Przecież widzisz. Jestem naprawdę zmęczona...

- Ojciec panienki stanowczo nalegał na rozmowę zaraz po pani powrocie. Stoję tu i czekam na panienkę już... — Kamerdyner wyjął zegarek z kieszonki kamizelki. - Siedem godzin, dwadzieścia sześć minut i pięćdziesiąt osiem sekund.

- No dobrze - westchnęła Lilith. Chociaż nieumarli, którzy służyli rodzinie, zwykle byli posłuszni każdemu jej słowu. Jednak życzenie ojca zawsze bywało ważniejsze.

- Proszę za mną, panienko Lilith. - Curtis otworzył przed nią drzwi apartamentu. - Pan jest w swoim gabinecie.

Dlaczego ojciec chciał z nią rozmawiać? Sam fakt, że czekał na nią w gabinecie, nie wróżył niczego dobrego. Chociaż mieszkała w tym apartamencie od urodzenia, na palcach jednej ręki mogła policzyć sytuacje, w których odwiedzała jego sanktuarium.

Victor Todd, przedsiębiorca budowlany i dyrektor zarządzający HemoGlobe, najlepszej firmy

na rynku banków krwi, zrewolucjonizował środowisko wampirów zarówno Prawdziwie Urodzonych, jak i nieumarłych.

Dzięki jego programowi dostaw przetworzonej krwi, realizowanych na podstawie comiesięcznych zamówień, nie trzeba już było poświęcać całego czasu na tropienie i polowanie na następny posiłek. Teraz nawet najgorsze męty mogły się skupić na swoich potrzebach i zainteresowaniach, polepszając własną egzystencję.

Owszem, w oczach przyjaciół i szkolnych kolegów Lilith, Victor Todd stanowił połączenie Thomasa Edisona, Henry'ego Forda i Billa Gatesa. Dla niej jednak był to ktoś, kto kontrolował każdy aspekt jej życia przynajmniej do czasu, zanim stanie się na tyle dorosła, że będzie mogła wreszcie wyjść za Julesa i zacząć nowe życie jako hrabina de Laval.

Kiedy Curtis statecznie prowadził ją do ojca, ze ścian spoglądały na Lilith portrety. Na moment jej uwagę przykuł portret jej dziadków, Adolphusa Todeskinga i Marcilli Karnstein. Zmarli dziesiątki lat przed jej narodzeniem, więc byli dla niej tylko malowidłami naciągniętymi na ramy obrazów. Lilith wiedziała o nich tylko tyle, że Adolphus zabił Pietera Van Heisinga, gdy legendarny łowca wampirów zamordował mu żonę.

Lilith mogłaby przysiąc, że Marcilla obróciła głowę, spoglądając śladem przechodzącej dziewczyny.

Curtis zawahał się, a potem lekko zastukał do drzwi gabinetu.

— Panienska wróciła do domu, proszę pana.

— Wprowadź ją.

Lilith z trudem przełknęła ślinę i ściślej się otuliła połami pożyczonej kurtki. Nigdy się do tego nie przyznała, ale gdzieś w głębi duszy bała się ojca.

Curtis przytrzymał otwarte drzwi, ale nie wszedł za Lilith do środka.

— Czy będzie pan jeszcze czegoś potrzebował?

— Nie. Możesz już odejść, Curtis.

— Dziękuję panu — powiedział kamerdyner z wyraźną nutką ulgi w głosie i zamknął drzwi, zostawiając Lilith sam na sam z ojcem.

Victor Todd odwrócił wzrok od płaskiego monitora komputera i spojrzał na córkę. Przy swoim majątku i mrocznej urodzie był najbardziej pożądanym mężczyzną spośród znanych i bogatych.

— Zakładam, że z domu nie wyszłaś tak ubrana, młoda damo? — Zmarszczył brwi.

— Nie, ojczy — odparła Lilith potulnie. — Jeśli jesteś zajęty, to wrócę później, kiedy się już przebiorę...



— Nie ma takiej potrzeby. Sprawdziłem tylko parę inwestycji zrobionych na zagranicznych giełdach. Euro stoi bardzo wysoko - powiedział z satysfakcją. - Musimy sobie porozmawiać. Po pierwsze, co do twojego wczorajszego zachowania w klubie, chciałbym usłyszeć, co sobie właściwie wyobrażałaś. Potem wyjaśnisz, dlaczego jesteś ubrana w to coś.

— Wiesz, co się stało w Dzwonnicy? — spytała Lilith, grając na zwłokę.

— Oczywiście, że wiem — odpowiedział ze znużeniem. — Jestem współwłaścicielem klubu. Powinnaś wiedzieć, że mam udziały we wszystkich przyjaznych wampirom interesach w tym mieście.

— Bawiliśmy się, to wszystko. — Lilith wbiła wzrok w dywan. — I to nie tylko ja... Tanith i Carmen też go ugryzły.

— Nic mnie nie obchodzi, co zrobiły albo czego nie zrobiły inne dziewczyny — odparł Todd surowo. - One nie są moimi córkami, a ty owszem.

— Tak, ojcze - westchnęła Lilith ponuro.

— Co cię w ogóle opętało, żeby robić coś tak lekkomyślnego i pić z gwinta w klubie? I pomińmy kwestie bezpieczeństwa. Zastanawiałaś się w ogóle, czy jesteś gotowa przyjąć na siebie odpowiedzialność za sprowadzenie na ten świat nieumarłego?

— Przecież to się nie mogło stać — powiedziała Lilith, wzruszając ramionami z nonszalancją. — Jestem za młoda, żeby tworzyć nieumarłych.

— Na szczęście faktycznie nadal tak jest. Ale już wkrótce, Lilith. Za cztery, może pięć lat skończysz dorastać i osiągniesz dojrzałość. Przestaniesz odbijać się w lustrze, twój proces starzenia się zwolni do jednej dziesiątej wieku ludzi, a ugryzienie zacznie przemieniać tych, którymi się żywisz, w nieumarłych...

— Tatusiu, czy my dzisiaj naprawdę musimy odbywać tę umoralniającą gadkę o motylkach i nietoperzach? — jęknęła Lilith, przewracając oczami z zażenowania.

— Lepiej omówić te sprawy teraz, zanim będzie za późno. Przecież nie mogę liczyć na twoją matkę, prawda?

— Prawda, ojciec — zgodziła się Lilith.

Nie mogła sobie przypomnieć, kiedy ostatnio rozmawiała z matką. Poświęciwszy ponad sto lat na desperackie próby spłodzenia potomka, Irina Wieszczy spędzała teraz ze swoim małżonkiem i dzieckiem jak najmniej czasu.

— Sprowadzanie nieumarłych na ten świat to poważna sprawa, Liii. Będą ci służyli bez skrupułów i wyrzutów przez całe stulecia. Możliwe, że nawet cię „przeżyją” i zostaną przekazani twoim spadkobiercom, kiedy nadejdzie czas, tak jak

Bruno, Esmeralda i Curtis. Każdy chętnie dla ciebie zabije i dla ciebie zginie. Jeżeli zginiesz, zanim przekażesz prawo krwi, choćby i uzurpatorowi, to oni też przestaną istnieć. Nieumarh stanowią prawdziwą opokę, na której w naszym środowisku opiera się władza. Pamiętaj, lepiej mieć krypty pełne nieumarłych niż lochy pełne złota. Dlaczego? Bo to wampir o najsilniejszym prawie krwi dostaje złoto. To takie proste. Jestem potężny, a jeśli nas zdradzisz, będziesz odpowiadać przed Synodem. Człowiek, którego zaatakowałaś w klubie, Lilith, jest znany. A w czasach połączeń satelitarnych, prasy internetowej i CNN jeszcze ważniejsze niż kiedyś jest zachowywanie dyskrecji. Jeśli Lord Kanclerz uzna cię za winną, stwierdzi, że zwróciłaś na nas uwagę opinii publicznej, zostaniesz pozbawiona klów.

- To barbarzyństwo! - Lilith aż sapnęła, odruchowo zakrywając usta.

- Istotnie - odparł jej ojciec. - W dawnych czasach oznaczało to wyrok śmierci, bo skazany powoli ginął z głodu. Rozumiesz już teraz, dlaczego będzie mądrzej, jeśli zrezygnujesz z robienia takich rzeczy, za które mogłabyś zostać postawiona przed Synodem?

- Tak, ojczu - odparła nadąsana.

- I nie chodzi tylko o to. Nie chcę też, żebyś zrobiła coś, co każe de Lavalom zastanowić się

nad sensem wżeniania się w naszą rodzinę, rozumiesz? A więc? Obiecasz mi, że już nigdy w żadnym klubie nie będziesz piła z człowieka?

— Tak, ojcze.

— Bardzo dobrze. — Todd westchnął z ulgą. — A teraz, może zechcesz mi wyjaśnić, dlaczego stoisz przede mną ubrana wyłącznie w męską kurtkę? Co się stało z twoją sukienką?

— Podarła mi się, kiedy się przekształcałam.

— Przekształcałaś się? - Todd się nachmurzył. - Jak do tego doszło?

— To długa historia - odparła Lilith, nadal wpatrując się we własne stopy.

— Dlaczego nie jestem zdziwiony?

— Przepraszam, tatusiu. Naprawdę bardzo przepraszam. Ale to nie była moja wina - powiedziała Lilith i nagle słowa zaczęły płynąć niepowstrzymanie. - Byliśmy wszyscy u Tanith, po prostu się wygłupialiśmy. Nudziło nam się, bo nie mogliśmy iść do klubu. I skończyło się na tym, że trafiliśmy do parku Waszyngtona...

— A to czyj był pomysł?

— Julesa.

Na dźwięk jego imienia ojciec złagodniał.

— Pojechaliście do Village? Ale po co?

— Chcieliśmy się tylko zabawić, to wszystko, naprawdę.

- Lilith, wiem, że kłamiesz. Albo przynajmniej nie mówisz mi wszystkiego. Ale mam za sobą naprawdę długą noc i jestem zbyt zmęczony, żeby bawić się w te twoje gierki. - Pochylił się w stronę interkomu. - Jeśli mi nie powiesz, co robiłaś ze swoimi kolegami w Village, będę musiał zastrzec twoje karty kredytowe.

- Nie! Nie rób tego!

- To powiedz mi prawdę.

- Dobrze. Wygrałeś - westchnęła, garbiąc się ze zrezygnowaną miną.

- Wybraliśmy się na slumsowanie.

Victor Todd zerwał się z fotela, jakby kopnął go prąd.

- Co takiego?! - Jego głos zabrzmiał tak głośno, że ściany pokoju się zatrzęsły. - Ze wszystkich głupot, jakie mogłaś wymyślić! I to po wszystkim, co osiągnąłem! Przecież HemoGlobe istnieje właśnie po to, żeby nie dochodziło do takich sytuacji! Na Założycieli, dziecko, coś ty sobie myślała?!

- Pomyśleliśmy, że tym razem będzie bezpiecznie ...

- Bezpiecznie? To jak rosyjska ruletka. Nie masz szans! Za każdym razem, kiedy pokazujesz się gdzieś publicznie, narażasz się na atak Van Helsingów! A już ty szczególnie powinnaś wiedzieć, jak wyróżniasz się w tłumie!

- Przysięgam, naprawdę byliśmy ostrożni! Wszystko było jak trzeba. A potem pojawiła się ta Nowej Krwi i wszystko zaczęło się wymykać spod kontroli...

- Nowa Krew? - Mars na czole Todda się pogłębił.

- Tak. To ona jest tak naprawdę odpowiedzialna za to, co się stało. Gdyby nie ona, Van Helsingowie nigdy nie dowiedzieliby się, że tam byliśmy.

- A co zrobiła?

- Próbowwała zaatakować mnie uderzeniem pioruna.

- Przywoływaczka burz?! - Todd chyba naprawdę zdziwił się tą informacją. - Jesteś tego pewna? Myślałem, że mówiłaś, że ona była Nową Krwią.

- No cóż, tak zakładałam — zapewniła Lilith. - Znaczy, znam wszystkie dzieciaki Starej Krwi, a jeszcze nigdy tej dziewczyny nie widziałam...

- No i co się stało potem?

- Tanith została nadziana — odparła Lilith głosem niewiele silniejszym od szeptu.

- Na Założycieli... - wymruczał Todd, zszokowany. - Czy ona... ? Lilith pokiwała głową.

- Rozumiem. - Todd potarł dolną wargę kłykiem wskazującego palca, znak, że zatopił się

we własnych myślach. — No dobrze. Idź się położyć, Lilith. Dopilnuję, żeby Dorian i Georgina zostali zawiadomieni. Victor Todd obserwował córkę idącą do drzwi gabinetu. Kiedy zamykała drzwi, obejrzała się jeszcze przez ramię. Jej jasne oczy połyskiwały od łez.

- Tatusiu? — odezwała się łamiącym się głosem.

- Tak, Lilith? - powiedział miękko.

— Ale nie zablokujesz mi kart, prawda?

— Nie, księżniczko — westchnął. — Oczywiście, że nie.

## **Rozdział 6**

Cally mieszkała z matką na ostatnim piętrze sied-miopiętrowej kamienicy, która kiedyś stanowiła magazyn organów czy coś równie wiktoriańskiego. Ich mieszkanie było jednym z wielu stworzonych specjalnie dla artystów, studentów i urzędników, zmuszonych wynieść się z okolic Lower East Side w poszukiwaniu niższych czynszów.

W porównaniu z innymi miejscami, gdzie zdarzało im się mieszkać, ten apartament z trzema sypialniami i dwiema łazienkami, który teraz nazywały domem, stanowił istny pałac. Faktycznie, z salonu rozpościerał się świetny widok, a wielki balkon wychodził na most Williamsburg. Kuchnię wyposażono we wszelkie urządzenia marki Viking, z nierdzewnej stali, włącznie z sześciopalnikową kuchenką. Właściwie nie miało



to znaczenia, skoro mama Cally nie umiała gotować i nie miała najmniejszego zamiaru się tego nauczyć.

Kiedy dziewczyna wychodziła z windy, usłyszała dudnienie subwoofera domowego kina. Westchnęła i uniosła oczy do nieba. Na pewno znów dostaną nieprzyjemny liścik od zarządu spółdzielni.

Matka Cally, Sheila Monture, siedziała na zabytkowym szezlongu, krytym czerwonym pluszem, naprzeciwko ogromnego plazmowego telewizora HD i znów oglądała *Drakulę* Francisa Coppoli. Cally poznała scenę, w której Anthony Hopkins i Keanu Reeves wpadają do sypialni Winony Rider i przyłapują ją w objęciach Gary'ego Oldmana.

- Wróciłam! - zawołała Cally, otwierając drzwi i przekrzykując grzmiący na cały regulator telewizor. Zauważyła, że zasłony zawieszane na wysokich oknach w salonie są rozsunięte, żeby matka mogła spoglądać w kierunku East River.

Sheila Monture obróciła się nagłym ruchem, zaskoczona niespodziewanym pojawieniem się córki. Wzięła pilota i ściszyła film.

- Kochanie, już jesteś...? Miałam nadzieję, że wrócisz do domu na tyle wcześnie, żebyśmy mogły porozmawiać!

Kiedy matka wstała, żeby się przywitać, Cally zobaczyła, że ma na sobie bladolewandowy negliz z szerokimi rękawami i czarną perukę z pasmem białych włosów. Przez lata Cally zdążyła się zorientować, że matka dobiera sobie kostium do nastroju. Ile razy chciała wydać się wyrafinowana i niedostępna, ubierała się jak Morticia Addams, jeśli chciała grać osobę macierzyńską i konkretną, przebierała się za Lily Munster.

— Porozmawiać? O czym? — spytała Cally nieufnie.

— Dziś wieczorem rozmawiałam z twoim ojcem — zaszcebiotała Sheila pogodnie, ignorując ton głosu córki.

— Teraz się uaktywnił! — sarknęła Cally.

— Ależ, kochanie, nie mów tak! — Sheila Monture przesadnie zmarszczyła brwi, przyciskając obie dłonie do piersi. — Twój ojciec naprawdę się tobą przejmuje.

Cally przeszła przez salon i wyjrzała przez okno na most i jego metalowe pylony, jarzące się światłami na tle nocy.

— Kochanie, ojciec postanowił dać ci dużą szansę. Zaczynając od poniedziałku, będziesz chodziła do Bathory Academy — powiedziała matka, rozkoszując się tymi słowami.

Cally z niedowierzaniem obróciła się szybko na pięcie.

— Ale dlaczego mam akurat tam chodzić? Przecież w zeszłym roku dostałam świadectwo z wyróżnieniem w Varney Hall!

— No właśnie o to chodzi, kochanie. Twój ojciec jest bardzo ważnym i zajęтым człowiekiem. Nie zawsze ma czas wszystkim się zająć. Zwykle przesyłam twoje świadectwa osobom, które załatwiają dla niego interesy, więc trochę to potrwało, zanim ojciec zwrócił uwagę na twoje szkolne osiągnięcia. Ale kiedy już je dostrzegł, był naprawdę pod dużym wrażeniem. Powiedział mi dzisiaj wieczorem, że marnujesz się w Varney. Przecież to tylko szkoła dla Nowej Krwi. Twój ojciec chce ci pomóc! To takie wspaniałe!

Cally gwałtownie zaprzeczyła.

— Możesz mu powtórzyć, żeby to sobie wybił z głowy! Mam w Varney przyjaciół. Nie będę chodzić do przybytku dla lalun Starej Krwi!

Nieco zbyt szeroki uśmiech Sheili Monture zbladł. Matka zaczęła wykręcać ręce, co nigdy nie było dobrym znakiem.

— Ale, Cally, musisz. Jeśli się nie zgodzisz, twój ojciec przestanie nas chronić, finansowo też. Będziemy musiały znów się przeprowadzić.

Cally uniosła ręce w geście obrony.

— Przeprowadzić? Przecież kupiłaś to mieszkanie za pieniądze po babci.

— Wykorzystałam je na zaliczkę, ale to twój ojciec wnosi comiesięczną ratę kredytu i robi inne opłaty.

— Może ten gest coś by dla mnie znaczył, gdybym wiedziała, kim właściwie jest mój ojciec — rzuciła Cally. — Nigdy go nie widziałam, nie słyszałam nawet jego głosu! Nie znam jego nazwiska! Wiem tylko, że jest zbyt ważny i zbyt zajęty, żeby poświęcić mi trochę czasu. I że jest żonaty z kimś innym. I nie chce mnie znać!

— Cally, proszę cię, nie mów w taki sposób — błagała matka. — Nie można go o to obwiniać. Twoja babka nie dopuszczała do ciebie ojca. Wiesz o tym. Wierz mi, kiedy uzna za stosowne, ujawni się. Do tego czasu będzie bezpieczniej, jeżeli nie poznasz jego tożsamości. Jest wpływowym człowiekiem i ma potężnych wrogów, którzy nie cofną się przed niczym, żeby tylko zniszczyć jego potomków.

— Więc tylko tym dla niego jestem? Zabezpieczeniem przed wyginięciem rodu?

Sheila Monture chciała zaprzeczyć, ale powstrzymała się i odwróciła głowę. Cally jęknęła z niesmakiem.

— Tak, tak właśnie myślałam. Jeśli będziesz mnie potrzebowała, jestem w swoim pokoju.

Cally ruszyła w stronę holu, ale Sheila złapała ją za rękę.

- Proszę cię, Cally... Dziecko, błagam cię, zrób to, czego chce ojciec. Nie mogę się stąd wyprowadzić! Podoba mi się tu, w Williamsburgu, i wiem, że tobie też tu dobrze! Mieszkańcy artystycznej dzielnicy są tacy wyrozumiali. Dobrze tu się czuję. Nikt się na mnie nie gapi, kiedy wychodzę, a przynajmniej nie za bardzo. Nie chcę znów się wyprowadzać i skończyć tam, gdzie sąsiedzi będą nas traktować jak dziwaczki.

- Mamo, nie obciążaj mnie tym... Tak nie wolno.

- Cally, proszę... - mówiła drżącym głosem Sheila. Łzy zbierające się w kąciakach oczu już rozpuszczały tusz do rzęs. - Po prostu zgódź się i zrób dla swojej mamy ten jeden drobiazg...?

Cally zacisnęła zęby i powiedziała sobie, że się nie podda. Nie rym razem. Usiłowała wyrwać rękę, ale matka nie chciała jej puścić.

Bardzo łatwo byłoby zmusić ją, żeby to zrobiła, ale Cally nie miała najmniejszej ochoty jej krzywdzić. Jej matka i tak już wiele przeszła w życiu.

Wzięła głęboki oddech i wypuściła go z długim westchnieniem.

- Dobra, mamo, wygrałaś. Pójdę tam.

## ROZDZIAŁ 7

Instytut Van Helsinga miał siedzibę w rozłożystej georgiańskiej rezydencji położonej na trzech hektarach gruntu, w Connecticut, w okolicy znanej z hodowli koni. Przez ostatnie osiemnaście i pół roku stanowił dom i szkołę dla Petera Van Helsinga. Z czasem chłopak miał przejąć prowadzenie firmy i pójść w ślady swoich przodków. A przynajmniej tak mu się wydawało, dopóki nie natknął się na Cally. Peter ostrożnie przeszedł przez obszerny gabinet w stronę wielkiego mahoniowego biurka stojącego przed kominkiem. Kiedy próbował iść zbyt szybko, świeżo pęknięte żebro piekielnie bolało, jakby ktoś dźgał go włócznią w bok. Cieszył się, że nie ma ojca, bo jeszcze nie był pewien, co mu powie.

Peter spojrział na portret swojego praprapradziadka wiszący nad kominkiem. Ubrany w ciemny fular z szeroko wywiniętym kołnierzykiem, zgodnie z modą z lat trzydziestych XIX wieku, słynny Pieter Van Helsing wydawał się przyglądać swojemu najmłodszemu krewnemu z dezaprobatą.

Poczucie winy, niemal tak mocne jak dokuczający mu ból żebra, zmusiło Petera do odwrócenia wzroku. Spuścił wzrok na stos akt, pełnych wydruków, raportów, fotografii i wycinków prasowych, które zaścielały biurko. Chociaż wiele z tego, co znajdowało się w starych kartonowych folderach już dawno przeniesiono na nośniki elektroniczne i przekształcono w komputerową bazę danych, ojciec był człowiekiem staroświeckim i wołał prawdziwe dokumenty.

Podchodząc bliżej, Peter usłyszał chrobot łańcucha. Gargulec uniósł głowę znad chodnika przy kominku z warkotem tak niskim, że Peter bardziej go odczuł, niż usłyszał. Rozmiarów i budowy mniej więcej mastifa, stworzenie to miało naga szarozieloną skórę i nietoperzo-wate skrzydła wyrastające u ramion. Powęszyło powietrze i dudniący warkot ucichł, zastąpiony przyjaznym, radosnym piskiem rozpoznania.

— Masz ochotę na coś smacznego, Talus?

Goly, jaszczurkowaty ogon gargulca zaczął niecierpliwie uderzać o chodnik, kiedy Peter otwierał wieczko starego drewnianego pudełka na cygara. Wyjął ze środka jedną ze zdechłych myszy i rzucił ją śliniacemu się zwierzakowi. Talus złapał rzucony mu smakołyk i znów popatrzył wyczekująco na Petera.

— Jedna ci wystarczy — roześmiał się chłopak, grożąc mu palcem. - Nie chcę, żeby tata się na mnie gniewał, jeżeli nie zjesz później obiadu!

Jak na zamówienie drzwi gabinetu otworzyły się i do środka wszedł Christopher Van Helsing, prezes i dyrektor zarządzający Instytutu Van Helsinga, najstarszej na świecie świeckiej instytucji świadczącej usługi eksterminacji istot nadprzyrodzonych. Z szopą wijących się siwych włosów i uważnym, skupionym spojrzeniem, jakie zawsze zdawało się mu towarzyszyć, przypominał Beethovena.

— Peter! — odezwał się Van Helsing, szybko podchodząc do rannego syna, żeby go przywitać. - Mój dzielny chłopak! Jak twoje zebra?

— Chyba nieźle — powiedział Peter, krzywiąc się w uścisku ojca. — Lekarze z pogotowia powiedzieli, że jedno jest pęknięte, ale niczego na szczęście nie zламаłem. Za chwilę idę do ambulatorium, Doc Willoughby mnie opatrzy. Cze-



kam tylko, aż skończy zajmować się Big Ikiem i Drummerem.

- Cieszę się, że nic ci nie jest. W każdym razie dobrze, że na nas, Van Helsingach, rany się szybko goją, prawda? - odezwał się ojciec.

- Tak, tato - zgodził się Peter.

- Jesteś gotowy porozmawiać o tym, co się stało w metrze?

- Chyba tak, tato. - Peter wzruszył ramionami.

- Jakiś problem? - Van Helsing zmarszczył brwi, zdziwiony brakiem entuzjazmu Petera. — Kiedy widziałem cię po raz ostatni, byłeś nakrecony swoim pierwszym solowym zadaniem.

- Chodzi mi tylko o to, że na mnie liczyłeś, tato, a ja cię chyba zawiodłem.

- To nie twoja wina, że misja się nie powiodła, synu - odparł ojciec. - To była jedna wielka porażka.

- Tak, tato - mruknął Peter, wbijając wzrok w podłogę.

- A przy okazji... - Van Helsing podszedł do biurka i wcisnął klawisz interkomu. - Powiedz Remy'emu, żeby przyszedł do mojego biura. Natychmiast.

- Tak, proszę pana - odparł jakiś kobiecy głos. — Już do pana idzie.

Ojciec Petera usiadł za biurkiem, a Talus się ożywił.

- I kto się cieszy, że tatuś przyszedł? - odezwał się Van Helsing, drapiąc stwora za nietope-rzowatym uchem. - Tak, ty się cieszysz, Talus! Cieszysz się, że tata wrócił, tak?

- Właśnie dałem mu mysz - ostrzegł Peter ojca. - Nie daj się nabrać, że zdycha z głodu.

- Tracę silną wolę przy tym zwierzaku i on o tym wie - powiedział Van Helsing z zaskakującą u niego szczerością. - Trudno się do nich nie przywiązać, kiedy się je wychowuje od pisklaka.

Rozległo się pukanie i Remy wsadził głowę przez drzwi.

- Chciał pan mnie widzieć, szefie?

Van Helsing przytaknął i ruchem ręki kazał mężczyźnie wejść. Jego uśmiech znikł. Zastąpiła go ponura mina.

- Owszem, Remy, chciałem. Wysłałem cię z innymi, żebyście zastawili prostą pułapkę, i to na młodą dziewczynę. Chciałbym, żebyś mi wyjaśnił, jak to się stało, że mój najlepszy agent operacyjny jest w ciężkim stanie po porażeniu prądem, lider zespołu uderzeniowego ma ramię wybite ze stawu, a mój syn liczne ślady po ugryzieniach i pęknięte zebro. Remy przelknął ślinę z takim wysiłkiem, że jabłko Adama się poruszyło.

- Szefie, mogę to wyjaśnić! Wszystko mieliśmy pod kontrolą, ale zanim zdjęliśmy cel, pojawiła się grupa staroci...

Van Helsing uniósł brew.

- Dorosłych czy piskląt?

- Piskląt, o ile udało nam się zorientować. Byli mniej więcej w tym samym wieku, co ta przywoływaczka burz. Przynajmniej trzy pijawy. Samiec i dwie samice.

- No tak, slumsowali. - Van Helsing pokiwał głową z niesmakiem.

- Jedna z samic wdała się w zatarg z naszym celem. I od tego wszystko się zaczęło. Zanim się połapaliśmy, znaleźliśmy się w środku trąby powietrznej. Big Ike zdecydował się zaatakować tych ze Starej Krwi, żeby nie dopadli przywoływaczki burz.

- Udało mu się? Remy przytaknął.

- Nadział jedną z samic. Zdobycz jest teraz czyszczona i przygotowywana. Potem wszystko wzięło w łeb. Przywoływaczka burz zaatakowała Ike'a. Potem wtrącił się osobnik męski. Wleciał w sam środek. Zraniliśmy go, ale najpierw omal nie wyrwał Drummerowi ramienia ze stawu.

- A ta druga samica?

- Zbiegła. Jak mówiłem, szefie, wszystko mieliśmy pod kontrolą, dopóki nie pojawiła się Stara Krew.

**105**

- Rozumiem - powiedział Van Helsing. -A ty, Peter? Czy ta pijawa, która zaatakowała cię w metrze, to ta sama, którą Drummer namierzył w parku? Tamta przywoływaczka burz?
- Nie jestem pewien. - Peter wiercił się niespokojnie. - To wszystko stało się tak szybko. Ledwie ją zauważyłem, kiedy skoczył na mnie tamten szczur.
- Widziałeś, do którego pociągu wsiadła? W kierunku centrum czy przedmieścia?
- Centrum - rzucił szybko Peter. - Zdecydowanie w stronę centrum.
- Bardzo ciekawe - zastanawiał się Van Helsing, robiąc notatki.
- Jesteś pewien, że to ta dziewczyna, której szukałeś? - spytał Peter. Ojciec najwyraźniej dał się nabrać. Dlaczego skłamał? Kiepsko się z tym czuł, ale musiał to zrobić dla Cally.
- Synu, jeszcze nigdy w życiu nie byłem niczego tak pewien. Remy, masz jakichś tajnych agentów pracujących poza Manhattanem?
- Mam paru ludzi, którzy obstawiają ten klub w Williamsburgu, gdzie parę tygodni temu widziano przywoływaczkę burz.
- Dobrze. Przenieś ich w rejon śródmieścia i Upper East Side. Skoro babka znikła, jest szansa, że dziewczyna zbliży się z ojcem. Jak się

dowiemy, kim jest, będzie nam łatwo go śledzić. W końcu zaprowadzi nas do niej.

- Tak, szefie. - Remy obrócił się na pięcie i szybko wyszedł z gabinetu.

Peter spojrzał na ojca, który marszcząc brwi, przeglądał notatki z informacjami na swoim biurku. Christopher Van Helsing przerzucał kartki w zadumie. W tej chwili składał elementy układanki. Peter wiedział, że ojciec potrafi tak milczeć godzinami, kiedy wpadnie w jeden z tych swoich nastrojów.

- To ja już lepiej pójdę, tato.

- Nie. Zostań, chłopcze, i pogadaj ze mną -odparł ojciec, nie podnosząc wzroku. - Jesteśmy już blisko. Bardzo blisko. Twój dziadek, niech spoczywa w pokoju, nauczył mnie, że najcenniejszym narzędziem w arsenale łowcy wampirów jest jego intuicja. **A** moja mi podpowiada, że jesteśmy na właściwym tropie, synu. Czuję to w kościach. To tej przywoływaczki burz szukamy. Jest w odpowiednim wieku. **A** zapewniam cię, że starsza pani umiała ciskać pioruny jak najlepsze z nich. Mamy podstawy podejrzewać, że mogła przekazać tę umiejętność wnuczce, może nawet wzmocnioną. Jeśli ta dziewczyna jest tym, kim mi się wydaje, jeśli jest tym czymś, czym **mi** się wydaje, to mogłaby stanowić największą broń do

wykorzystania przeciwko wampirzej rasie, jaką Instytut Van Helsinga dysponował od czasów samego Pietera.

- A jeśli ona nie będzie chciała nam pomóc? Co się wtedy stanie?

- Jeśli ona albo jej babka, zakładając, że staruszka jeszcze żyje, okażą się wrogiem naszym planom, będzie je trzeba zlikwidować.

Peter zamrugnął zdziwiony.

- Ale ja myślałem, że ta kobieta jest twoją znajomą.

- To prawda - zgodził się Van Helsing z żalem na twarzy. - Znam Sine Monture, odkąd byłem dzieckiem. Dołączyła do Elit jeszcze wtedy, kiedy twój dziadek, Leland, wszystkim rządził. Była jedną z najpotężniejszych białych czarownic, jakie kiedykolwiek pracowały dla instytutu. Sina wyszła za mąż za Cyrila Monturea, najlepszego przyjaciela twojego dziadka i mojego ojca chrzestnego. Żadne z nich nie było już wtedy młode, więc wszyscy się zdziwiliśmy, kiedy urodziła się Sheila. Rozpuścili małą straszliwie i wyrosła na jedną z tych dziewczyn, które pociąga niebezpieczeństwo. Fascynowały ją wampiry. Przez cały czas oglądała filmy na ich temat, czytała książki o nich. Wreszcie zaczęła ich szukać. Znalazła nawet wampira kochanka.

Biedny Cyril dostał ostrego zawału, kiedy zobaczył, że jego córkę porywa ten demon. Zmarł na moich rękach. Sina już nigdy potem nie była sobą. A dwa lata później, bez najmniejszego ostrzeżenia, odeszła z instytutu. Wszyscy zakładaliśmy, że Sheila została zamieniona w nieumarłą, ale zdaje się, że ten wampir zatrzymał ją jako kochankę. Kiedy zaszła w ciążę, zdecydowała się pogodzić z matką. Natychmiast zdałem sobie sprawę z potencjału tego dziecka, jako broni przeciw wampirom, i skontaktowałem się z Siną. Zagroziła, że wykorzysta swoje moce przeciwko mnie, jeśli kiedykolwiek spróbuję zbliżyć się do niej lub do jej wnuczki. Zrozumiałem wtedy, że kobieta, którą kiedyś znałem, została bezpowrotnie skorumpowana, jak wszyscy, którzy układają się z wampirami i ich potomstwem.

- Ale... Likwidacja? Nie ma innego wyjścia? - spytał Peter, starając się nie okazywać ogarniającego go obrzydzenia.

- Lepsze to niż gdyby dziewczyna miała wpaść w ręce naszych wrogów.

Peter miał mętlik w głowie, kiedy wychodził z gabinetu ojca. Jako mały chłopiec czasami zmyślał, ale to były drobne kłamstewka, jakie często dzieci opowiadają rodzicom. Ale to, co właśnie

zrobił, było o wiele poważniejsze niż wykręty na temat ciasteczek, które znikły, albo grania w piłkę w domu.

Do tej pory Peter chciał tylko polować na wampiry i je zabijać, tak samo jak jego ojciec i dziadek, i pięć pokoleń wstecz. Niecałe dwadzieścia cztery godziny temu był tak nakręcony przed swoją pierwszą solową operacją, że nie mógł spać. Teraz jednak myślał wyłącznie o Cally.

Nadal czuł ciężar i ciepło jej ciała, mocno do niego przytulonego. Ile razy zamykał oczy, widział jej twarz, kiedy patrzyła na niego z okna pociągu jadącego na Brooklyn i z uśmiechem machała mu ręką na pożegnanie.

Peter cieszył się i martwił siłą uczucia, które go ogarniało. Jego ojciec twierdził, że wampiry potrafią zbrukać nawet najczystsze serce przy wystarczająco intensywnym kontakcie. Ale przecież to nie dotyczyło Cally? Ona nie była jak inni. Dowodził tego fakt, że Peter jeszcze żył.

Czuł, że musi ją znów zobaczyć — zupełnie jak tygrys musi zaspokoić pragnienie. Ale jak? Wiedział, że mieszka na Brooklynie, ale gdzie tak dokładnie nie? Nagle przypomniał sobie, że Remy wspominał o jakimś obecnie obserwowanym klubie w Williamsburgu, gdzie ją widziano. Nietrudno byłoby dowiedzieć się, jak się to miejsce



## Rozdział 8

Ponieważ Gravesowie wyjechali z kraju, a Lilith była najbliższą przyjaciółką ich córki, tradycja nakazywała, żeby to ona została gospodynią Totentanzu zorganizowanego po śmierci Tanith, na którym zebrani musieli wyrazić współczucie, a potem śpiewać, tańczyć i pić na cześć zmarłej.

Kiedyś takie imprezy ciągnęły się tygodniami. Ale teraz nie było czasu na przygotowania, poza tym wszyscy byli bardzo zajęci. Dlatego Totentanz Tanith został z konieczności ograniczony do jednego wieczoru.

— Tu jesteś! — Sebastian przybrał minę, która miała wyrażać coś w rodzaju współczucia. — Byłem po prostu przerażony, kiedy dowiedziałem się, co się stało, kochana!

- Dziękuję ci, Seb - odparła Lilith, kiedy cmokali się w policzki. — Kochany jesteś, że się zgodziłeś, żeby Totentanz dla Tanith odbył się tutaj.

— Biorąc pod uwagę okoliczności, przynajmniej tyle mogę zrobić.

— Sebastian westchnął. — Poza tym w niedziele nic się tu nie dzieje.

Dzięki e-mailom i forom internetowym wiadomość o śmierci Tanith z rąk Van Helsingów rozeszła się lotem błyskawicy wśród dziewczynek z Bathory Academy i z Ruthvenu. A także wśród wielu wampirów, które niedawno ukończyły te szkoły. Lilith rozejrzała się po klubie i popatrzyła na tych pięknych młodych mężczyzn i kobiety, którzy popijali naszprycowaną krew.

— Cieszę się, że mamy taki duży odzew — powiedziała.

- Och! Rene, patrz! Jest Lilith!

Lilith obróciła głowę w stronę pisku i westchnęła na widok Rene Grimshaw i Bianki Mortimer, które parły w jej stronę.

Uzbroiła się w zdawkowy uśmiech i powiedziała:

— Miło, że wpadłyście.

- Och, za nic byśmy tego nie przepuścili, Liii! — zawołała Rene. — Przecież każdy, kto coś znaczy, tu jest!

— Jestem pewna, że Tanith by to doceniła — ucięła Lilith sucho.

— Och! Czy to prawda, że tam byłaś, kiedy Tanith zabito? — spytała Bianca z oczami błyszczącymi od niezdrowej fascynacji.

Rene nachyliła się wyczekująco.

— Jak to wyglądało? Obrzydliwie? Myślisz, że ją bolało?

— Nie wiem — odparła Lilith, zaskoczona nawalem pytań. — To się stało tak szybko...

— Nie bałaś się?

Zanim Lilith zdążyła odpowiedzieć, Bianca szturchnęła Rene, wskazując kogoś po drugiej stronie sali.

— A to nie Dustin Grabstein? Ten, w którym się podkochiwałaś?

— O bogowie! — Rene zachichotała i udąła, że mdleje.

— Chodź! — Bianca szarpnęła przyjaciółkę za ramię. — Pogadamy z nim.

— Cześć, Lilith! — zawołała Rene przez ramię. — Do zobaczenia jutro wieczorem w szkole!

Sebastian roześmiał się, kiedy Bianca i Rene się oddaliły.

— Nie przejmuj się gadaniną tych lalek. Kochanie, zadbam o to, żeby naprawdę bliscy przyjaciele Tanith trafili na górę.

Kiedy weszła na Chór, Jules wstał na jej widok. Oczy połyskiwały mu w półmroku.

- Przepraszam za spóźnienie — powiedziała.

- Zamówiłbym ci drinka, ale nie chciałem, żeby skrzepł przed twoim przyjściem. Przyniosę ci...

Lilith zdziwiła się, że Jules zachowuje się tak troskliwie. Zrobiło jej się przyjemnie. Usiadła na sofie obok Melindy i dopiero po chwili dotarło do niej, że kogoś brakuje.

- Widział ktoś Sergeia? - spytała.

- Jest gdzieś tam - odparł Oliver mało konkretnie.

Lilith zastanawiała się, czy Sergeiowi jest przykro. Nagle zobaczyła przed oczami obraz ciała Tanith, skulonego na ziemi. A potem na miejscu twarzy Tanith własną twarz.

Spojrzała na ręce i zobaczyła, że drżą.

- Przepraszam was na moment - powiedziała, chwytając torebkę.

Kiedy szła do damskiej łazienki, poczuła, że ogarnia ją panika.

Chociaż wiedziała, że to nie ma sensu, musiała zobaczyć swoje odbicie w lusterku, żeby się upewnić, że to nie ona zginęła. Po prostu musi na siebie spojrzeć, i wszystko.

Kiedy otworzyła drzwi do damskiej łazienki, odruchowo zerknęła na posadzkę pod kabinami,

żeby sprawdzić, czy któraś z nich jest zajęta. W najdalszej widać było parę męskich nóg w czarnych skórzanych spodniach, które opadły aż do kostek.

W pierwszej chwili Lilith pomyślała, że któryś z facetów spił się i pomylił toalety. Potem jednak usłyszała dochodzące z kabiny szybkie oddechy i kobiece jęk ekstazy. Lilith uśmiechnęła się i pokiwała głową, natychmiast zapominając o niepokoju. Czy może być lepszy sposób naplucia śmierci w twarz niż szybka miłość w czasie Totentanzu?

Podsluchiwanie pary tajemniczych kochanków zaczynało ją podniecać. Kiedy przyjrzy się już sobie w lusterku, poszuka Julesa i sprawdzi, czy jest skłonny do przygód jak właściciel tych skórzanych spodni.

Kabina zaczęła mocno wibrować, jakby para za drzwiami usiłowała je wyrwać z zawiasów. Kobięce okrzyki zrobiły się gorączkowe, a mężczyzna długo westchnął. Chwilę później ukazała się druga para nóg, tym razem zdecydowanie kobiecych. Drzwi kabiny się otworzyły.

Lilith zastanawiała się, czy nie powinna się schować w sąsiedniej kabinie, ale darowała to sobie. Była bardzo ciekawa, kim są tajemniczy kochankowie. A poza tym, czy oni naprawdę oczekiwali prywatności?

Wysoka, chuda dziewczyna o długich, czarnych włosach wyszła chwiejnie z kabiny na wysokich koturnach i nasunęła stanik sukienki, zakrywając obnażone piersi. Lilith natychmiast rozpoznała Samarę Bleak, jedną ze szkolnych koleżanek. Dziewczyna zamarła na jej widok z wyrazem zdumienia na twarzy. Sekundę później z kabiny wynurzył się jej partner. Podciągnął skórzane spodnie.

— Sergei...! Co, u diabła...? - zawołała Lilith.

— O, cześć — powiedział Sergei z typowym półprzytomnym uśmiechem. — Znasz Samarę, prawda?

— Lepiej już pójdę — stwierdziła dziewczyna i szybko ruszyła do drzwi.

— Sergei... Co ty robisz? - Lilith patrzyła z niedowierzaniem, kiedy dopinał rozporek. — Nie minęło czterdzieści osiem godzin od śmierci Tanith, a ty już prowadzasz się z kimś innym?

— Lubilem Tanith. - Sergei wzruszył ramionami. — Ale to się skończyło i nigdy nie wróci. Będą inne, przy których poczuję to samo. Liii, musisz wczuć się w nastrój Totentanzu.

— Ale z ciebie świnia! — rzuciła Lilith, wychodząc z damskiej łazienki i zatrząskując za sobą drzwi.

Kiedy gniewnie szła przez salon, ruchem ręki pokazała barmanowi, żeby jej zmieszał drinka.

Wypiła spory łyk naszprycowanej krwi, a potem skrzywiła się z niesmakiem. Odstawiła kieliszek i obróciła się, chcąc wrócić do pozostałych. Wpadła przy tym na Julesa. Przestał się uśmiechać, kiedy zobaczył wyraz jej twarzy.

— Coś się stało?

— Poza tym że Tanith nie żyje i już nigdy, nigdy nie wróci? — odparła na tyle głośno, że parę najbliższych stojących osób zamilkło i zaczęło jej się przyglądać. — Och, przepraszam — zwróciła się Lilith w stronę znajomych twarzy, gapiących się na nią. — Nie chciałam wam popsuć zabawy!

— Robią tylko to, co i ona by robiła — powiedział Jules. — Tanith bardziej niż ktokolwiek inny lubiła imprezować. Wiesz o tym.

Chciałaby, żeby tak to wyglądało. Nikt z nas nie może zmienić tego, co się stało. Możemy tylko zachowywać się tak jak przedtem i nie pozwalać, żeby to nas zmieniło.

— Wiem — westchnęła Lilith. — Chyba nadal jest mi smutno, to wszystko.

— Jules! Stary! Jak leci?

— Hm? No, hej, Sergei — odparł Jules, z miejsca rozproszony pojawieniem się przyjaciela.

- No, nieważne - warknęła Lilith, rzucając Sergeiowi spojrzenie tak mroczne i ostre jak okruch obsydianu. — Idę do domu.

- Hej, co jej się stało? - spytał Sergei. - Co ja takiego powiedziałem? Niedziela w domu pań Monture była dniem prania. Podczas zdejmowania powłoczek z poduszek na łóżku matki, Cally znalazła kolejny monit z elektrowni, wciśnięty pod materac. Sheila chowała tam zazwyczaj rzeczy, którymi nie chciała się zajmować. Pranie musiało poczekać.

Cally nie zdobyła wystarczająco dużo kasy w parku. A musiała czymś pokryć dług. Inaczej wyłączą im światło. Ponieważ Van Helsingowie sprawili, że park stał się miejscem zbyt niebezpiecznym, powinna zacząć polować bliżej domu. A w Billyburgu było tylko jedno miejsce, gdzie mogła znaleźć odpowiednie dla siebie ofiary: Podbrzusze.

Cally wróciła do pokoju i zaczęła grzebać w szafie, szukając jakichś seksownych ciuszków. Zdecydowała się wreszcie na żółtą atlasową minispódniczkę i zielony gorsetowy stanik, które, jak wiedziała, świetnie podkreślały jej zgrabne nogi i alabastrową biel ramion. Potem na stopy wsunęła nową parę szpilek Miu Miu, które



kupiła na wyprzedaży w sklepie przy Bedford Avenue.

Kiedy była już ubrana, podkreśliła oczy eyelinerem, a na usta nałożyła szminkę tak, jak uczyła ją babka — opuszkami palców. Dopiero wtedy zerknęła w małe lusterko, które trzymała w staroświeckiej wieczorowej torebce. Chciała się tylko upewnić, że umalowała się prosto.

Przechodząc przez salon, zobaczyła, że matka znowu ogląda film. Tym razem *Narzeczoną Drakuli*.

— Muszę wyjść. Wrócę za parę godzin, mamo! — Cally próbowała przekrzyczeć dźwięk w formacie Dolby **5.1**.

— Uważaj na siebie, kochanie — odparła Sheila Monture.

Machnęła córce na pożegnanie i nawet nie odwróciła oczu od ekranu telewizora.

Podbrzusze było klubem. Znajdowało się w piwnicy po dawnej fabryce majonezu. Rzadko sprawdzano tu przy wejściu dowody tożsamości. Nie rozcieńczano też drinków, a narkotyki swobodnie przechodziły z ręki do ręki — krótko mówiąc, dobre miejsce, żeby znaleźć ofiarę.

Bramkarz przy drzwiach nawet nie zwrócił na nią uwagi, kiedy wchodziła do środka. Zamówiła przy barze drinka, a potem udawała, że go pije, jednocześnie skanując wzrokiem salę.

Nawet w niedzielę pełno tu było ludzi różnych narodowości.

Modelek i imprezowiczów z Williamsburga w spodniach poplamionych farbami i z ramionami ozdobionymi tatuażami.

- Cally! Gdzie się podziewałaś? Odwróciła się z uśmiechem w stronę Simona

Magiego, starego przyjaciela z Varney Hall. Ścisnął ją za ramię w przyjacielskim geście, wskazując na Cindy Darko, która kiwała na nich z jednego z pograżonych w półmroku boksów, które zajmowały całą ścianę klubowej sali.

- Nie odzywałaś się cały weekend - poskarżyła się Cindy. - Dlaczego nie odpowiadałaś na wiadomości?

- Och, takie tam - odparła Cally. Usiadła naprzeciwko koleżanki. - Narobiłam sobie wczoraj w nocy kłopotów za rzeką. Park przy placu Waszyngtona roi się od Van Helsingów.

- Nic ci się nie stało? - spytał Simon z wyraźną troską.

- Nie. Udało mi się zwać. Ale widziałam, jak kogoś nadziano.

- Założyciele, zlitujcie się! - Cindy westchnęła i zakryła usta ze zdziwienia. - Znalіśmy go?

- Nie - odparła Cally, kręcąc głową. - To była jakaś starka.

Simon i Cindy odetchnęli z ulgą.

— Przynajmniej za to niech będą dzięki Założycielom — powiedziała Cindy.

— No i jak, gotowa jesteś na ten wielki test z rzucania uroków na zajęciach pana Drige'a w tym tygodniu? — spytał Simon.

— Tak, no właśnie ja w tej sprawie... — Uczniowie z jej starej budy, Varney Hall, od lat rywalizowali z Bathory Academy. Cally wkraczała na grząski grunt. - Przez ostatnie dwie noce dużo się u mnie działo...

— To znaczy?

— Zdaje się, że mój dupkowaty stary ma wobec mnie wielkie plany.

— Twój stary? — Simon zmarszczył brwi. — Ten, którego nigdy nie widziałas?

— Właśnie on. - Cally wzięła głęboki oddech. Wiedziała, że nie powinna tego odkładać. Równie dobrze może im teraz powiedzieć i mieć wszystko z głowy. - Chce mi zapewnić lepsze wykształcenie i wysłać do Bathory Academy.

— No chyba jaja sobie ze mnie robisz! — Simon się wściekł.

— Chciałabym. Jutro moja pierwsza noc. Mam nosić mundurek i tak dalej. Dziś po południu kazał dostarczyć nowe wdzianka do naszego mieszkania. Mam nadzieję, że nigdy mnie w nim nie zobaczycie. - Cally skrzywiła się z niesmakiem.

- Ale Bathory to szkoła dla Starej Krwi! -wykrzyknęła Cindy.
- W Varney Hall i tak bywało ciężko... Mogę sobie tylko wyobrazić, jak miło mnie przyjmą w Bathory... Ale muszę to zrobić.
- Tak, no cóż, w takim razie powodzenia -powiedział Simon, już nie był jej przyjacielem. -A skoro mowa o szkole, Cindy i ja musimy już spadać.
- Hm? - odezwała się Cindy, zdziwiona nagłym stwierdzeniem Simona. - Ale po co? Jest jeszcze wcześniej...
- Zapomniałaś, Cindy. - Simon wyciągnął ją za łokieć z boksu. - Jutro mamy test z kontrolowania nieumarłych.
- Tak? Ach! Racja! No tak...
- Dobra, rozumiem - rzuciła w ich stronę Cally, kiedy się żegnali. Miała nadzieję na trochę więcej wsparcia ze strony Simona i Cindy. Ich reakcja i zachowanie bardzo ją zabolowały. Ale sama Cally też czuła się, jakby zdradzała Nową Krew, najbliższych przyjaciół.
- Mogę się dosiąść?
- Cally uniosła wzrok. Natychmiast zapomniała o swoich mrocznych myślach, kiedy zobaczyła znajomą uśmiechniętą twarz.
- A co ty tu robisz? - sapnęła.

- Czekalem, az sie pojawisz. - Peter usiadl na kanapie.  
- Siedzisz mnie? - Cally przez chwile wahala sie miedy uczeniem zadowolenia a przestraczem. - Skad wiedziales, ze tu bede?  
- Mam swoje sposoby na zdobywanie informacji - odparl, rzucajac jej spojrzenie, ktore mowilo, ze to nie zart.  
Cally z niedowierzaniem przekrzywila glowe.  
- Czekales tu na mnie? Ale po co?  
- Chcialem ci podziekowac za uratowanie zycia.  
- Zrobiles to juz tamtej nocy.  
- Wolisz, zebym sobie poszedl? - zapytal. Cally popatrzyla na Petera. Dostrzeglala w jego oczach zainteresowanie jeszcze silniejsze niz za pierwszym razem.  
- Nie - przyznala. Bylo cos ironicznego w tym, ze pojawil sie tuz po odejsciu Simona i Cindy. - Prawde mowiac - dodala z krzywym usmieszkiem, nawet sie ciesze, ze cie widze.  
- Mialem nadzieje, ze to powiesz. - Peter wzial ja za reke. - Cally... Musze ci sie do czego przyznac. Odkad cie spotkalem, nie moge przestac o tobie myslec. Nie rozumiem, co czuje. Ale ty tez to odbierasz, prawda?  
- Nie wiesz, kim jestem - szepnela Cally. Nie chciala, zeby ta chwila sie skonczyla.

Uśmiech Petera zbladł i chłopak szybko odwrócił głowę, żeby nie patrzeć jej w oczy.

- Wiem więcej, niż ci się wydaje... Jeszcze się nie przedstawiłem, Cally. Bałem się.

- Bałeś się? - Serce Cally znów zaczęło się szarpać jak koliber schwytyany w sieć. - Dlaczego miałbyś się mnie bać?

- Bo myślałem, że mnie zabijesz, jeśli się zorientujesz, kim naprawdę jestem.

Słuchając słów Petera, Cally poczuła, że nie chce usłyszeć tego, co ma jej do powiedzenia. Niespokojnie rozejrzała się wkoło.

Usiłowała odzyskać panowanie nad sobą i zmusiła się do uśmiechu.

- Dlaczego miałabym cię zabijać? Wariackie gadanie.

- Cally, nazywam się Peter Van Helsing. Cally oniemiała.

- Muszę już iść - poruszyła zdętwiałymi wargami i wyszarpnęła rękę z jego dłoni.

Podnosiła się, ale powstrzymał ją, łapiąc za nadgarstek.

- Cally, to nie tak jak myślisz! Nic ci nie grozi! Nie zrobię ci nic złego!

- Daj mi spokój! - rzuciła ostro, wrywając rękę. - Trzymaj się ode mnie z daleka! Nie chcę cię skrzywdzić, ale zrobię to, jeśli będę musiała!

A potem uciekła.

Cally biegła Madison Avenue, gniewnie ocierając łzy z oczu. Gdzieś w podświadomości wyczuwała od samego początku, że jest Van Helsingiem. Tak naprawdę zirytowała ją banalność tej całej sytuacji: wampirzyca i łowca wampirów zakochują się w sobie od pierwszego wejrzenia. Przecież to szczyt głupoty! Była tak samo żalosna jak jej matka. Ale ona przynajmniej od początku wiedziała, w co się pakuje — a nawet sama tego szukała.

Zdaniem Cally nie istniało nic bardziej idiotycznego, niż zakochać się w kimś, komu zależało na eksterminacji twojej rasy. No, może jeszcze idiotyczniejsze było to, iż miała nadzieję, że go ponownie zobaczy.

Matka Cally czekała na nią w drzwiach, kiedy córka wróciła do domu.

— Jesteś, kochanie! Dzisiejszy wieczór będzie dla ciebie bardzo ważny, więc wyśpij się porządnie w ciągu dnia! I nie oglądaj do późna *The View*, młoda damo! — Sheila wzięła córkę w objęcia i mocno ją uściskała. — Nie pożałujesz tej decyzji, przysięgam ci! Zobaczysz... Wszystko będzie dobrze!

— Tak. Jasne. — Cally westchnęła i wyswobodziła się z objęć matki.

— Idę wziąć prysznic, a potem się kładę.

Pokój Cally był na końcu korytarza. Zatrzasnęła za sobą drzwi i zrzuciła buty. Jakby wydarzenia tej nocy nie dość dały jej popalić, to jeszcze w nogach łóżka wisiał jeden z mundurków Bathory Academy niczym pusta wężowa skóra.



## ROZDZIAŁ 9

Z zewnątrz Bathory Academy niczym szczególnym się nie wyróżnia. Nikt z sąsiadów nie wie, że uczennice tej szkoły to wampirze pisklęta. Żadne wskazówki nie ujawniają dziwnej natury wykładanych tam nauk — chyba że te wiecznie zamknięte okiennice. Pięknie zaprojektowany trzypiętrowy budynek przy Wschodniej Dziewięćdziesiątej Pierwszej ulicy zbudowano dla jednego z dawnych rekinów finansjery w czasach, kiedy Upper East Side znajdowało się jeszcze na przedmieściach. Jediną budowlą w sąsiedztwie równie starą co Bathory Academy jest Męska Szkoła Ruthven, mieszcząca się dwie przecznice dalej, przy Wschodniej Osiemdziesiątej Dziewiątej. Co wieczór od poniedziałku do czwartku, od końca września do początku maja, rząd li-

muzyn zatrzymuje się przed szkołą i wysiada z nich nieprzerwany sznur dziewczyn ubranych w brązowe blezery i szare plisowane spódnice. Czym się zajmują, kiedy są w szkole, można się tylko domyślać. Przez większość nocy uczennice siedzą w środku przynajmniej do drugiej nad ranem, czasem aż do czwartej. Zdarza się również, że grupki nastolatek wychodzą z budynku w towarzystwie nauczycieli. Wtedy limuzyny zabierają całe towarzystwo na jakieś tajemnicze wycieczki.

Nowojorczykowi mieszkającym w pobliżu wszystkie te postaci kojarzyły się ze zjawami, które pojawiały się i ginęły w mroku. A ci, którzy nie pilnowali własnego nosa, nagle znikali bez śladu. Dlatego tłumaczono sobie, że Bathory Academy to wieczorowa szkoła dla rozpieszczonych i bogatych panienek, którym nie chce się wstawać o świcie i które całe dni przesypiają w drogich apartamentach rodziców.

Cally bardzo lubiła się stroić. Miała smykałkę do dobierania ciuchów. Odkąd nauczyła się mówić, wolno jej było kupować ubrania takie, jakie jej się podobały. Przynajmniej w granicach wyznaczonej tygodniówką. Uwielbiała niezwykle materiały, wstążki i koronki. Wykorzystywała je, żeby ozdobić spódnice i sukienki, które

-wynajdywała, w sklepach z używanymi ubraniami i na pchlich targach.

Kiedy przejrzała się w lustrze, skrzywiła się z niesmakiem na widok tego okropnego brązowego blezera i szarej spódnicy. Mundurek był bezbarwny i nijaki w porównaniu z ciuchami, które zwykle wkładała. Jeszcze bardziej niż zwykle pożałowała, że nie jest człowiekiem i nie może sobie zrobić tatuazu! Niestety, rany wampirów goiły się tak szybko, że tusz był wypychany spod skóry w parę sekund po zaaplikowaniu. Może istniał jakiś mniej drastyczny sposób, żeby zaznaczyć swoją indywidualność w pierwszy wieczór w nowej szkole... ?

Otworzyła skrzyneczkę na biżuterię stojącą na toalecie i wyjęła z niej parę starych, stylowych bakelitowych bransoletek, które odziedziczyła po babci. Jedna miała bladooliwkowy odcień i mogła prawie udawać jadeit, druga była w kolorze słonecznikowej żółci. — Już lepiej — powiedziała z uśmiechem, wsuwając obie na lewy nadgarstek.

Kiedy stała na peronie przy Marcy Avenue, a wiatr smagał ją po gołych łydkach, odkryła kolejny powód, żeby nie znosić szkolnego mundurka. Sądząc po liczbie spojrzeń, które rzucali jej odrażający faceci, stanowił prawdziwy magnes.

Wchodząc po schodach do budynku szkoły, Cally zastanawiała się, co ją czeka za tymi krwa-woczerwonymi drzwiami Bathory Academy.

Kiedy weszła do środka, zobaczyła wielki portret niezwykle atrakcyjnej kobiety, której mlecznobiałą twarz okalały rudawe włosy. Liliowy odcień powłóczystej sukni podkreślał zieleń błyszczących oczu. W jednej smukłej dłoni trzymała rozwinięty zwój pergaminu, w drugiej pazur skryby.

Cally szczególnie uderzył wyraz jej oczu. W przeciwieństwie do innych portretów z okresu wczesnego romantyzmu, które Cally widziała w muzeach, w spojrzeniu tej kobiety nie było niczego nieśmiałego ani kokieteryjnego. Spoglądała na Cally wyczekująco, jakby właśnie zadała jej jakieś pytanie, a teraz cierpliwie czekała na odpowiedź.

Cally podeszła do mosiężnej tabliczki przykręconej do dolnej krawędzi ramy. Ku jej zdziwieniu umieszczono tam angielski napis, a nie w formalnym, chtonicznym piśmie Starej Krwi: „Nasza założycielka, Morella Karnstein”.

Chociaż kobieta z portretu już dawno nie żyła, Cally miała wrażenie, że wita ją w szkole. Może jednak zdoła się tu jakoś zadomowić. Ale najpierw musiała znaleźć sekretariat i dowiedzieć się, jaki ma plan lekcji.

Cally rozejrzała się wkoło i nagle uświadomiła sobie, że budynek wydaje się pusty. Chociaż do szkoły uczęszczało przynajmniej siedemdziesiąt uczennic. Nawet z zamkniętych klas nie dobiegał żaden szmer, a na korytarzu nikt nie trzaskał drzwiczkami od szafek. Słyszała jedynie, jak ktoś stuka paznokciami w klawiaturę. Odgłos dochodził z gabinetu po prawej.

Weszła do środka i zobaczyła kobietę w średnim wieku ubraną w szary żakiet oraz spódnicę. Długie ciemne włosy zebrała w kok, w który wsunięte były zaostrome ołówki. Siedziała za biurkiem, wprowadzając dane do komputera. Na widok Cally sekretarka zamarła z uniesionymi nad klawiaturą palcami.

— A co ty tu robisz na górze? — spytała ostro.

— Ja... przepraszam — wyjąkała Cally, zaskoczona surowym tonem kobiety. — Jestem nową uczennicą... Kazali mi zgłosić się do sekretariatu... -

— Jesteś Nową Krwią. — Sekretarka uniosła górną wargę, jakby poczuła jakiś nieprzyjemny zapach. — I do tego spóźniona.

— Wiem o tym — odparła Cally. — Musiałam tu dojechać metrem i trwało to dłużej, niż zakładałam...

— Nie tolerujemy spóźniających się w Bathory Academy. Podobnie jak niezgodnego z regulami-

nem ubrania, biżuterii czy akcesoriów - stwierdziła kwaśno sekretarka, przyglądając się oryginalnej fryzurze Cally i kolorowym bransoletkom na jej nadgarstku. - Być może takie cudaczne przebieranki są tolerowane w takich miejscach, jak Varney Hall, ale tutaj nie są mile widziane. Proszę to sobie dobrze zapamiętać, panno Monture.

- Tak, proszę pani... - odpowiedziała Cally cicho.

Sekretarka wstała, energicznie podeszła do szafki na akta i wyjęła szary segregator. Przeszła do ksero z kartką i położyła ją na szybie. Całym językiem ciała dawała do zrozumienia, że konieczność obsługiwania Nowej Krwi irytuje ją ogromnie.

- Tu masz plan lekcji. - Sekretarka dosłownie cisnęła w Cally papierem. - Masz się natychmiast zgłosić w grocie na apel! Jasne?

- Chyba tak.

- Więc dołącz do pozostałych - ucięła kobieta sucho, zatrzasnąwszy za nią drzwi.

- Wielkie dzięki - mruknęła Cally pod nosem, przystając na korytarzu i wpatrując się w plan lekcji.

Wydrukowano go pismem chtonicznym, alfabetem Założycieli, który wyglądał jak skrzyżowanie chińskich znaków, pisma klinowego

i krutkiego drapania pazurem. W Varney Hall uczyła się uproszczonej pisowni tych znaków, ale nie znała formalnej wersji, preferowanej przez Starą Krew. Trochę potrwa, zanim uda jej się odcyfrować, gdzie, kiedy i jakie ma mieć zajęcia. Co gorsza Cally nie miała pojęcia, gdzie jest grota.

Rozejrzała się wkoło z desperacką nadzieją, że zobaczy jakąś uczennicę albo nauczycielkę, ale cały parter szkoły był wyludniony, pomijając nieumarłego służącego w kombinezonie woźnego powoli zamiatającego korytarz.

Ponieważ jej rodzina nie miała służby, Cally, podobnie jak większość jej przyjaciół Nowej Krwi, nie wyrosła w otoczeniu nieumarłych. Dlatego wciąż ją przyprawiali o dreszcze. Wcale się ich nie bała. Nie rozumiała tylko, jak można zgodzić się na służbę osoby, którą wcześniej się zabiło.

Podeszła do woźnego i grzecznie chrząknęła.

— Przepraszam... Mężczyzna dalej zamiatał.

— Halo? — powiedziała Cally nieco głośniejszym głosem niż przedtem. Tym razem klepnęła go w ramię.

Człowiek podskoczył. Obejrzał się ze zdumionym wyrazem twarzy.

— Panienska mówi do mnie? — zapytał, wyraźnie skonsternowany, że coś podobnego mogło jej przyjść do głowy.

— Przepraszam, że przerywam panu pracę, ale miałam nadzieję, że powie mi pan, dokąd mam iść.

— Ja tu tylko sprzątam, panienko.

— Tak, widzę. A ja tylko muszę się dowiedzieć, gdzie jest grota.

— Znajduje się na trzecim poziomie, panienko — powiedział woźny i wrócił do swojej szczotki.

— Grota jest na górze? - spytała, marszcząc brwi i zerkając w stronę wyższych pięter.

— Nie, panienko. - Woźny pokręcił głową. -W podziemiach.

— Ale jak mam się tam dostać?

Służący nic nie powiedział, tylko wskazał ręką drzwi po przeciwnej stronie korytarza, z napisem „Służbówka”.

— Ale przecież to schowek na przybory do sprzątnia - odparła, jeszcze bardziej zdziwiona. Chciała mu zadać kolejne pytanie, ale woźny zniknął już za rogiem.

Cally podrapała się po głowie, zaskoczona wskazówkami woźnego. Mimo to, tak na wszelki wypadek, przeszła przez korytarz i zajrzała do schowka. Zamiast kijów z mopami i skrzynek pasty do podłogi, zobaczyła sporą windę z kutego żelaza, w której stał nieumarły windziarz. Miał na sobie brązową marynarkę z emblematem



Bathory Academy wyhaftowanym na kieszonce na piersi.

— Chcę się dostać do groty... — zawahała się. Służący miał to samo nieobecne spojrzenie co woźny i zaczynała się tego bać.

— Proszę bardzo, panienko — powiedział windziarz, zamykając najpierw drzwi zewnętrzne, a potem zatrzasnąwszy wewnętrzną żelazną kratę.

Cally złapała się bocznej ścianki, żeby nie stracić równowagi, kiedy winda nagle ruszyła.

— Jestem tu nowa — wyjaśniła. — Może mi pan powiedzieć, co to za grotę?

— Ja tam nie wiem, panienko — mruknął windziarz, wciąż wpatrując się w przestrzeń. — Nigdy jej nie widziałem.

Cally zmarszczyła brwi, zdziwiona odpowiedzią.

— Znaczący, pracuje pan tu, ale nigdy pan nie był w grocie?

— Przecież jestem operatorem windy, panienko — odparł, jakby to wyjaśniało wszystko. — Moim obowiązkiem jest wozić uczennice i nauczycieli z jednego piętra na drugie. Robię to od... Zaraz, który mamy teraz rok, panienko?

— Dwa tysiące ósmy.

— Ach. — Powoli pokiwał głową. — W takim razie jestem w tej windzie od stu dwudziestu

siedmiu lat. Tym się zajmuję. I już zawsze będę to robił.

- No dobrze, rozumiem - szepnęła Cally, teraz już naprawdę przestraszona. Postanowiła, że resztę przydługiej jazdy w dół do tajemniczej groty odbędzie w milczeniu.

Po wyjściu z windy Cally usłyszała dziwną mieszaninę szumu i pisków o wysokiej częstotliwości, zupełnie jakby ktoś potrząsał ułem z pszczołami, a potem wrzucił go do jaskini pełnej nietoperzy. Skierowała się w stronę tych dźwięków. Szła długim, sklepionym korytarzem, który kończył się wielkimi drzwiami. Ich metalowe skrzydła były otwarte.

W miarę jak się zbliżała, szum zamienił się w odgłos kilkudziesięciu gadających z ożywieniem osób, a piski okazały się ultradźwiękowym świergotem prawdziwej mowy, prastarym językiem Założycieli.

Cally przestąpiła próg i znalazła się w jaskini, przytłaczającej ogromem jak katedra. Sklepienie wznosiło się siedemdziesiąt metrów nad posadzką, podpierane sześcioma potężnymi kamiennymi kolumnami. O ile dobrze zapamiętała informacje przewodnika w czasie wycieczki, jaką zrobiły sobie z babcią do Jaskin Howe, kiedy miała dziesięć lat, te wielkie skalne formacje,

które zwisały ze sklepienia niczym olbrzymie sople lodu, były stalaktytami. A te, które wyrastały z posadzki, nazywano stalagmitami.

Ale chociaż ta tajemnicza grota była ekscytująca, to widok tylu wampirów zebranych w jednym miejscu był przerażający.

Większość była w swojej ludzkiej postaci, ubrana w mundurki z Bathory Academy albo z Ruthvenu. Siedzieli niczym gargulce na szczytach stalagmitów. Ale spora część przybrała formę skrzydlatą. Wisiała głowami do dołu niczym wiązki liści tytoniu suszące się w stodole.

Kiedy Cally szła wśród labiryntu skalnych formacji, szukając miejsca, wampiry wpatrywały się w nią, a ich oczy jarzyły się w przyćmionym świetle. Była świadoma, że jest nowa i że nikt jej nie zna w tej zamkniętej społeczności.

Usiłowała wspiąć się na jeden ze stalagmitów, ale jakaś dziewczyna o rudych włosach i zielonych jak szmaragdy oczach przeskoczyła na niego z sąsiedniej formacji i syknęła na Cally jak kotka odstrasżająca intruza:

— To miejsce jest zajęte!

Cally chciała powiedzieć tej rudej, żeby ją pocałowała gdzieś, ale wdawanie się w awantury pierwszego dnia w szkole chyba nie było najlepszym początkiem. Mruknęła, że przeprasza, i poszła dalej.

Chwilę później znalazła miejsce, na które szybko się wspięła.

- Proszę wszystkich o uwagę!

To było dość stanowcze polecenie. Słowa odbijały się echem od ścian jaskini, a zebrani uczniowie ucichli i zwrócili się w stronę głosu. Cally też spojrzała w tamtym kierunku i zobaczyła kobietę w kocich okularach zdobionych klejnocikami. Na jej kruczoczarnych włosach połyskiwało białe pasemko. Stała u wylotu malutkiej jaskinki wznoszącej się nad głównym poziomem groty.

- Ze względu na obecność naszych braci z Ruthvenu, pozwólcie, że się przedstawię. Jestem Madame Nerezza, dyrektorka Bathory Academy. Nasze obie szkoły zebrały się tu dziś, żeby uczcić odejście jednej z nas. Zabili ją Van Helsingowie. Nazywała się Tanith Graves, była córką Doriana i Georginy Gravesów i uczennicą trzeciej klasy.

Wszczął się lekki ruch, uczniowie spoglądali po sobie. Chociaż parę osób sapnęło ze zdziwienia, większość siedziała jednak w milczeniu, nieruchomo jak skały, na których przycupnęli.

- Chcę złożyć kondolencje rodzinie i przyjaciołom panny Graves w imieniu ciała pedagogicznego obu szkół. Jak wszyscy wiecie, Założyciele naszej rasy przybyli z piekieł ponad dwadzieścia tysięcy lat temu. Utknęli w tym wymiarze na zawsze. Od tamtego czasu nasza rasa usiłuje żyć

na tym świecie. I mimo wszelkich przeciwności losu nadal tu jesteśmy i trwamy. Jednakże sukces nie przyszedł bez trudu i nieraz był okupiony krwią. Ta tragedia nauczyła nas jednego: Van Helsingowie żyją i są niebezpieczni. Zdaję sobie sprawę, że jesteście młodzi i stoicie na progu dorosłości. Ciagnie was do eksperymentów. Chcecie rozwinąć skrzydła, zarówno w przenośni, jak i dosłownie. Pragniecie stać się panami nocy i objąć swoje dziedzictwo. Ale chociaż jesteście silniejsi i szybsi niż ludzie, chociaż posiadacie moce, których im brakuje, nie ludźcie się, że nie musicie się ich obawiać.

Madame Nerezza urwała i spojrzała na morze młodych twarzy, a potem lewą ręką wykonała nieznaczny gest.

— Popatrzcie na osobę siedzącą po waszej prawej stronie — poleciła.

Wszystkie głowy posłusznie obróciły się w prawo. Cally spojrzała w oczy najbliższej sąsiadki. To była ta sama blondynka, której rzuciła wyzwanie w parku. Sądząc po jej nienawistnej minie i błękitnych tęczówkach połyskujących jak stalowe ostrza, dziewczyna też ją rozpoznała.

— Za sto lat jedno na troje z was nie będzie już żyło — dodała Madame Nerezza. — Takie jest przeznaczenie naszej rasy. Dlatego musimy przygotować was jak najlepiej do życia.

Cally z trudem przełknęła ślinę. Szybko odwróciła wzrok od palącego spojrzenia sąsiadki. Coś jej podpowiadało, że nie będzie musiała czekać stu lat, żeby się dowiedzieć, czy prognozy szkolnej dyrektorki się sprawdzą.

## Rozdział 10

Kiedy wszyscy ruszyli do wyjścia, Lilith zeskoczyła ze swojego podwyższenia. Zaczęła się rozglądać z nadzieją, że namierzy Julesa. Chciała go znaleźć, zanim wróci do Ruthvenu, żeby mu powiedzieć, że właśnie natknęła się na tę Nową Krew z parku.

Kiedy przechodziła między stalagmitami, usłyszała głos dochodzący gdzieś z góry. Obeszła okrągły głaz i zauważyła go, stojącego obok jednej z wielkich kolumn, które wspierały sklepienie grotty. Patrzył w kierunku sklepienia.

— Chwała Założycielom, znalazłam cię. — Podeszła do niego.

— Cześć, Liii. — Obrócił się, żeby się z nią przywitać. — Właśnie gadałem z kuzynem — wyjaśnił, wskazując w górę.

Lilith uniosła głowę i przekonała się, że patrzy na Xandra Orlocka. Cioteczny brat Julesa schodził właśnie po kolumnie głową w dół, jak jaszczurka po ogrodowym murze.

- Hm, tak. Cześć, Exo - rzuciła Lilith. Z całej siły próbowała się nie skrzywić, kiedy patrzyła na jego twarz.

W przeciwieństwie do większości uczniów chodzących do Ruthvenu i Bathory, Xander nie stosował żadnej sztucznej opalenizny. Cerę miał tak bladą, że była prawie przezroczysta, co nadawało jej lekko niebieskawy odcień. Z wielkimi, wylupiającymi oczami, nienaturalnie długimi palcami i spiczastymi uszami Xander wyglądał tak, że Lilith nie mogła uwierzyć, że on i Jules są spokrewnieni.

- Cześć, Lilith - odezwał się Xander, odrobinę sepleniąc. Przez te kojarzone związki w jego rodzinie nie udawało mu się do końca schować klów, co czasami niekorzystnie odbijało się na wymowie.

- Pamiętasz tamtą nówkę, przez którą w sobotę omal nie zginęliśmy?

- Lilith spytała Julesa.

- Tę z parku? — Jules zmarszczył brwi. -Ale o co chodzi?

- Ona jest w tej grocie!

- Do Bathory chodzi jakaś nówka? - spytał Xander. — Jak to możliwe?



— Nie wiem. — Lilith skrzywiła się z niesmakiem. — Może ona jednak nie jest Nową Krwią. Albo Nerezza strasznie potrzebuje kasy.

— Jesteś pewna, że to ona? — spytał Jules.

— Tak, jestem pewna! Do końca życia nie zapomnę tej twarzy! — ucięła Lilith. — Na apelu siedziała tuż koło mnie. Zabiłabym ją od razu, gdyby nie było tam dyrektorki!

— Słuchaj, Lilith, nie wariuj — ostrzegł ją Jules. — Wiesz, że buda jest wyjęta spod wendetty. Jeśli spróbujesz czegoś takiego w promieniu kilometra stąd, nie tylko wylecisz ze szkoły, ale zaciagną cię przed Synod jak przestępczynię.

— Jeszcze nigdy w życiu nie widziałem prawdziwej Nowej Krwi. — Xander wyszczerzył się w uśmiechu. — Może zakręcę się i ją poderwę!

— Przymknij się, Exo — warknęła Lilith, nie mogąc dłużej ukrywać irytacji jego obecnością. — Nie do ciebie mówię!

— Dobra. Umiem wyczuć, kiedy mnie nie chcą — westchnął Xander. Szybko odwrócił się na kolumnie i znikł w mroku u jej szczytu.

— Uch! Nie wiem, dlaczego pozwalasz temu kujonowi kręcić się koło ciebie — powiedziała Lilith i aż się otrząsnęła.

— Przyznaję, bywa trochę obrzydliwy, ale facet jest w porządku, a poza tym sam nie spotyka żadnych fajnych lasek — roześmiał się Jules.

— Exo trzyma ze mną, odkąd byliśmy mali. Nie musiałaś na niego wrzeszczyć.

— Nic mnie nie obchodzi, w jaki sposób Exo umawia się na randki

— powiedziała Lilith, na-dąsana. — Chcę się dowiedzieć, co knuje ta nówka. Najpierw spotykamy ją w parku tuż przed atakiem Van Helsingów, a teraz zjawia się tutaj! Nie lubię jej. Coś jest z nią nie tak, wyczułam to zaraz, kiedy na nią spojrzałam. Może to szpieg, który jest w zмовie z Van Helsingami?

— Lilith, Van Helsingowie usiłowali ją zabić

— westchnął Jules. — Przecież tam byłem, zapomniałaś? Właściwie gdyby nie zaatakowała tamtego Van Helsinga, pewnie teraz byłabyś martwa tak samo jak Tanith.

— Dlaczego stajesz po jej stronie? — spytała ostro Lilith z oczyma miotającymi błękitne płomienie. — Żałujesz, że przeżyłam?

— No, to już jest chwyt poniżej pasa, Lilith — odparł Jules, urażony jej reakcją. - Mówię tylko, że może powinnaś trochę wyluzować. Nie chcę, żeby stało ci się coś złego...

— Ach, a teraz uważasz, że sobie z nią nie poradzę, tak? — stwierdziła Lilith kwaśno.

— Dobra, gruchające gołąbki, dość tego — odezwała się trenerka Knorrig, podchodząc do nich.

— Todd, biegnij do szatni i przebierz się na przekształcanie. A ty, obiekcie damskich westchnień

— wskazała palcem na Julesa — zabieraj stąd tylek i zmykaj do Ruthvenu. *Pronto.*

— Tak, pani trener — powiedział Jules i z ukrywaną ulgą zwiął. Biegając truchtem w stronę tunelu, który łączył grootę ze Szkołą Męską Ruthven, Jules próbował nie zastanawiać się nad dziwnym wyrazem oczu Lilith, kiedy mówiła o Nowej Krwi. Wiedział, że miewa skłonność do popadania w obsesje. Miał nadzieję, że to, co ją teraz gryzło, minie i że znów będzie taka jak przedtem. Tak naprawdę wszyscy tego chcieli — żeby sprawy znów wyglądały jak dawniej. Czy to aż tak wiele?

Cally stanęła pośrodku groty, wpatrując się w wielkie kolumny z litej skały podtrzymujące katedralne sklepienie.

— Nie wiedziałam, że pod Manhattanem kryją się takie jaskinie — szepnęła z zachwytem.

— Bo się nie kryją.

Obróciła się i zobaczyła dziewczynę, którą widziała już wcześniej, tę z włosami zaplecionymi w warkocze. Ale teraz chyba się rozmnożyła, bo obok stała druga taka sama. Różniły się tylko wstążkami! Jedna miała na głowie czerwoną, a druga niebieską. Cally zamrugała mocno, żeby się upewnić, że się nie myli, ale dziewczyna nie znikła.

- Im chodzi o to, że to właściwie nie jest jaskinia - dodała trzecia, która miała we włosach turkusowe koraliki. - Tę grootę wydrążono w skale. Wszystko, co tu widzisz, zostało sztucznie wykonane w połowie XIX wieku.

- Naprawdę zbudowali ją ludzie? — odezwała się Cally z niedowierzaniem. Ponownie rozejrzała się wkoło i tym razem zauważyła, że stalaktyty i stalagmity układały się w jakiś regularny wzór, jeśli chodziło o rozmiar, kształt i miejsce. To samo dało się powiedzieć o potężnych kolumnach. Teraz dostrzegła, że dzielą je idealnie równe odległości.

- No, w pewnym sensie. Korzystano z siły roboczej nieumarłych. Budowa zajęła im trzydzieści lat, a pracowali dwadzieścia cztery godziny na dobę przez siedem dni w tygodniu. Grota została zaprojektowana tak, żebyśmy mogli się tu uczyć latać.

- Cholernie imponująca sala gimnastyczna - stwierdziła Cally i zachichotała. - Dzięki za informację. A tak przy okazji, nazywam się Cally Monture.

- Ja jestem Melinda Mauvais. A te dwie identyczne to Bella i Bette Maledetto.

- Ja jestem Bella - powiedziała ta z niebieskimi wstążkami.

- Bette - dodała jej bliźniaczka.

— Miło mi was poznać.

— Podobają mi się twoje bransoletki — dodała Melinda. — Skąd je masz?

— Te? — Cally uniosła lewą rękę i zagrzechotała ozdobami na nadgarstku. — Babcia mi je dała przed, hm, przed wyjazdem do Europy.

— Czy my się już gdzieś nie spotkałyśmy? — spytała Melinda. Przechyliła głowę i przyjrzała się fryzurze Cally. — Bywasz w Dzwonnicy?

— Obawiam się, że nie — zaprzeczyła Cally. — To jakiś klub?

— Tak, na Zachodniej Dwudziestej.

— Ach — powiedziała Cally. — Zwykle imprezuję nieco bliżej śródmieścia. No wiesz, SoHo, Tribeca...

— Może tam cię widziałam — stwierdziła Melinda. — Często tam bywam.

— Melly!

Melinda obejrzała się i zobaczyła Lilith, która szybko szła w jej stronę. Zanim zdążyła coś powiedzieć, Lilith złapała ją za ramię i odciągnęła od Cally.

— Co ty sobie wyobrażasz?! — syknęła Lilith w ucho przyjaciółki.

— Rozmawiałam z nową, to wszystko — odparła Melinda, zaskoczona gniewem Lilith. — O co ci chodzi?

— Nie wiesz, kto to jest?

- Powiedziała, że nazywa się Cally coś tam...
  - Przecież to ta Nowa Krew z parku, i to przez nią zginęła Tanith! — rzuciła ostro Lilith.
- Melinda zmarszczyła brwi.
- Tak mi się zdawało, że jakoś znajomo wygląda! Ale co ta Nowa Krew tu robi?
  - Nie mam pojęcia. Ale wiem, że nie chcę, żebyś z nią gadała. Rozumiesz, Melly - warknęła Lilith. - Staralam się nie zwracać uwagi na to, że się przyjaźnisz z tymi półkrwi bliźniaczkami. Chociaż wiesz, że ich ojciec jest zaprzysięgłym wrogiem mojego taty. Ale znajomość z Nową Krwią... I to zwłaszcza z tą... To już zupełnie inna sprawa! Byłoby mi okropnie przykro, gdyby coś takiego musiało stanąć na drodze naszej przyjaźni. Jasne?
  - Jak słońce. - Melinda skrzywiła się, kiedy Lilith mocniej zacisnęła dłoń na jej ramieniu.
  - Kim jest ta wariatka? - spytała Cally, wskazując palcem na dziewczynę o długich jasnych włosach, która właśnie odciągnęła Melinę na bok.
  - To Lilith Todd - odparła Bella.
  - Todd? Tak jak ten Victor Todd? - Cally aż sapnęła, szeroko otwierając oczy ze zdziwienia.
  - To jej ojciec — powiedziała Bette.
  - Dobrze, moje panie! Dość tych ploteczek! - zawołała trenerka Knorrig i klasnęła w dłonie.

— Te, które mają zajęcia w grocie do szatni! Natychmiast się przebrać i wrócić tu za pięć minut! Ty, Mauvais, też! I ty, Maledetto! Nie, nie ty, ta druga Maledetto! Todd, nie każ mi powtarzać dwa razy! Nie żartuj! A reszta na zajęcia, w których macie uczestniczyć! Dzisiaj wieczorem był apel, ale to nie znaczy, że możecie się urwać z całej pierwszej lekcji!

— Przepraszam. — Cally spojrzała na plan lekcji, a potem na kobietę ubraną w szary dres i czarne trampki Chucka Taylora, z gwizdkiem zawieszonym na szyi i czapczką bejsbolową ^ankees mocno wciśniętą na głowę. — Pani trener Knorrig?

— Nie jestem twoją matką chrzestną ani wróżką, to jasne. Pewnie jesteś tą nową.

— Tak, proszę pani. Cally Monture.

— Chodź ze mną, Monture. — Knorrig wyprowadziła ją z groty. Poszły tunelem do gabinetu. — Mam dla ciebie strój do lekcji przekształcania.

— Strój do przekształcania? — Cally coś ścisnęło w żołądku. — To zajęcia z przekształcania?

— Oczywiście — odparła Knorrig. Rzuciła nowej uczennicy zdziwione spojrzenie i otworzyła szafkę, z której wyjęła czerwony jednoczęściowy kostium frotte z krótkimi rękawkami, zapinany z przodu na suwak. — A czego innego, u diabła,

miałybyście się uczyć na dole? Tańców ludowych? Jogi? Masz, Monture. Noś to na zdrowie.

- Pani mówi poważnie?! - jęknęła Cally, trzymając strój w wyciągniętych rękach.

- Przyznaję, to nie jest najseksowniejszy ciuszek na tym świecie, ale został zaczarowany w taki sposób, że przekształca się razem z tobą, więc nie musisz potem biegać nago. Jeśli o mnie chodzi, tylko to się liczy. A teraz, przebieraj się. Aha... i nie zapomnij pozdejmować tego tu. — Trenerka Knorrig wskazała bransoletki. - Nie chcesz, żeby się połamały, kiedy będziesz się zmieniać.

Kiedy Cally wyszła z gabinetu trenerki, drzwi przebieralni na końcu korytarza otworzyły się i wybiegła przez nie grupka uczennic z Lilith Todd na czele. Kiedy mijaly się w korytarzu, dziewczyna popatrzyła zimno na Cally, a potem ją potrąciła, wytrącając kostium gimnastyczny z jej rąk. Kiedy Cally schyliła się po strój, ruda nadepnęła jej na dłoń.

- Auć! - pisnęła Cally. Wyszarpnęła rękę spod stopy dziewczyny. — Uważaj!

- Ojejku - zatroskała się ruda, rzucając Cally kwaśny uśmiezek. - O jak mi przykro! Nie zauważyłam cię tu, no wiesz, stoisz o tyle niżej ode mnie...

Pozostałe dziewczyny wybuchnęły drwiącym śmiechem. Kiedy cała grupa ruszyła korytarzem,



Lilith zerknęła przez ramię. Miała wyjątkowo mroczną i wściekłą minę.

Kiedy Cally przebierała się w sportowy kostium, kręciła z niedowierzaniem głową; minęła zaledwie godzina jej pobytu w szkole, a już trafiła na listę wrogów córki jednego z najpotężniejszych wampirów Starej Krwi na świecie.

Szybko wyszła z szatni, żeby dołączyć do reszty klasy. Tłumaczyła sobie, że nic dobrego jej nie przyjdzie z koncentrowania się na negatywnych myślach. Jasne, Lilith się na nią uwzięła. Ale trudno było ją za to winić po wydarzeniach w parku. Nie oznaczało to jednak, że nadal tak będzie.

Miała dwa wyjścia; mogła zgodzić się na los ofiary, pokornie przyjmującej baty, albo przejąć inicjatywę i spróbować naprawić stosunki z Lilith. Ale tak trudno było udawać spokój i pewność siebie, kiedy człowiek czuł, że strój gimnastyczny wpija mu się między pośladkami.

— Zbierzcie się wkoło, dziewczęta. — Trener-ka Knorrig wskazała im miejsce podkładką na dokumenty. — Dzisiaj interesuje nas szybkość. — Uniosła stoper. — Umiejętność szybkiego przekształcania się w ruchu jest konieczna. Jeśli ściga was Van Helsing, nie możecie tracić cennego czasu na przechodzenie z jednej formy w drugą.

Wasza transformacja powinna być tak odruchowa, jak zrzucenie płaszcza. Jeżeli przystaniecie, żeby się przemienić, czeka was śmierć. Kto chce spróbować pierwszy?

Uczennice popatrzyły po sobie niepewnie. Żadna nie uniosła ręki.

- Dobrze, skoro tak ma być, bardzo proszę. Mauvais. Zróbcie jej trochę miejsca.

Melinda wystąpiła naprzód, marszcząc brwi i palcami przeczesując włosy pełne koralików.

- Muszę, trenerko?

- A nie mówiłam ci, że masz nie wplatać koralików we włosy, kiedy będą zajęcia z przemiany? To nie moja wina, że nie słuchasz, Mauvais.

Melinda westchnęła z rezygnacją, a pozostałe dziewczyny stanęły w półkolu.

- Gotowa? - spytała trenerka, trzymając palec na guziku stopera.

Melinda pokiwała głową. - Start!

Melinda przewróciła oczami, ukazując białka, a całe jej ciało zaczęło drżeć. Rozległ się cichy dźwięk, kiedy kości w jej ciele zmieniały położenie i zaczęły poruszać się pod skórą. Jej dłonie pociemniały i zmieniły się w łapy, a z ich poduszek wyrosły pazury. Melinda odrzuciła głowę w tył i otworzyła usta na całą szerokość. Wielkie żółte kły wyrosły jej z dziąseł. Uszy stały się długie i spiczaste, przesunęły się bliżej czubka głowy,

a potem z jej gardła wydarł się ryk drapieżnego kota. Rozległ się taki odgłos, jakby ktoś uderzał kijem bejsbolowym w torbę pełną przegniłych pomarańczy. Potem jej nos i brwi raptownie wysunęły się do przodu. Obnażyła zęby w warkocie, a nos się wydłużył i poszerzył. Z pyska zaczęły wyrastać długie wąsy. Jednocześnie włosy na głowie zaczęły żyć własnym życiem. Koralki posypały się na wszystkie strony. Futro pokryło kręgosłup i ramiona, jak szybko rosnący bluszcz, a potem całe ciało. Wreszcie nie mogła już ustać w pozycji wyprostowanej i opadła na cztery łapy. Z jej przekształconego gardła wydarł się niski, gardłowy dźwięk, coś pomiędzy mruzeniem a warkotem.

— I... stop! — zawołała trenerka, naciskając guzik stopera. — Dwadzieścia osiem i pięćdziesiąt siedem setnych sekundy. — Wyjęła zza ucha długopis i zanotowała coś na podkładce.

Obok uczennic przysiadło zwierzę, które nie było wprawdzie panterą, ale bardzo ją przypominało. Na pierwszy rzut oka był to jakiś drapieżny kot z dżungli, ale kiedy się przyjrzała, zobaczyła, że warczące zwierzę nie tylko nie miało ogona, ale i w miejscu pazurów zwykle kciuki.

- Dobry miałam czas? — spytała Melinda z nadzieją, kiedy znów przekształciła się w ludzką postać.

- Nie najgorszy, ale powinnaś go poprawić -odparła trenerka. - A teraz pozbieraj koraliki.

- To potrwa wieki, zanim znów je wplotę we włosy! - jęknęła Melinda. Klęknęła, żeby pozbierać porozrzucane turkusowe paciorki.

- Ale się wzruszyłam, Mauvais - warknęła trenerka. - Może następnym razem mnie posłuchasz, kiedy ci powiem, żebyś czegoś nie robiła. Dobrze, Monture, jesteś następna.

- Hm? Kto? Ja? - Cally rozejrzała się wkoło z ogłupiałą miną.

- Tak, ty. Idź na miejsce.

- Ja... Nie wiem, czy mi się uda, trenerko...

- Oczywiście, że ci się uda! - Trenerka się nachmurzyła. - Przecież to tylko kwestia woli.

- Nie o to chodzi - odparła Cally, a jej policzki się zaczerwieniły. - Tylko że w mojej dawnej szkole przekształcanie robiło się dopiero w czwartej klasie.

- Naprawdę? Tak późno? - zdziwiła się trenerka. - Gdzie chodziłaś do szkoły? - zapytała, przeglądając papiery na swojej podkładce.

-Academie Cauchemar w Paryżu? Glamis School w Szkocji?

- Varney Hall.

- Co takiego?! - Trenerka o mały włos nie upuściła podkładki. - Dyrektorka nie poinformowała mnie, że jesteś Nową Krwią. - Wskazała

ręką na Cally, która niepewnie wystąpiła naprzód. - Słuchaj, dziecko, to są zajęcia dla śred-niozaawansowanych. Wszystkie pozostałe dziewczyny zaliczyły wstępne zajęcia z przekształcania w zeszłym roku. Dopóki nie porozmawiam z dyrektorką i nie dowiem się, o co w tym wszystkim chodzi, nie chcę, żebyś pracowała z resztą klasy. Ostatnią rzeczą, jakiej potrzebujesz, to zostać kaleką do końca życia, tylko dlatego że nie umiesz się zmieniać. Zakładając, że w ogóle jesteś zdolna do przekształcania.

- Czy to znaczy, że mogę wyjść z lekcji? - spytała Cally z nadzieją.

- Chciałabyś - parsknęła trenerka Knorrig. - To znaczy, że robisz okrążenia wokół groty. Biegiem!

Kiedy Cally minęła stalagmit w kształcie stopionej Statuy Wolności po raz dwudziesty piąty, jakaś mroczna postać oddzieliła się od cieni ponad jej głową i poszybowała w dół na rozpostartych czarnych skrzydłach. Szeroko otworzyła pełne klów usta.

Zanim stwór dotknął ziemi, zamigotał jak pustynny miraż i przed Cally stanęła trenerka Knorrig ubrana w swój zwykły dres.

- Wystarczy na dzisiaj, Monture. Zmykaj pod prysznic.

— To było niesamowite, proszę pani — sapnęła Cally, usiłując złapać oddech. — Nawet nie zauważyłam, jak się pani przekształca. — Właśnie o to chodzi, mała. Wszyscy zaczynają powoli, ale kiedy już opanujesz podstawy, możesz się zmienić w ułamku sekundy. Rozmawiałam z Madame Nerezzą o twojej sytuacji. Muszę jakoś sprawdzić, jakie są twoje fizyczne możliwości. Zgłoś się do mnie dzisiaj po szkole. Zrobimy ci porządny test umiejętności.

— Tak, proszę pani. Dziękuję.

— Aha, przy okazji, Monture... Dlaczego mnie nie poprawiłaś, kiedy cię nazwałam Nową Krwią?

— Słucham? — Cally nie wiedziała, o co chodzi kobiecie.

— Nerezza mówi, że jesteś tutaj na dziedzicznym stypendium — powiedziała trenerka znacząco. A kiedy Cally nie zareagowała, Knorrig westchnęła i pokręciła głową. — To znaczy, że należysz do Starej Krwi, Monture — wyjaśniła.

— Tylko po jednej stronie, proszę pani - powiedziała Cally cicho.

— Och! - zawołała trenerka, a oczy lekko jej się rozszerzyły. — A więc jesteś półkrwi, tak? No cóż, bliźniaczki Maledetto też mają jednego rodzica Nowej Krwi, a należą do moich najlepszych uczennic.

Wracając do szatni, Cally zauważyła Lilith Todd, która szła sama. Dostrzegła w tym swoją szansę i szybko ją dogoniła.

— Lilith...?

Blondynka obejrzała się, ale kiedy zobaczyła Cally, rysy jej twarzy stężały, a w błękitnych oczach zabłysła czysta, głęboka nienawiść.

— Czego chcesz, nówko? — warknęła.

— Tylko pogadać, to wszystko — odparła Cally. — Słuchaj, zdaje sobie sprawę, że tamtej nocy zaczęłyśmy nie najlepiej. Poniosło mnie, ale naprawdę nic nie mam do ciebie, szczerze. I bardzo mi przykro z powodu śmierci twojej przyjaciółki. Mówię serio. Nie ma sensu, żeby między nami pojawiała się zła krew teraz, kiedy razem chodzimy do szkoły. No i co ty na to? — zapytała, wyciągając do Lilith otwartą dłoń.

Lilith spiorunowała ją wzrokiem, jakby dłoń Cally była pełna świeżego lajna.

— Nie wiem, w co pogrywasz ze mną, ale nie dam się na to nabrać.

— O co ci chodzi? — odezwała się Cally. Mimo postanowienia, że się z nią pogodzi, czuła, że trafia ją szlag. — Po prostu staram się być miła...

— Mili to są nieudacznicy. — Lilith skrzywiła się z niesmakiem. — Nie wiem, jak ci się udało namówić Madame Nerezzę, że przyjęła cię do Bathory Academy, ale upieranie się, że będziesz tu

chodzić, utrudni ci życie. Bardzo utrudni. Upiekło ci się tamtej nocy tylko dlatego, że zaskoczyłaś mnie tą swoją sztuczką z przywoływaniem burzy. Nie pozwolę ci na to drugi raz. Jeśli wiesz, co dla ciebie dobre, znikniesz z tej szkoły od razu i przez resztę swojego żalosego żywota będziesz się trzymała ode mnie z daleka. Bo jeśli jeszcze kiedyś natknę się na ciebie w tych wieśniackich ciuchach, gdziekolwiek poza tą cholerną szkołą, to przysięgam, że cię zabiję.

— To groźba, Todd?

— To ostrzeżenie, Monture — odparła Lilith zimno. - I jeszcze jedno. Trzymaj się z daleka od moich przyjaciół. Kiedy następnym razem zobaczę, że na któregoś chociaż patrzysz, wyrwę ci oczy z oczodołów, a potem cię nimi nakarmię.



## Rozdział 11

Ostatnią lekcją tej nocy było skrybowanie. Cally spojrzała na podwójny rząd staroświeckich stolików z podnoszonymi pulpitemi i wbudowanymi kałamarzami. Wiedziała, że będzie jej brakować przyjaciół, ale nie spodziewała się, że zatęskni też za nowoczesną atmosferą w Varney Hall. Bathory miała staroświecki styl. Było to zupełnie tak, jakby człowiek cofnął się w czasie. Nawet kręte podziemne korytarze były oświetlone przez syczące lampy gazowe. Kiedy Cally chciała zająć miejsce z przodu klasy, Carmen Duivel ubiegła ją i szybko usiadła przy stoliku.

— To moje miejsce, nówko. — Uśmiechnęła się złośliwie. — Zawsze tu siadam.

Cally westchnęła i podeszła do następnego biurka, ale tym razem drogę zablokowała jej Melinda Mauvais.

— Przepraszam — powiedziała dziewczyna. Usiłowała przy tym nie patrzeć na twarz nowej. — To miejsce jest zajęte.

Cally już nie raz doświadczyła tej dziecinnej strategii okazywania niechęci i władzy. Usiadła z tyłu i miała nadzieję, że nauczycielka nie będzie się na nią gapić, jakby była odmianą paskudnego owada.

— Moje panie, otwórzcie, proszę, pulpity i wyjmijcie przybory do skrybowania — oświadczyła Madame Geraint, stając przy tablicy.

Nauczycielka była chudą kobietą o zadziwiająco kształtnych dłoniach. Jej palce poruszały się z niesamowitą zwinnością, zupełnie jak morskie wodorosty falujące w delikatnym nurcie.

Cally uniosła blat i znalazła czarne lakierowane pudełko na przybory do pisania. Wieczko inkrustowane masą perłową przedstawiało godło Bathory Academy; wielką gotycką literę B obramowaną tojadem i wilczą jagodą. Wewnątrz pudełka leżało kilka arkuszy welinowego pergaminu, płaski kamienny przycisk do papieru i piętnastocentymetrowy pazur skryby wykonany z kości słoniowej.

Madame Geraint za pomocą drewnianej wskazówki postukała w dziwny rysunek. Przypominał chiński ideogram i bazgroły pijanego Picassa.

— Dzisiaj będziecie ćwiczyć prawidłową pisownię chtonicznego słowa oznaczającego krew. W prawdziwej mowie wymawia się je następująco. — Odchrząknęła i wydała z siebie serię szybkich ultradźwiękowych pisków i kliknięć. — Akcent pada na ostatnią sylabę. W zależności od kontekstu, słowo „krew” może być używane dla oznaczenia życia, pożywienia lub rodziny, co czyni je najważniejszym pojęciem w naszym słowniku. Moje panie, pazury w górę! I... do dzieła!

Cally wyjęła arkusz welinu z pudełka. Ostrożnie ustawiła przycisk do papieru na dole stronicy. Na szczęście w Varney miała skrybowanie, więc nie czuła się kompletnie zagubiona. Ale opanowanie pisania pazurem skryby bywało trudne nawet dla Starej Krwi, więc przez cały czas musiała uważać, co robi.

Wzięła do ręki szpon. Podtrzymała go kciukiem, a następnie oparła na prawym palcu wskazującym. Zanurzyła piórko w szklanym pojemniku ustawionym w zagłębieniu na kałamarz. Uważnie otrząsnęła nadmiar atramentu, a potem zbliżyła czubek pazura do welinu.

- Nie, nie, nie! To jest kompletne guano! Zaczynij jeszcze raz!  
Cała klasa uniosła głowy, żeby sprawdzić, komu się obrywa.  
Madame Geraint stała przy stoliku Carmen Duival i kręciła głową z niezadowoleniem.

- Czy to ważne? Musi być idealny? - odpaliła Carmen, zacerwieniona ze wstydu po czubki uszu. - Jeśli chcę coś napisać, mogę to wklepać w komputer. W ten sposób, jak się pomylę, szybko to usunę. Moim zdaniem takie ręczne pisanie to głupota.

Przez klasę przebiegł nerwowy szmer.

- Komputery... - parsknęła pogardliwie Madame Geraint. - Nie umiecie nawet utrzymać pazura w dłoni, a co dopiero mówić o pięknym charakterze pisma. Oczywiście w dawnych czasach nasi przodkowie maczali czubek własnego pazura w atramencie i pisali nim na pergaminie. Chociaż pogodziliśmy się z takimi technologicznymi osiągnięciami jak druk i opracowaliśmy programy komputerowe, które pozwalają nam się komunikować przez Internet, to nasze najważniejsze dokumenty nadal są spisywane ręcznie. Zapewniam was, że umiejętność czytania i pisania znaków pisma chtonicznego nie jest bynajmniej głupia. We wszystkich dokumentach prawnych, pismach religijnych i danych

genealogicznych, zbieranych przez nasz lud przez tysiąclecia, nie zapisano ani jednego słowa w języku znanym ludziom. Tak chronimy samych siebie przed tymi, którzy chcieliby nas zetrzeć z powierzchni ziemi. Pracownicy Synodu bardzo cenią precyzyjnych skrybów. A umiejętność pisania jest istotna podczas wyborów na Lorda Kanclerza i inne wysokie urzędy.

— No cóż, tym się akurat nie martwię. — Carmen pociągnęła nosem. — Nie planuję iść do służby cywilnej.

— I może tak będzie lepiej, panno Duival — westchnęła Madame Geraint. — Ale dopóki twoja matka opłaca chesne za szkołę, musisz się uczyć, żeby nie zostać wtórną analfabetką. A teraz zacznij od nowa.

Carmen nadała się, ale nic już nie powiedziała. Zaczęła pisać od nowa. Madame Geraint spoglądała jej przez ramię, a potem w milczeniu ruszyła po klasie, a piękne dłonie spłotła na plecach. Kiedy odezwał się dzwonek oznaczający koniec nocnych zajęć, Madame Geraint wskazała na biurko.

— Odlóżcie przybory do pisania, podpiszcie prace i zostawcie je na katedrze.

Cally szybko schowała przybory i chwyciła pergamin. Kiedy podeszła do kolejki uczennic,

które odkładały prace, Samara Bleak obróciła się i spiorunowała ją spojrzeniem.

- Na koniec kolejki, nówko.

- Ale za mną są inne... - zaprotestowała Cally.

- Słyszałaś, co powiedziała? Na koniec kolejki - warknęła Carmen, mocno szturchając Cally w ramię.

Cally zachwiała się i boleśnie uderzyła w udo o jeden ze stolików.

- Jakiś problem, Carmen? - spytała Melinda. Patrzyła ostro na Cally.

- Żadnego. Pokazuję tylko tej nówce, gdzie jest jej miejsce, to wszystko.

Cally miała wielką ochotę się zrewanżować, ale przecież tamtej dokładnie o to chodziło. Zaciśnęła pięści tak mocno, że zraniła się paznokciami do krwi. Chociaż z całego serca pragnęła zgnieść obcasem laleczkowatą buźkę Carmen, musiała nad sobą panować.

Gdyby to zależało od niej, darowałyby sobie trenerkę Knorrig i jej sprawdzian. Wyszła-by przez drzwi wyjściowe i nigdy więcej tu nie wróciła. Ale co by powiedziała jej matka? Pomijając jej słabości i niedociągnięcia, Cally musiała ją chronić. A jeśli to oznacza konieczność użerania się z tymi starociami, niech i tak będzie.

Kiedy kładła swoją pracę na biurku, Madame Geraint podeszła i położyła dłoń na jej ramieniu. Ckociaż palce nauczycielki wydawały się delikatne jak źdźbła młodej trawy, były zadziwiająco stanowcze i silne.

— Chciałabym na to spojrzeć — odezwała się Madame Geraint i uniosła arkusz z pracą Cally. Przyjrzała mu się w skupieniu, a potem zerknęła na Cally. — Zdaje się, że masz lekką rękę.

— Czy to dobrze?

— Tak, dziecko, to dobrze — odpowiedziała Madame Geraint, uśmiechając się kącikiem ust. — Oznacza to, że w twojej pracy przejawia się opanowanie, siła i nawet odrobina wyrafinowania. Chciałam ci to powiedzieć podczas lekcji, ale uznałam, że lepiej nie robić tego przy innych uczennicach.

— Dziękuję... Chyba ma pani rację.

— Chyba wiesz, że w szkole są nauczyciele, którym się nie podoba, że tu jesteś, panno Monture. Ale ja do nich nie należę. Uważam ich za hipokrytów. — Madame Geraint pociągnęła nosem. — Przecież nauczyciele zajmują ostatnie miejsce w kolejce do prawa krwi. Jest takie stare powiedzenie: „Ci, którzy mogą, zostają Nową Krwią, ci, którzy nie mogą, idą uczyć”.

Cally przebrała się w kostium gimnastyczny. Czekwała na swój sprawdzian.

- Nauka historii o naszej rasie i skrybowanie są przydatne, ale jeśli nie opanujesz umiejętności przekształcania się i latania, nie dożyjesz nawet setki - stwierdziła trenerka Knorrig, przechadzając się w tę i z powrotem. Chociaż tę umiejętność mamy wszyscy, nie rodzimy się z nią. Zeby ją wyrobić, powinnaś trenować bezustannie, aż transformacja stanie się odruchem. A to znaczy, że musisz ćwiczyć, ćwiczyć i jeszcze raz ćwiczyć. Nie będę cię okłamywać: to boli, zwłaszcza kiedy się uczysz. Na szczęście im częściej to robisz, tym łatwiej ci to przychodzi. Nie wolno ci się jednak zmieniać, jeżeli nie wiesz, w co się przekształcisz. W zależności od twojego dziedzictwa to mogą być bardzo różne stworzenia.

Trenerka wreszcie przeszła do rzeczy.

- Musimy dowiedzieć się, jakie zwierzę jest twoim totemem i od niego zacząć. Może to będzie wilk. A może jakiś wielki kot, jak u Mauvais. Chociaż nie jest to takie pewne. Możesz być też jedną z tych istot, które zamieniają się w kobrę królewską albo innego węża. No cóż, trzeba to po prostu sprawdzić. Dobra, Monture, rób to, co ci każe, jasne? Najpierw chcę, żebyś zamknęła oczy i oczyściła umysł.



Cally zamknęła oczy i próbowała się odprężyć. Głęboko oddychała przez nos.

— Dobrze. Bardzo dobrze. A teraz chcę, żebyś sięgnęła głębiej do swojego umysłu — powiedziała trenerka Knorrig, a jej głos podziałał na Cally usypiająco. — Wejdź w mrok. Powiedz mi, co widzisz?

Cally chciała już wyznać, że przed oczami ma tylko wiązkę fioletowych światełek pulsujących jej pod powiekami, ale potem dotarło do niej, że patrzy na gęstą kępę drzew i krzewów.

— W-widzę jakiś las — wyjąkała.

— Dobrze. Bardzo dobrze — pochwaliła ją trenerka. — A co cię wita w tym lesie?

Cally zmarszczyła brwi. Próbowała przyjrzeć się lasowi. Nagle na jego skraju, między gruzło-watymi pniami drzew, zamrugła para oczu czerwonych jak rozżarzone węgle. Rozległ się niski warkot i szary wilk wyszedł z mroku, ostrożnie węsząc powietrze.

— Widzę wilka — rzuciła z ożywieniem.

— Znakomicie — stwierdziła trenerka Knorrig. — To twój totem, zwierzę twojej rodzinnej linii. Jest w takim samym stopniu częścią twojego dziedzictwa jak kolor oczu i włosów. Chcę, żebyś spróbowała go dotknąć.

Cally pokiwała głową i z wahaniem postąpiła krok naprzód.

Wyciągnęła przed siebie prawą

rękę. Wilk przez chwilę węszył i ruszył ostrożnie ku niej, jakby nie był pewien, czy może podejść.

- Widzisz jego energię?

W tym momencie Cally dostrzegła, że wilk jest skąpany w dziwnym, zielonkawym świetle.

- Tak. - Przytaknęła głową.

- Dobrze. Dotknij go i pozwól, żeby jego energia przepłynęła przez ciebie.

Cally wyciągnęła rękę i niepewnie pogłaskała wilka po grzbiecie. Chociaż wiedziała, że tak naprawdę niczego przed nią nie ma, to jednak czuła jego ciepło i miękkie futro między palcami. Kiedy głaskała zwierzę, zrobiło się jej przyjemnie, zupełnie jakby wróciła do domu po długiej podróży. Na kominku trzaskał ogień, a bliscy zebrali się, żeby ją przywitać.

Zielonkawa luna, która otaczała wilka, owinęła się wokół jej dłoni i wspięła po ramieniu **n**icznym pnącze winorośli. Nagle poczuła przeszywający ból, jakby ktoś łamał jej kości.

Trenerka Knorrig obserwowała uważnie, jak Cally osuwa się na kolana, skrzywiona z bólu, a jej prawe ramię zaczyna zwiększać objętość i przekształcać się w wilczą łapę.

- Dalej, Monture, idzie ci świetnie! Nie bój się. Przejmij moc wilka!

Bała się, że zwierzę wymknie się z jej objęć, i mocniej wbiła palce w jego futro. Wilk obrócił się i kłapnął zębami. Wiedziała, że to wszystko, co się wokół niej dzieje, nie jest realne, ale odruchowo odsunęła dłoń. Zwierzę rzuciło się w jej stronę, a potem zawróciło i skoczyło w mrok.

— Nie! Czeka! Nie odchodź! — zawołała Cally\* wyciągając rękę, jakby chciała sprowadzić wilka z powrotem.

Powietrze przepelniło się zapachem ozonu, a Knorrig aż sapnęła ze zdumienia, kiedy zobaczyła, że rękę uczennicy spowiła mroczna energia. Ektoplazma była czarna jak smoła, poprzetykana szkarłatnymi nitkami, które pulsowały jak żyły. Nauczycielka obserwowała z przerażeniem, jak substancja z sykiem opada na zimne kamienie posadzki groty. Przypominała krople wody, które parują na rozpalonej patelni.

— Otwórz oczy! - krzyknęła. — Monture, otwórz oczy!

Kiedy Cally otworzyła oczy, czarna ektoplazma zniknęła, wchłonięta przez ciało. Ramię dziewczyny zwisło bezwładnie u boku. Cally rozejrzała się oszołomiona.

— Przepraszam — powiedziała. - Wilk uciekł. Mam spróbować jeszcze raz?

- Nie trzeba, Monture - odparła trenerka, coś zawzięcie notując na swojej podkładce. -Chyba widziałam już dosyć.

## ROZDZIAŁ 12

Było już bardzo późno, kiedy Cally wyruszyła do domu. Jakby jeszcze nie wystarczyło, że musiała użerać się z koleżankami, które nienawidziły jej z całego serca, i z nauczycielkami, które uważały ją za śmiecia, to jeszcze dojazd z nowej szkoły do domu miała beznadziejny.

Stała na peronie w Williamsburgu przez długą chwilę i patrzyła śladem odjeżdżającego pociągu linii J. Rozejrzała się wkoło z nadzieją, że zobaczy Petera, a potem pokręciła głową, karcąc się za taką głupotę. Równie dobrze mangusta mogła zakochać się w kobrze albo syrena tęsknić za rybakiem. Nic dobrego wyniknąć z czegoś takiego nie mogło.

Cally jeszcze pamiętała, jak mając cztery lata, spadła z drabinek na placu zabaw i złamała sobie

rękę. Płakała przez minutę, bardziej z zaskoczenia niż z bólu, a potem zaczęła podskakiwać i bawić się, jakby nic złego jej się nie stało.

Babcia, która obserwowała to wszystko z boku, szybko zabrała Cally z parku, tłumacząc pozostałym dorosłym, że zawiezie wnuczkę do najbliższego szpitala. Ale zamiast jechać do szpitala, wróciły taksówką do domu, gdzie babcia posadziła ją przy kuchennym stole i wyjaśniła, na czym polega różnica między Cally a innymi dziećmi.

- Musisz uważać, kiedy bawisz się z ludzkimi dziećmi, malutka - powiedziała babka. - Wyglądają zupełnie tak samo jak ty, ale bardzo się różnicie. Kiedy one przewrócą się i coś sobie zrobią, nie dochodzą do siebie natychmiast, w przeciwieństwie do ciebie. Musisz to zrozumieć. Jeśli zrobisz sobie coś publicznie, nigdy nie wolno ci pozwalać im zobaczyć, jak szybko się goisz. Musisz udawać, że jeszcze cię boli, i zniknąć stamtąd, jak się da najszybciej. Gdyby ludzie się dowiedzieli, kim jesteś, zabraliby cię ode mnie i od twojej mamy. Nieważne, czy są bardzo mili, czy nie, to bardzo ważne, żebyś nigdy, ale to nigdy nie ujawniała, kim naprawdę jesteś. Nikomu, a już zwłaszcza nie ludziom.

Przestrogi babci wciąż jeszcze jej dźwięczały w uszach. Cally narzuciła na ramię torbę Diesel

z książkami i zeszła po metalowych schodach prowadzących na ulicę. Choć było późno, przed powrotem do domu musiała jeszcze załatwić parę rzeczy dla siebie i matki. Kiedy zeszła ze schodów, pobiegła ulicą do całodobowego sklepu na rogu. Złapała koszyk ze stosu ustawionego tuż za drzwiami i poszła poszukać potrzebnych jej rzeczy: papieru toaletowego, lakieru do paznokci, paczki babeczek, butelki "YboHoo i na koniec bukietu świeżych kwiatów. Kiedy wykladała zakupy, kasjer z zainteresowaniem przyjrzał się jej szkolnemu swetrowi, plisowanej spódnicy i mokasyńkom.

— A więc... Przebierasz się za niegrzeczną dziewczuszkę? —  
Uśmiechnął się znacząco.

— Spadaj - powiedziała Cally. Obrzuciła go lekceważącym spojrzeniem. Zabrała plastikową torbę z zakupami i wyszła ze sklepu, wymachując kwiatami. Jeszcze jedna sprawa do załatwienia i mogła wracać do domu.

Cmentarz Rest Haven ze wszystkich stron otaczały biurowce i apartamentowce. Założono go w trzydziestych latach XIX wieku. Brama z kutego żelaza, najeżona na szczycie metalowymi szpikulcami, pozwalała przechodniom zerknąć przelotnie na zielone zadbane trawniki, drzewa dające cień i podniszczone pomniki. Wej-

ście chronił ciężki łańcuch, zwinięty jak chromowany pyton, nie dopuszczając wandalów, pijaków i ćpunów do spoczywających za murem zmarłych.

Cally rozejrzała się po ulicy, żeby się upewnić, że nikt jej nie obserwuje, a potem wskoczyła na mur. Wylądowała pewnie na jego szczycie. Sekundę tam stała, sprawdzając, czy nic nie wypadło z torby z zakupami, a potem zeskoczyła na trawnik po drugiej stronie. Rest Haven wydawał się tak odległy od miejskiego brudu i zgiełku. Dwa ary gruntu. Przypominał raczej ogród babci niż cmentarz z tymi wszystkimi ptakami, wiewiórkami i starymi dębami.

W ciszy przeszła między nagrobkami oświetlonymi światłem księżycy w stronę grobu dziadków, zakrytego szkarłatnymi liśćmi opadłymi z pobliskiego głogu. Granitowy nagrobek miał kształt dwóch serc połączonych sylwetką lecącej gołębic.

Chociaż napis po lewej stronie grobu, smagany przez wiatr i deszcz, miał dwie dekady, nadal można go było odczytać: „Cyril Monture, 1925-1988”. Drugie nazwisko wykuto później: „Sina Osterberg Monture, 1931-2006”.

- Cześć, babciu, cześć, dziadku. Przyniosłam świeże kwiaty -  
powiedziała Cally, wyrzucając



zwiędnięte lwie paszcze z wazonu na pomniku. Na ich miejsce włożyła nowy bukiet.

Zmiotła dłonią, liście z grobu babci. Nagle poczuła jakiś znajomy zapach w powietrzu. Zerknęła przez ramię na wielki pomnik z rzeźbą płaczącego anioła, pochylonego nad trumną ukochanej osoby.

- Po co tu przyszedłeś? Kto z tobą jest? Jakaś postać wyszła z cienia w krąg słabego

światła padającego od strony ulicznej latarni.

- Nie bój się. — Peter Van Helsing wyciągnął do niej rękę. - Jestem sam.

- To się robi żalosne! - Cally niespodziewanie zaczęło się zbierać na płacz. — Już i tak dziwnie się czułam, kiedy znalazłeś mnie w klubie, ale skąd wiesz o tym miejscu?

- Co mam powiedzieć? Tak mnie wychowano. Siedzę innych od dziecka. - Przepraszająco wzruszył ramionami. - Wczoraj wieczorem byłaś taka zdenerwowana, że wyszłaś, zanim zdążyłem ci wszystko wytłumaczyć. Nie chcę, żeby stało ci się coś złego, Cally Monture.

- To zabawne, przecież przy pierwszym spotkaniu próbowałeś mnie zabić - parsknęła. - Zaraz. .. Nie mówiłam, jak się nazywam.

- Cally, wiem sporo o tobie i o twojej rodzinie.

- A dlaczego miałabym wierzyć w to, co mówisz?

— Rozumiem, że masz powody, żeby mi nie ufać, ale uwierz mi. — Peter sięgnął do kieszeni kurtki i wyjął staroświecką fotografię o pozagina-nych ze starości rogach. — Wziąłem ją z akt ojca. Gdyby wiedział, że ją mam, skopałby mi tyłek. To zdjęcie twojej babki i mojego ojca, Christophera Van Helsinga, z ówczesnym protegowanym, Ikiem Graingerem.

Cally w milczeniu wpatrywała się w zdjęcie. Spoglądała z niego młoda kobieta. Zupełnie niepodobna do babci, chociaż była młodsza niż kiedykolwiek za jej pamięci, jej uśmiech i błysk w jej oczach były znajome. Stała między przystojnym mężczyzną o wijących się kasztanowych włosach, trochę podobnym do Petera, i młodym przysadzistym Murzynem, w którym rozpoznała tamtego łowcę wampirów.

— Kiedy zrobiono to zdjęcie?

— Jakies trzydzieści lat temu — odparł Peter. — Wkrótce po tym, jak mój ojciec przejął instytut po dziadku.

— Nadal nie rozumiem — powiedziała Cally oszołomionym głosem. — Co moja babcia robiła tam z twoim tatą?

— Nie rozumiesz? Należała do Elit: do tych, którzy ćwiczą ponadnaturalne moce do ścigania wampirów. Jak mówi mój ojciec, Sina zaliczała się do najlepszych.

— To na pewno fałszywka. — Cally z oburzeniem wcisnęła mu w rękę zdjęcie. — Założę się, że zrobiłeś to w Photoshopie! Wariat! Moja babcia nie była łowczynią wampirów...

— Twoja babcia była czarownicą, Cally — stwierdził Peter stanowczo. Chwycił ją za rękę. — Białą czarownicą, która wykorzystywała swoje moce do walki. Co ważniejsze, była człowiekiem. Tak jak twoja matka.

— To jest... Nie będę słuchać tych bzdur! — rzuciła ostro Cally, zabierając torbę z zakupami stojącą u jej nóg. — Jesteś nienormalny, wiesz? A teraz daj mi spokój!

— Nie! Nie dam ci spokoju, dopóki mnie nie wysłuchasz! — Peter niechcący pchnął ją na krzew głogu. Torba z zakupami spadła na ziemię, a jej zawartość rozsypała się na sąsiedni nagrobek.

Chociaż bez trudu mogła się wyrwać, nie zrobiła tego. Popatrzyła Peterowi w twarz. Czowała jego oddech na swoim policzku i ten jego intensywny, ciepły zapach. Spojrzała w jego oczy i zobaczyła w nich swoje odbicie, zupełnie jakby uwięził ją we własnej głowie.

— Dlaczego to robisz? — spytała.

— Bo chcę ci pomóc. Roześmiała się gorzko.

— Van Helsingowie pomagają wampirom?

— Przecież ty nie jesteś wampirem, Cally. Żaden wampir nie poszczulby szczurem człowieka, a potem zmienił zdanie i zaczął go ratować. I od kiedy to wampiry jadają śmieciowe jedzenie? -Wskazał na babeczki, które rozsypały się na ziemi. - Od kiedy usiłujesz się przestawić, Cally? Od pół roku? Rok?

Cally w pierwszym odruchu chciała go okłamać, tak jak przez całe życie okłamywała innych. Od tamtego dnia, kiedy przewróciła się na placu zabaw, babka wbijała jej do głowy, że nigdy nie wolno jej mówić o sobie prawdy. Kłamstwo stało się dla niej odruchem. Otworzyła usta, żeby zaprzeczyć tym jego zarzutom, ale zamiast tego powiedziała:

— Prawie dwa lata.

Szokowała ją przyjemność, jaką odczuła, kiedy przyznała się do prawdy. Od śmierci babki z nikim na ten temat nie rozmawiała. Ale teraz chciała się przyznać.

— Te słodczyce są dla mojej mamy, nie dla mnie. Zaczęłam metabolizować krew trzy lata temu. Babcia przestała dawać mi zwykle jedzenie zaraz po tym, jak się dowiedziała, że ma raka. Wiedziała, że muszę pić wyłącznie krew, jeśli mam być jednym z nich.

Cally mocniej ścisnęła go za rękę.

— Nie będę ściemniać. Czasami jestem zmęczona tym udawaniem i mam ochotę wszystko rzucić.

— Nie musisz żyć w kłamstwie, Cally. Możesz pójść ze mną do instytutu. Dopilnuję tego, żeby twojej mamie niczego nie zabrakło. Już nie będziesz musiała się nią sama opiekować.

— Chcesz, żebym została Van Helsingiem? — Cally była zszokowana. — Nie mogę tego zrobić!

— Cally, jesteś hybrydą. Jak długo uda ci się udawać prawdziwie urodzoną w Bathory Academy? Prędzej czy później odkryją prawdę na temat twojego pochodzenia.

— Skąd wiesz o tej szkole? — Aż sapnęła z wrażenia.

— Daj spokój, nie traktuj mnie jak kompletnego kretyna, dobra? — Peter uśmiechnął się krzywo. — Rozpoznałem ten mundurek z daleka. Jeden z moich przodków spalił pierwszy budynek tej szkoły. Nie musisz się martwić, że zdradzisz mi jej lokalizację. Instytut zna ją od kilkudziesięciu lat. Poza tym szkoła jest chroniona czarami, więc nie zrobimy takiego numeru jeszcze raz... Ponadto trudno byłoby wyjaśnić policji, że przebiliśmy kołkami tyle młodych serc. Spojrzała przez ramię na grób swojej babci, połyskujący w świetle księżyca.

- Jeśli to, co mówisz o mojej babci, jest prawdą, to mimo wszystko miała powody, że trzymała mnie z daleka od instytutu. Niezależnie, jak bardzo chciałabym pójść z tobą, nie mogę tego zrobić.

Peter zaczerpnął głęboko powietrza, a potem powoli je wypuścił.

- Podejrzywałem, że to powiesz. - Podał jej wizytówkę. - To mój numer. Jeśli będziesz chciała pogadać, zadzwoń.

- Dzięki. - Uśmiechnęła się, wsuwając karteczkę do kieszeni blezera.

- Mój ojciec to świetny facet - powiedział Peter z nieco dziwną miną.

- Ale jest też zdeterminowany. Szuka cię od dawna, Cally. Hybrydy bywają najlepszymi łowcami wampirów, bo się nie wyróżniają wśród wampirów. Mój przodek był tego dowodem. Ojciec chce cię wykorzystać jako broń przeciwko swoim wrogom. Nie chcę, żeby ktoś zrobił ci krzywdę, włączając w to mojego ojca. - W oczach miał sporo bólu. - Dla ciebie jestem gotów zrobić wszystko, nawet zdradzić tych, których kocham.

To, co w tej chwili robiła, było głupie. Ujęła bladymi dłońmi twarz Petera i przyciągnęła ją do siebie, później namiętnie pocałowała. Po chwili jego silne ramiona również ją objęły. Peter otarł się o nią biodrami i z każdym kolejnym ruchem ich oddechy stawały się głośniejsze.

w miarę jak rosła namiętność, Cally ogarniał coraz większy głód, szarpało ją nieodparte pragnienie. Oderwała usta od warg Petera i przywarła do jego gardła. Czula pot, który spływał po skórze, czula pulsowanie żyły, tuż pod swoimi kłami. Kusiło ją, żeby się napić. Takie miłosne ukąszenie, nic więcej. Przecież w ten sposób nie zmieni go w nieumarłego, nawet gdyby chciała. Ale mogła się zapomnieć i wypić za dużo...

— Nie! - zawołała Cally i nagłym ruchem wrywała się z jego objęć.  
- Przepraszam cię, nie mogę. — Szybko pozbierała porozrzucane zakupy. — Muszę iść. Zadzwoń do ciebie później.

Peter patrzył, jak Cally jednym susem wskoczyła na mur otaczający cmentarz. Kiedy znikła po drugiej stronie, usłyszał suchy trzepot i zobaczył ćmę, która obijała się o uliczną latarnię. Zadrżał i szybko odwrócił wzrok.

Sheila Monture lekko pochrapywała przed telewizorem, kiedy Cally wróciła do domu. Dziewczyna podniosła na wpół opróżniony pojemnik z chińszczyzną i pustą butelkę po whiskey Ancient Age, która leżała na szezlongu. Wyrzuciła śmieci do kosza. Potem z szafy wyjęła stary wełniany pled swojej babki i ostrożnie przykryła nim śpiącą matkę.

## Rozdział 13

Latanie to nasze dziedzictwo i nasze przeznaczenie. - Knorrig trzymała dłonie splecione za plecami. Mówiła do zasłuchanych uczennic. - Ale latanie to coś więcej **niż** tylko wymachiwanie skrzydłami. Unoszenie się na wolnym powietrzu to jedno. Jednak zupełnie czymś innym jest nauka echolokacji i przemieszczanie się nocą w ciasnych, zatłoczonych miejscach.

Cally stała na szerokim występie trzydzieści metrów nad poziomem groty. Była zadowolona, że między nią a Lilith jest jeszcze kilka dziewczyn.

Trenerka ciągnęła swój wykład na temat umiejętności latania w ograniczonej przestrzeni, a Cally podeszła nieco bliżej krawędzi, żeby mieć lepszy widok. Z tego miejsca widać było wyraź-



nie, że podziemna komnata nie powstała naturalnie. Stalagmity na posadzce poniżej przypominały jej żywoplot ogrodowego labiryntu. Patrząc z góry, dostała nagle zawrotów głowy i szybko się cofnęła. Obejrzała się i zobaczyła, że Toddówna gapi się na nią. Bez sensu dać się stąd zepchnąć. To pewna śmierć. Do Cally dotarło, że każda z jej nowych koleżanek może to zrobić, jeśli Cally nie będzie ostrożna.

Trenerka spojrzała na podkładkę, z którą się nie rozstawiała, i powiedziała:

- Maledetto, ty pierwsza.

W pierwszej chwili Cally wydawało się, że do przodu wystąpiła Bella, ta sama, którą widziała wczoraj na zajęciach z przekształcania. Potem dotarło do niej jednak, że dziewczyna ma we włosach czerwone wstążki.

- Potrzymasz? - odezwała się nieśmiało Bette Maledetto i wyciągnęła w stronę Lilith wstążki. Zwykle w takich sprawach polegała na siostrze, ale chodziły na różne zajęcia. Usiłowano w ten sposób wyrobić w nich samodzielność.

- A co? Wyglądam na twoją służącą? - Lilith zadarła nosa, spoglądając z niesmakiem na atlasowe wstążki.

Cally dostrzegła dla siebie szansę i szybko podeszła do dziewczyn.

- Ja się nimi zajmę.

- Dzięki - powiedziała Bette.

Po chwili stała już na skraju występu. Uniosła wysoko ramiona. Palce jej dłoni szybko wydłużyły się, a kciuki zagięły i zmieniły w wielkie szpony. Kości zaczęły się deformować, a skóra między palcami i na ramionach zamieniła się w błoniasty płaszcz. Czubek nosa uniósł się w górę, a potem cofnął, obnażając nozdrza. Wargi się zwężyły, a między nimi ukazały się perłowobiałe kły. Spiczaste uszy powiększyły się i przesunęły na czubek czaszki. Włosy zastąpiło ciemnoszare futro. Szyja skróciła się i głowa znalazła się między ramionami. Szeroka klatka piersiowa zapewniła skrzydłom większy zasięg. Do tego palce stóp zmieniły się w zakrzywione szpony. Parę sekund później Bette pochyliła się na przekształconych nogach, które zgięły się w przeciwną stronę. Zaćwierkała coś do siebie i niespokojnie zerknęła na las ostrych kamiennych szczytów na dnie groty.

Cally zdziwiła się, że koleżanka ze słodkiej nastolatki o dziecinnej buzi przekształciła się w tak potwornego nietoperza. Cała transformacja, od początku do końca, trwała zaledwie tyle, co parę uderzeń serca. Na samą myśl o konieczności opanowania podobnej sztuczki Cally zadrżała.

- Nie denerwuj się, Maledetto - szepnęła trenerka uspokajającym tonem. - Uda ci się.

Bette napięła mięśnie piersiowe, skrzydła opuściła wzdłuż ciała. Skoczyła w przepaść. Jej koleżanki podeszły bliżej krawędzi, przepychając się, żeby mieć lepszy widok. Bette pikowała w dół. Nagle rozpostarła ramiona i machając skrzydłami, zaczęła się unosić. Skóra jej skrzydeł momentalnie naprężyła się od zamaszystych uderzeń w powietrze i dziewczyna wzbila się w przestworza.

- Dobra robota, Maledetto! Świetnie ci idzie! - zawołała w jej stronę trenerka. - A teraz wybierz jakąś iglicę i wyląduj na niej!

Bette zamachała skrzydłami i wylądowała na stalaktycie. Zawisła głową w dół, przytrzymując się zakrzywionym kciukiem i szponiastymi łapami.

- Mam nadzieję, że widziałyście, w jaki sposób Maledetto skoczyła - powiedziała trenerka. - Mortimer, widzę, że podniosłaś rękę - dodała, wskazując na Biankę. - O co chodzi?

- Proszę pani, czy to będzie na teście? Trenerka westchnęła i ścisnęła grzbiet nosa

kciukiem i palcem wskazującym.

- Mortimer, na tych zajęciach nie ma pisemnych sprawdzianów.

Oceniam wyłącznie ćwiczenia praktyczne.

- Rozumiem, proszę pani - odparła Bianca potulnie.

— Dobrze, teraz kiedy już wiecie, jak łatwo unieść się w powietrze, chcę, żebyście stanęły rzędem, w kolejności alfabetycznej, i przygotowały się do skoku.

Zrobiło się zamieszanie, kiedy uczennice zaczęły się przepychać i gadać jedna przez drugą. Cally niechętnie zajęła swoje miejsce, ale trenerka złapała ją za ramię i odciągnęła na bok.

— Monture, ciebie to nie dotyczy.

— Ale kazala się pani...

— Wiem, co kazałam. I mówię ci, że masz stanąć z boku. Nie umiesz jeszcze przekształcać się w wilka, więc nie pozwolę ci skoczyć z trzydziestu metrów w nadziei, że po drodze wyrosną ci skrzydła. Słuchaj, dziecko, czy ty chociaż umiesz się wspinać po ścianach?

— Trochę, ale nie za dobrze — przyznała Cally, opuszczając oczy. Chociaż w głębi ducha jej ulżyło, że nie będzie musiała latać, była zażenowana tym, że jeszcze nigdy tego nie robiła. - Ale skacę całkiem nieźle. Mogę przeskoczyć trzymetrowy mur.

— No cóż, to już coś — przyznała trenerka. — Ale przed tobą jeszcze długa droga.

— A moje stopnie? Powiedziała pani, że ocena zależy tu od sprawdzianów praktycznych. Co ja mam robić, skoro nie wolno mi latać?

— Biegać wokół groty.

- Ale...

- Nie kłóć się ze mną, Monture - ucięła trenerka. - Jeśli każę ci biegać, to jedyne, co chcę usłyszeć, to: „Ile razy?” Jasne?

- Tak. Ile razy?

- Dopóki nie powiem, że możesz przestać. A teraz wybacz, muszę się zająć klasą.

Po tych słowach Knorrig zeskoczyła z występu i jednym machnięciem skrzydeł dołączyła do pozostałych uczennic zebranych na dole. Z ciężkim westchnieniem Cally ruszyła po spiralnych schodach, wbudowanych w ścianę groty, kierując się na parter.

- Monture! - zawołała trenerka, a jej głos odbił się echem od ścian groty:

Cally zwolniła i przeszła z biegu w chód, a wreszcie zupełnie się zatrzymała. Biegała wokół groty już tak długo, że straciła poczucie czasu. Podniosła wzrok i zobaczyła trenerkę, nadal w skrzydlatej postaci, przycupniętą na szczycie pobliskiego stalagmitu.

- Witam - sapnęła Cally i zgięła się wpół, usiłując złapać oddech. Oparła dłonie na kolanach. Chociaż w grocie było siedemnaście stopni, powietrze było wilgotne. Pot spływał jej po plecach. — Lekcja się skończyła?

— Przepraszam cię, dziecko. Szczerze mówiąc, jakoś zapomniałam o tobie. Dziewczeta wysłałam do szatni parę minut temu. Jeśli się pospieszysz, powinnaś jeszcze zdążyć na północny posiłek przed następnymi zajęciami.

— Jej, dzięki. — Cally opanowała się, żeby nie rzucić jakiejś kaśliwej uwagi. Na przykład, jak bardzo się cieszy, że zostanie jej całe dziesięć minut na jedzenie, kiedy już weźmie prysznic i się przebierze. I tak miała na pieńku z Knorrig, ponadto nie chciało się jej robić następnego okrążenia za karę.

Idąc do szatni, Cally przypomniała sobie, że w kieszeni kostiumu gimnastycznego nadal tkwią czerwone wstążki Bette Maledetto. Zdecydowała, że je zatrzyma. Koleżanka na pewno zacznie ich szukać. Może przy tej okazji będzie mogła z nią spokojnie pogadać. Bez Lilith i łych wazeli-niar w pobliżu.

Kiedy Cally weszła do szatni, wydawało się, że pomieszczenie jest puste. Była zła, że nie starczy jej czasu na jedzenie, ale przynajmniej będzie mogła się przebrać bez widowni. Skoro każda dziewczyna w klasie nosiła koronki La Perła, fakt, że ona kupowała bieliznę w paczkach, po trzy pary majtek w jednej, okropnie ją upokarzał.

Otwierając kosz z czystymi ręcznikami, usłyszała jakiś hałas dobiegający z kabin toaletowych po drugiej stronie pomieszczenia.

- Halo? Kto tam jest?

Przechyliła głowę na bok, ale słyszała tylko szmer wody lecącej z nieszczelnego prysznica. Wzruszyła ramionami i wróciła do kosza. Tym razem jednak dobiegł ją wyraźny odgłos zduszonego szlochu. Cally zamknęła pokrywkę od pojemnika i podeszła do toalet, zaglądając pod zamknięte drzwi kabin. Przystanęła przy ostatnich drzwiach. Zobaczyła parę nóg ubranych w brązowe mokasyny i białe podkolanówki.

- Nic ci nie jest?

- Odejdź! - Głos po drugiej stronie drzwi był tak wysoki, że wydawało się, iż jego właścicielka nawdychała się helu.

- Co się stało z twoim głosem?

- Nic mi nie jest... Nic mi się nie stało. Odejdź i daj mi spokój! - Dziewczyna w kabinie zaczęła pociągać nosem i znów się rozplakała.

- Słuchaj, to bez sensu. Wiem, że coś się stało, inaczej byś nie płakała - powiedziała Cally, sięgając do klamki. - Chodź tu, chcę cię zobaczyć.

— Nie! — zawołała dziewczyna, a ton jej głosu zrobił się tak wysoki, że Cally musiała zakryć dłońmi uszy. — Nie patrz na mnie!  
— No dobra. Dobra. — Cally usiłowała uspokoić dziewczynę, ale to było trudne. — Mogę ci jakoś pomóc?  
— Chyba nie.  
— Skąd możesz wiedzieć, skoro nawet nie chcesz mi powiedzieć, w czym problem?  
— No dobra — zapiszczała dziewczyna po długiej chwili wahania.  
— Ale musisz mi obiecać, że nikomu nie powiesz.  
— Obiecuję.  
— Utkwiłam.  
— Utkwiłaś? - Cally zmarszczyła brwi, niepewna, o co tamtej chodzi. — Znaczy, na toalecie?  
— Nie. Zobacz. — Dziewczyna uchyliła ostrożnie drzwi kabiny. Cally krzyknęła z zaskoczenia, zakrywając usta ręką. Przed nią ubrana w mundurek stała drobna dziewczyna z uszami i nosem nietoperza.  
— Nie patrz na mnie! Wyglądam strasznie! — pisnęła dziewczyna-nietoperz. I zakryła twarz.  
Cally usiłowała panować nad sobą.  
— Jak to się stało? — spytała.  
— Nie jestem do końca pewna — odparła dziewczyna-nietoperz.  
— Przekształciłam się



z powrotem i właśnie się ubierałam, kiedy przypomniałam sobie, że nie mam przy sobie wstążek. Próbowałam sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz je widziałam, a potem znów zaczęłam się zmieniać!

Wbiegłam do kabiny, kiedy tylko to poczułam. Nie chciałam, żeby reszta dziewczyn mnie zobaczyła.

— Ty jesteś Bette Maledetto?

— Obawiam się, że tak. — Bette skinęła głową. Cally sięgnęła do kieszeni kostiumu.

— Mam twoje wstążki, jeśli to coś pomoże.

— Dzięki. — Bette potarła owłosiony policzek czerwonym atlasem, jakby to było jej ulubione zwierzątko. A potem zachlipała.

— Co ja teraz zrobię? Próbowałam wrócić do swojej postaci, ale to nie działa!

— Nie ruszaj się stąd. Pójdę po trenerkę.

— Nie! Nie rób tego! — Dziewczyna złapała ją za ramię. — Powie o tym dyrektorce! Wiem, że to zrobi! Już i tak wszyscy w tej szkole patrzą z góry na mnie i na moją siostrę, bo jesteśmy półkrwi! Na pewno to wykorzystają i nas wyrzucą!

— To zabawne... Wydawało mi się, że jestem tu jedyną uczennicą, która ma taki problem — powiedziała Cally z niepewnym uśmiechem.

— Nie, my też jesteśmy uczennicami na stypendium dziedzictwa — pisnęła Bette. — Nasza

mama to Lamia, Stara Krew, ale tata to Nowa Krew. Większość dziewczyn nie chce się z nami zadawać. Nie dokuczają nam, ponieważ boją się konsekwencji. Tylko Melinda jest miła. Pozostałe śmieją się z niej, bo jej totem to pantera, a nie wilk, jak u całej reszty. Pewnie dlatego jest nam jej żal. — Na twarzy Bette pokazała się rozpacz. — No ale co z tego? Nawet jeśli to nie trafi do moich akt, nigdy się już po tym nie podniosę. Lilith o to zadba! Jej ojciec i nasz to starzy wrogowie. Wykorzysta każdą okazję, żeby nam dopiec! Już słyszę, jak dziewczyny się śmieją i nazywają mnie za plecami: „Nietobette”. — Usiadła ciężko na kłapie sedesu i znów się rozplakała, ocierając zadarty nos papierem toaletowym. — Równie dobrze mogę spuścić w toalecie całe moje życie towarzyskie! — Nie nakręcaj się. — Cally poklepała Bette po ramieniu. — To nic nie pomoże. Posłuchaj, musisz zdecydować, co jest dla ciebie straszniejsze: zły stopień czy papierowa torba na głowie do końca życia. Poza tym nie możesz wiecznie siedzieć w damskiej toalecie. Kiedyś będziesz musiała wyjść. Znajdę trenerkę i wszystko jej wyjaśnię. Jestem pewna, że ci pomoże i będzie wiedziała, co robić. — Masz rację, nie ma innego wyjścia — westchnęła Bette z rezygnacją. — Miło, że chcesz mi

pomóc. Do tej pory jedyną osobą, na którą mogłam liczyć, była moja siostra.

- No cóż, my półkrwi musimy trzymać się razem, nie?

## Rozdział 14

Cally wyszła z szatni i szybko ruszyła do gabinetu trenerki Knorrig, ale drzwi były zamknięte. Zawróciła do groty i rozejrzała się po skalistym wnętrzu z nadzieją, że gdzieś zauważy nauczycielkę. Z tego miejsca, gdzie stała, posadzka groty przypominała las skamieniałych drzew.

— Halo? Trenerko?

Cally przekrzywiła głowę, nasłuchując odpowiedzi, ale usłyszała tylko echo odbijające się od ścian jaskini. Kiedy ruszyła w stronę korytarza prowadzącego do Ruthvenu, zobaczyła, że ktoś chowa się za skalnymi formacjami.

— Trenerko! Proszę zaczekać! — zawołała Cally i szybko pobiegła w stronę znikającej sylwetki, klucząc w skalnym labiryncie.

Nagle jakaś ciemna postać wyszła z za wielkiej skały i zastąpiła jej drogę. Cally krzyknęła i potknęła się, lądując na tyłku.

- Auć!

- Bardzo cię przepraszam. Proszę, pozwól, pomogę ci wstać - odezwała się mroczna sylwetka męskim, lekko sepleniącym głosem. Chłopak wyciągnął do niej rękę o palcach niemal dwukrotnie dłuższych niż normalne. Cally zobaczyła bardzo wysokiego, chudego osobnika ubranego w grafitowoszare spodnie, bordowy blezer i czerwono-czarny krawat, jaki nosili uczniowie Ruthvenu. Jasne włosy chłopaka były szesane do tyłu. Na wysokim i szerokim czole tworzyły klin, który podkreślał zarówno łuk jego brwi, jak i spiczaste uszy. Nieznajomy miał orli nos, duże, głęboko osadzone oczy i pełne zmysłowe usta. Mimo niezwykle wyjątkowego wyglądu był niezwykle szarmancki. Cally rzadko natykała się na tak dobrze wychowanych rówieśników.

- Przepraszam, że cię nastraszyłem. Czasem mi się to zdarza. - Uśmiechnął się przepaszająco i pomógł jej wstać.

- Nie wystraszyłeś mnie, tylko zaskoczyłeś - zachichotała Cally, otrzepując ubranie.

- Tak, to też mi się przytrafia - westchnął.

- Próbuję znaleźć trenerkę Knorrig - wyjaśniła Cally.

— Och! Kiedy usłyszałem wołanie, myślałem, że chodzi o trenera Munna. Jestem jego asystentem na zajęciach.

— Nie, szukam naszej trenerki. Nie wiesz, gdzie ona jest? - spytała Cally z nadzieją.

— Wyszła coś załatwić. Udała się w stronę bocznego wyjścia - powiedział, wskazując wschodnią część groty.

— Boczne wyjście? — zasepiła się Cally.

— Szkoły wpadły na ten pomysł po Wielkim Pożarze. To sekretny tunel, który biegnie pod East River i wychodzi na powierzchnię na Mili Rock Island, w pobliżu Hell Gate.

— A ten trener Munn, o którym wspomniałeś... Jest tu? — zapytała Cally z nadzieją.

— Obawiam się, że nie — odparł.

— Super! - mruknęła Cally, przewracając oczami z irytacją.

— Może ja mógłbym ci pomóc? W końcu jestem pomocnikiem nauczyciela.

— No cóż, jest w mojej klasie taka dziewczyna. .. I okazało się, że ona, hm, utkwiała.

— Utkwiła? — Uniósł pytająco brew.

— Tak... W trakcie przekształcania.

— Rozumiem.

— Ale to tylko część sprawy. Ona nie chce, żeby ją ktoś zobaczył. Ledwie ją namówiłam, żeby pozwoliła mi pójść po Knorrig.

- Myślę, że mógłbym jej pomóc.
- Naprawdę? Byłoby świetnie!
- Gdzie ona jest?
- Schowała się w szatni. Chodź, pokażę ci! Uśmiech nagle znikł z jego twarzy.
- W szatni? W damskiej szatni?
- Tak, no a gdzie niby?
- Bo wiesz, ja mógłbym... Rozumiesz, gdyby ktoś zobaczył, że tam wchodzi... - zająknął się.
- Tylko ona tam jest. Sam powiedziałeś, że Knorrig i Munn wyszli, więc kto inny mógłby cię zobaczyć?
- Dobra, przekonałaś mnie - stwierdził z szerokim uśmiechem.
- Dzięki. A przy okazji, mam na imię Cally.
- A ja jestem Xander - odparł. - Bardzo mi miło. Przyjaciele mówią na mnie Exo.
- Hej? Bette?
- Kto to? - pisnęła dziewczyna niespokojnie ze swojej kryjówki w kabinie toalety.
- Wyluzuj, to tylko ja - odparła Cally. - Możesz się pokazać?
- Pokazać?! Przecież ja od szyi w górę wyglądam jak nietoperz!
- Pytam, bo jest tu ze mną jeden facet.
- Facet?! - Głos Bette niebezpiecznie zawibrował. — Przecież miałaś iść po Knorrig!

— Ale ona wyszła. Znalazłam kogoś, kto ci pomoże — wyjaśniła Cally.

— Zapomnij! Nie chcę, żeby dziewczyny zobaczyły mnie w tym stanie, a co dopiero jakiś facet!

— Pozwól mi z nią porozmawiać — Xander szepnął do Cally. Podszedł do zamkniętych drzwi kabiny i oparł się o nie tak, żeby jego usta znalazły się jak najbliżej drzwi. — Cześć... Bette, tak? Wiem, że jesteś zdenerwowana i zawstydzona — powiedział spokojnym głosem, jakby starał się uspokoić nerwowe zwierzątko. — Ale naprawdę nie ma się czego wstydzić. To zupełnie naturalne, od czasu do czasu zdarza się utkwic. Wierz mi, nie ma czym się denerwować. Możesz się pokazać.

— Ale obiecujesz, że nie będziesz się śmiać? — spytała Bette.

— Obiecuję — powiedział z powagą.

— Ani wrzeszczał?

— Uwierz mi, dla mnie to naprawdę nie ma najmniejszego znaczenia, jak wyglądasz — powiedział Xander i roześmiał się cicho.

— No nie wiem — odparła Bette z niedowierzaniem. — Wyglądam naprawdę okropnie.

— A poczujesz się lepiej, jak ci powiem, że jestem z rodziny Orlocków?

Szczęknięła zasuwka i drzwi kabiny uchylily się na tyle, żeby Xander mógł dostrzec maleńkie zaczerwienione oczka i ciemnoszare futro.



- Syn hrabiego?
  - W każdym razie jeden z nich - odparł.
  - No cóż, to niech będzie. - Bette otworzyła drzwi na oścież i wyszła na zewnątrz, żeby lepiej się jej przyjrzał.
- Xander patrzył dłuższą chwilę. Splótł ramiona na piersi i długim wskazującym palcem podrapał się po nosie.
- Jest źle? - pisnęła Bette lekliwie, przyciskając czerwone wstążki do twarzy.
  - Nie, wcale nie. Trzeba cię tylko troszkę popchnąć we właściwym kierunku, żebyś mogła dokończyć transformację, to wszystko. Istnieje taki eliksir odwrócenia, który rozwiąże twój problem. Niestety, trener Munn trzyma swoje zapasy pod kluczem. Ja jednak nauczyłem się przepisu na zajęciach z eliksirów i chyba mogę bezpiecznie go odtworzyć.
  - To super! - rzuciła Cally z ożywieniem. -Widzisz, Bette? Mówiłam ci, że wszystko będzie dobrze! Wystarczy, że Exo zrobi zapasik tego eliksiru odwrócenia i przyniesie go tutaj, żebyś mogła go wypić!
  - Tak... No właśnie - powiedział Xander z wahaniem, pocierając kark. - Elixir odwrócenia ma bardzo krótki okres połowicznego rozpadu i wymaga specjalnego stabilizatora, żeby dać się butelkować i transportować. Problem w tym,

że jedyna osoba, która ma dostęp do czynnika stabilizującego, to profesor Frid. Zanim zrobię eliksir, przeleję go do flakonika i przyniosę, będzie już do niczego. Żeby zadziałał, musi zostać spożyty najpóźniej w minutę czy dwie od przygotowania.

— A to znaczy... ?

— Ze musimy ją przemycić do laboratorium.

— Co?! - Na dźwięk głosu Bette Cally i Xan-der się skrzywili. - Zwariowaliście? Uczennica Bathory złapana na terenie męskiej szkoły bez przyzwotki automatycznie wylatuje ze szkoły! Nawet teraz, gdyby ktoś nas tu znalazł, wylecielibyśmy na zbity łeb!

— Wolisz iść do Madame Nerezzy? - spytała Cally.

— Nie — przyznała Bette.

— Więc Xander musi cię przemycić do szkoły dla chłopców. ..I z powrotem.

Górna warga Bette zaczęła drżeć, a łzy pojawiły się w paciorkowatych czerwonych oczkach.

— Cally, ja się boję! Nie jestem przyzwyczajona, żeby robić coś bez Belli.

— Jeśli chcesz, pójdę z tobą.

— Naprawdę? Och, Cally, dziękuję! - pisnęła Bette, zarzucając ramiona na szyję Cally. — Dziękuję! Dziękuję! Dziękuję! Ale nie boisz się, że narobisz sobie kłopotów?

- W obecnej sytuacji i tak wątpię, żebym miała długo jeszcze pochodzić do Bathory Academy. - Cally wzruszyła ramionami. - Więc co mam do stracenia?

- Wow, a więc tak wygląda szkoła dla chłopaków - szepnęła Bette z podziwem, kiedy szli łącznikiem do Szkoły Męskiej Ruthven. O ile korytarz po stronie Bathory Academy został wykuty w naturalnej skale z półkolistym sklepieniem, o tyle po drugiej stronie przypominał przejście w gotyckim klasztorze.

- Musimy się spieszyć. W grocie i w laboratorium zwykle nikogo nie ma w czasie posiłków, ale jest niebezpieczeństwo, że ktoś na nas wpadnie - wyjaśnił Xander. Nacisnął guzik wzywający windę. - Mógłbym rzucić na was zaklęcie zakrywające, ale to działa tylko przeciwko skrzepom.

- A co z operatorem windy? - spytała Cally. - Nie boisz się, że nas zobaczy?

- Jaki znów operator? - zainteresował się Xander, marszcząc brwi ze zdziwieniem. Kiedy drzwi się rozsunęły, ukazały wnętrze nowoczesnej, sterowanej przyciskami windy.

Klasy w męskiej szkole mieściły się na trzech poziomach pod ziemią, z których ostatni stanowiła grota, dzielona z siostrzaną szkołą. Wszędzie

panowała gotycka architektura — żebrowane sklepienia i kamienne łuki drzwi.

— Jesteśmy na miejscu - szepnął Xander przez ramię, otwierając drzwi laboratorium. — Na szczęście nasz mistrz alchemii, profesor Frid, to wampir o sztywnych zasadach. Mamy kwadrans, zanim wróci ze stołówki.

Posadzka na środku pomieszczenia była pokryta dziwnymi symbolami i na wpół stopionym woskiem ze świec. Pod ścianami stały stoły. Xander ruszył w stronę biurka, zastawionego mnóstwem menzurek, flakonów i narzędzi, włącznie z makabrycznym móździerzem wykonanym z ludzkiej czaszki i puszczela. Zrzucił z siebie szkolny blezer i włożył poplamiony laboratoryjny fartuch. Szybko odmierzał płyny i proszki z rozmaitych pojemników. Wszystko wlał do szklanej probówki zamocowanej nad niewielkim gazowym palnikiem.

— Jesteś pewien, że to zadziała? — spytała niespokojnie Bette, obserwując wybuchową mieszankę czarnego ciemiernika i sproszkowanej mandragory.

— Jestem pewien! — Mrugnął do niej okiem. — Wiesz, my, Orlockowie, mamy zdolności w tym kierunku.

Nagle drzwi laboratorium otworzyły się i zamknęły z trzaskiem.

— Ktoś tu jest! - szepnął Xander z przestraszoną miną. - Szybko! Schowajcie się!

Cally skinęła głową. Złapała Bette za rękę i pociągnęła ją za sobą. Dziewczyny schowały się pod najbliższym stołem.

— Hej... Exo! Tory?

Xander obrócił się i zobaczył swojego kuzyna, Julesa, który szedł w jego stronę z wyrazem zdziwienia na przystojnej twarzy.

— Tak, to ja - odparł Xander, nerwowo ocierając dłonie o laboratoryjny fartuch.

— Co ty tu robisz? — spytał Jules.

— Miałem zamiar zapytać cię o to samo.

— Zapomniałem zeszytu z wzorami — wyjaśnił Jules, trzymając w ręku podniszczony oprawny w skórę tom w metalowych okuciach.

— Tata nadal stawia pod znakiem zapytania wycieczkę do Vail, jeśli nie poprawię stopni. A co ty tu robisz?

— Och, wiesz, to tak na zapas, za dodatkowe punkty.

— Orlock, ale kujon z ciebie — zachichotał Jules.

— No cóż, nie mogę się pochwalić urodą, jak niektóre znane mi osoby - powiedział Xander z krzywym uśmiechem.

— No więc... Chcesz wyjść po szkole? Sergei zaprosił do siebie paru chłopaków. Jego rodzice wyjechali do Hamptons.

— Chyba nie — powiedział Exo. — To nie dla mnie. Jak sam mówiłeś, jestem kujonem. A poza tym mam wrażenie, że Lilith mnie nie lubi.

— Nie mówiłem jej o tej imprezie — stwierdził Jules, opuszczając wzrok na swoje buty.

— A masz zamiar?

— Nie wiem. Może. — Jules wzruszył ramionami. — Dziwnie się ostatnio zachowuje, rozumiesz. Znaczący, od śmierci Tanith nie robi nic, tylko obsesyjnie zamartwia się tą dziewczyną ze swojej szkoły, tą Nową Krwią.

— Lilith i Tanith były przyjaciółkami — stwierdził Xander z naciskiem. — Pewnie za nią tęskni. Dlatego wyżywa się na tej nowej.

— Tak, pewnie tak — przyznał Jules bez większego przekonania. — Chciałbym, żeby zachowywała się tak, jak dawniej.

— Jeśli o to chodzi, to dlaczego jej czymś nie zajmiesz, żeby przestała myśleć o Tanith? — podsunął sprytnie Xander. — Może czymś romantycznym.

— To niegłupi pomysł. — Jules potarł brodę.

— Jak na kogoś, kto w życiu nie był na żadnej randce, zdecydowanie rozumiesz kobiety.

— Mama prenumeruje „Cosmo” i inne takie.

— Xander głośno się zaśmiał. — Czytam je, kiedy tata nie widzi.

— Lepiej już pójdę - rzucił Jules. - Dzięki za podpowiedź, brachu! Może rzeczywiście podziała!

— Narka! — zawołał Xander za wychodzącym z laboratorium kuzynem.

— Kto to był? - szepnęła Cally wyłaząc spod laboratoryjnego stołu.

— Mój kuzyn, Jules.

— Twój kuzyn?! — wykrzyknęła Cally, nie umiejąc ukryć zdumienia.

— A nie widać rodzinnego podobieństwa? — zapytał kwaśno Xander.

— Nie chciałam, żeby tak to zabrzmiało, Exo.

— Nie ma sprawy — westchnął Xander i wrócił do pracy przy eliksirze. - Już się przyzwyczailem. Jules to magnes na laski, a ja jestem anty-magnezem. Każdy to wie, cały świat to wie.

— Nie powinieneś tak o sobie mówić - skarciła go Cally, kładąc mu dłoń na ramieniu.

Xander na moment znieruchomiał i uśmiechnął się do niej.

— Jesteś bardzo miłą dziewczyną, Cally, ale nie ma sensu się ludzić. Orlockowie mogą sobie być jedną z najstarszych, najbogatszych i najpotężniejszych rodzin na świecie, ale brak nam urody. Większość z nas z trudem uchodzi za ludzi. Wiem, że nigdy nie będę przystojny, i już się z tym

pogodziłem. Dobrze się jednak czuję we własnej skórze, a to więcej niż może o sobie powiedzieć wiele osób, nie wykluczając wampirów. Teraz uważaj, kiedy dodam do eliksiru ostatni składnik, zacznie się pienić jak cola light z mentosem.

Xander uniósł jakiś flakonik i do bulgocącego płynu wrzucił trochę proszku. Mikstura zaczęła gwałtownie się pienić, mieniać się wszelkimi barwami tęczy. Kiedy zrobiła się lawendowa, Exo zdjął ociekającą płynem probówkę z palnika, przelał eliksir do szklanki i podał go Bette.

— Wypij szybko, zanim przestanie się pienić. Bette powąchała płyn nieufnie swoim zadartym nosem nietoperza.

— Śmierdzi przepoconymi dywanami.

— Nie mówiłem, że będzie ładnie pachnieć — stwierdził Xander z irytacją. — Powiedziałem, że zadziała.

Zbierając się na odwagę, Bette zamknęła oczy i wypila zawartość szklanki jednym haustem.

— Uch! Smakuje jeszcze gorzej, niż pachnie. — Skrzywiła się, ocierając pianę z ust.

— O przyjemnym smaku też nic nie wspominałem — przypomniał jej Xander. — Jak się czujesz?

— Chyba dobrze — potwierdziła Bette. Futro zaczęło znikać z twarzy, a rysy przybrały normalny wygląd. — Ale trochę dziwnie. Tak jakby ktoś masował mi twarz od wewnątrz.



— Niesamowite! — sapnęła Cally. — To działa!

— No jasne, że działa — odparł Xander z nutką dumy w głosie. — Ale musicie się obie stąd wynosić. Za chwilę skończy się północny posiłek. A to znaczy, że na korytarzach będzie pełno uczniów i nauczycieli wracających do klas.

— Dziękuję, Exo — zwróciła się do niego Bette. — Nie zapomnę, co dla mnie zrobiłeś. Chodź, Cally... Idziemy!

Cally zdecydowanie ruszyła za koleżanką, ale nagle zawróciła i szybko cmoknęła Xandra w policzek.

— Dzięki za wszystko, Exo — szepnęła mu prosto w spiczaste ucho. — Jesteś świetnym facetem, wiesz?

Xander stał jak wryty, a usta otworzył szeroko jak ryba. Złapał się za pocałowany policzek, jakby przed chwilą go uderzono, i gapił się na Cally, która zdążyła już zniknąć za drzwiami.

— Orlock, jesteś strasznym idiotą — jęknął.

Jules de Laval stał w łazience na pierwszym piętrze i wpatrywał się w umywalkę. Mył ręce. Exo miał rację, musiał coś zrobić. Xander zawsze był najbystrzejszy w rodzinie.

Lilith musi przestać myśleć o Tanith i o tej Nowej Krwi.

Przypomniał sobie, co Exo powiedział

o czasopismach ciotki Juliany. Jego matka też prenumerowała kilka, i to mu podsunęło pomysł.

Może w przerwie między lekcjami zadzwoni do domu i każe któremuś ze służących przejrzeć te pisma i wyszukać jakieś romantyczne pomysły. Zdecydował, że tak zrobi, i wyszedł z łazienki. Od razu zderzył się z kimś, kto biegł korytarzem.

Jules zatoczył się i miał już rzucić jakąś obelgę, ale zdał sobie sprawę, że nie patrzy na kumpla ze szkoły, tylko na dziewczynę.

Stał, zaskoczony, nie tylko dlatego, że uczennicom Bathory Academy nie wolno było przebywać w ich szkole, ale też dlatego, że dziewczyna była tą Nową Krwią z parku, w dodatku piękną.

Z tymi błyszczącymi zielonymi oczami, skórą białą jak powój i krótkimi, oryginalnie ostrzyżonymi włosami była całkowitym przeciwieństwem Lilith i wszystkich znanych mu dziewczyn Starej Krwi. Czerwony kostium gimnastyczny z materiału frotte był dopasowany i podkreślał jej biust oraz szczupłe pośladki, eksponując długie, zgrabne nogi.

W głębi korytarza zobaczył Bette Maledetto, ubraną w mundurek Bathory. Wychylała się z wnętrza windy i machała do nówki, przytrzymując drzwi windy.

— Na Założycieli, co wy tu...? - udało mu się wykrztusić.  
Dziewczyna w kostiumie gimnastycznym uniosła palec do ust.  
— Proszę, nic nie mów — poprosiła. — Jeśli wpadniemy, twój kuzyn będzie miał kłopoty!  
— Jak się tu dostałyście? I skąd wiesz, kto jest moim kuzynem?  
— Exo przemycił nas do laboratorium alchemicznego.  
Siedziałyśmy tam, kiedy przyszedłeś po zeszyt — wyjaśniła.  
— Wiedziałem, że coś knuje! — powiedział Jules. — Ale nie myślałem, że w grę wchodzi dziewczyny.  
Jules rozejrzał się, żeby sprawdzić, czy nikogo innego nie ma w holu, a potem złapał dziewczynę za rękę. Serce zaczęło mu bić szybciej, kiedy poczuł pod palcami gładką skórę.  
— Powiedz Bette, żeby szła za tobą — szepnął. — Korzystanie z windy może okazać się zbyt niebezpieczne. Na tym piętrze jest stara klatka schodowa, która prowadzi do góry. Niewielu uczniów o tym wie i rzadko się z niej korzysta. Tam będziecie bezpiecznie.  
Cally obejrzała się i gestem pokazała Bette, że ma się pospieszyć.  
Jules zaprowadził dziewczyny do niewielkich drewnianych drzwi z mosiężną klamką, za którymi znajdowały się strome spiralne schody.

— Dzięki za pomoc. — Cally się uśmiechnęła. — Dalej pójdziemy same.

Jules pokręcił głową.

— Nie, będzie lepiej, jak was odprowadzę — zakomenderował. — Odwróć uwagę, jeśli na kogoś się natkniemy.

Cally i Bette zaczęły schodzić po schodach śladem chłopaka. Drzwi same się zatrzasnęły. Zeszli na dół, przedzierając się przez liczne pajęczyny. Po paru minutach stanęli przed kolejnymi wąskimi drzwiami.

— Te prowadzą do grotty mniej więcej sto metrów od wejścia do tunelu w Ruthvenie — wyjaśnił Jules. — Pójdę pierwszy i sprawdzę, czy droga wolna.

Wyszedł i rozejrzał się, szukając uczniów albo nauczycieli, ale nikogo nie zobaczył. Znow otworzył drzwi i gestem pokazał dziewczynom, żeby do niego dołączyły.

— Jeszcze raz dzięki za pomoc — odparła dziewczyna w kostiumie gimnastycznym z lekko zaczepnym uśmiechem. — Miło z twojej strony.

— Ależ nie ma o czym mówić...? — rzucił podobnym tonem.

— Cally.

Jules podszedł bliżej i ujął obie dłonie Cally. Pochylił się i pocałował koniuszki jej palców.

— *Enchante*, Cally — powiedział z uśmiechem.

— To obustronna przyjemność, *monsieur* — odpowiedziała z przesadnym, teatralnym dygnięciem.

Zadowoleni ze swoich żartów się roześmieli. Słyszając chichot Bette, Cally się zarumieniła.

— Lepiej już chodźmy. - Wysunęła dłonie z jego rąk.

— *Au revoir* — rzucił z uśmiechem Jules.

Patrzył za dziewczynami, które biegły w stronę groty. Powiedział sobie, że tylko sprawdza, czy nic im nie grozi, ale tak naprawdę chciał po prostu popatrzeć na Cally.

## ROZDZIAŁ 15

Kiedy założono Bathory Academy nie było takich rzeczy jak szkolne stołówki. Ale w miarę jak projekt banku krwi Victora Todda zdobywał coraz szerszą publiczną akceptację, i to się zmieniło. Wyznaczono do tego dużą salę, w której uczennice i nauczyciele mogli spożywać posiłki. Była pełna stołów i krzeseł z IKE-i. W głębi pomieszczenia stała wielka trzydrzwiowa lodówka, wbudowana w ścianę.

Kiedy Lilith stanęła w kolejce, zobaczyła półki z nierdzewnej stali, pełne ludzkiej krwi.

Nieumarła służąca w białym uniformie uśmiechnęła się do niej na powitanie i zapytała:

— Czego się dziś napijesz, moja droga?

— Poproszę coś z moich prywatnych zapasów — odparła Lilith.

— Oczywiście, panno Todd. — Posługaczka sięgnęła do środka i wyjęła torebkę z krwią, a potem położyła ją na plastikowej stolówkowej tacy. Z przodu torebka była oznaczona nalepką z dużymi literami AB i z logo korporacji Hemo-Globe: pojedyncza kropla krwi na tle białego zarysu ziemskiego globu.

Lilith wzięła tacę i usiadła przy pierwszym z brzegu stoliku. Po chwili dołączyły do niej przyjaciółki. Nieważne, gdzie siedziała — zawsze był to najpopularniejszy stolik.

— Widziałaś dzisiaj Annabelle Usher? — spytała Carmen, przysuwając się do Lilith i unosząc kącik ust w złośliwym uśmiechu. Skinęła głową w stronę niskiej, bladej dziewczyny o okrągłej buzi i ciemnych włosach ostrzyżonych na pazia; wyglądała tak, jakby zamiast brwi miała narysowane dwie odwrócone litery U. — Jest beznadziejna! I popatrz, jak się dzisiaj wystroiła... Czy ona ma tylko jedną bluzkę i spódnicę?

Lilith pokręciła głową z niesmakiem.

— Jeśli rodzina uczennicy, która jest tu na stypendium, ma tak mało kasy, że nie może nawet zapewnić dziecku garderobianej, to taka osoba nie powinna w ogóle się tu pojawiać... — Przerwała i rozejrzała się po sali. — A przy okazji, gdzie ta nówka?

— Chodzi ci o Cally? — spytała Bianca Mortimer, jak zwykle nie łapiąc, w czym rzecz. — Nie widziałam jej od pierwszej lekcji. A co? Chcesz z nią pogadać?

— Wiecie, że ona wczoraj wieczorem walnęła mi pogadankę pod tytułem: „Nie musimy się kłócić”. Powiedziałam jej, że może mnie pocałować w tyłek.

— Lilith ma rację — zgodziła się Carmen. — Mamy tu dość dziewczyn półkrwi i tych na stypendiach, które psują atmosferę... Nie potrzeba nam tu nówki.

— Moim zdaniem robisz błąd — odezwała się Melinda.

Rozmowy przy stoliku ucichły. Dziewczyny wyczekująco patrzyły na Lilith, która zmroziła wzrokiem Melinę. Kiedy wreszcie się odezwała, jej głos zabrzmiał zadziwiająco spokojnie.

— Co miałaś na myśli?

— Nie spiesz się. Po co ci wróg? — odparła Melinda ostrożnie. — To nie jest jakaś myszowata kujonica. Widziałaś, co ona potrafi.

— Chcesz powiedzieć, że mam się jej bać? — spytała Lilith i zmrużyła oczy.

— Oczywiście, że nie, Lilith. — Melinda zachichotała nerwowo.

— Dziwię się, że stajesz w jej obronie — powiedziała Lilith. Każde jej słowo ociekało jadem.



- Wszyscy wiedzą, jak dobrze się czujesz w towarzystwie tych bliźniaczek Maledetto. Pewnie do swojej kolekcji zagubionych dziewczuszek chcesz jeszcze dodać tę nową.

- Lilith, o co ci chodzi? - warknęła Melinda.

- Och, daj spokój, Melly. - Lilith uśmiechnęła się złośliwie. - Ze wszystkich dziewczyn przy tym stole tylko ty nigdy nie miałaś chłopaka. Ciekawe dlaczego, co? Za bardzo się przejmujesz tą nowką, żeby zauważyć prawdę. Z nią jest coś nie tak, coś bardzo poważnie nie tak. Wiem to od pierwszej chwili, kiedy ją zobaczyłam! Wystarczy, że na nią spojrzę, a z miejsca swędzą mnie kły!

- Jesteś po prostu zazdrosna - odpaliła Melinda.

- Zazdrosna? - Lilith się roześmiała. - A czego tu jej zazdrościć? To nieudacznica o słabej krwi, która nawet nie umie się przekształcać!

- Unieszkodliwiła tego Van Helsinga, który zabił Tanith - odparła Melinda. - To więcej niż da się powiedzieć o którejś z nas... włącznie z tobą. Nie nazywałabym jej nieudacznicą o słabej krwi.

Pozostałe dziewczyny siedzące przy stoliku jak jedna wstrzymały oddech, czekając na nieuniknioną eksplozję. Zamiast tego Lilith odsunęła krzesło od stołu i bez słowa wyszła.

Carmen obróciła się i spiorunowała Melinę wzrokiem.

— Zwariowałaś? — rzuciła. — Chcesz się podlizać jakiejś przybłędzie?

— Naprawdę nie rozumiesz? — odezwała się Melinda, kręcąc głową z niedowierzaniem. — Chyba już pójdę i skończę lunch z jedną z moich przyjaciółek — dodała i zabrała tacę. Przysiadła się do Belli Maledetto, która siedziała sama, z miną zagubioną i nieszczęśliwą, bo nie było przy niej siostry.

Lilith siedziała na występie, trzydzieści metrów nad ziemią.

Ramionami oplotła kolana, opierając na nich brodę. Wpatrywała się bezmyślnie w otaczającą ją przestrzeń. Musiała pobyć sama, a to było jedyne miejsce, w którym na pewno nikt jej nie będzie szukać. Jak na razie uroda, bogactwo ojca i status rodziny wystarczały, żeby zapewnić jej wielu przyjaciół. W zasadzie wcale nie musiała się martwić o nowych przyjaciół, a co dopiero o utrzymywanie znajomości.

— Przyjaciółki... - Śmiech na sali. Melinda, Carmen i te pozostałe były jak małe rybki, które płyną u boku żarłacza białego, żywiąc się okruchami wypadającymi mu ze szczęki. Mimo to trzeba mieć odpowiednich przyjaciół, jeśli chcia-

ło się zachować popularność. Nie mogła pozwolić, żeby jej rybki odplłynęły w stronę innego rekina.

Skąd miałyby wiedzieć, że jest piękna, popularna i pożądana, jeśli nie miałyby oddanych przyjaciółek, zapewniających ją, jaka jest niezwykła? Bez ich podziwu, pochlebstw, lęku i szacunku przestanie istnieć.

W ciągu niecałego tygodnia straciła dwie przyjaciółki, a wszystko przez Cally Monture. Najpierw Tanith, a teraz Melinda, która otwarcie stanęła po stronie nówki, broniąc jej przed innymi.

Powinna wybić jej to z głowy! Ale co by jej to dało? Prawdziwym zagrożeniem była Cally, nie Melinda.

Na samą myśl o tej Nowej Krwi Lilith rozboleł żołądek. Irytowało ją, że nikt inny nie wyczuwa, iż z Cally jest coś nie tak. Chociaż Carmen i parę innych chętnie znęcało się nad nową, Lilith wiedziała, że robią to, żeby jej się przypodobać. Nie widziały w Cally zagrożenia.

Z groty poniżej dobiegły ją jakieś głosy, wyrywając Lilith z zamyślenia. Spojrzała w dół i zobaczyła trzy postacie stojące po stronie przejścia do Rutłwenu. Jedną z nich był chłopak, ubrany w mundurek, a dwie pozostałe to dziewczyny. Jedna w mundurku Bathory Academy, a druga w kostiumie gimnastycznym.

Lilith obserwowała, jak chłopak zrobił krok naprzód, uklonił się i pocałował obie ręce dziewczyny w kostiumie. Rozpoznała w nim Julesa, a w dziewczynach Cally Monture i Bette Maledetto.

Jak ona śmie z nim rozmawiać! Jules należał do niej! Do niej i do nikogo innego!

Poczuła przyływ gniewu. Patrzyła, jak ta Nowa Krew dyga przed jej ukochanym. Ledwie się powstrzymała, żeby nie polecieć na dół i nie wydrapać oczu małej suce. Całe jej ciało wibrowało furia, jak łuk napięty do granic możliwości. Cally i Bette przebiegły grotę. Tak łatwo byłoby przekształcić się w skrzydlatą postać i zatopić pazury w grzbiecie tej nówki. Ale chociaż przyjemnie byłoby poczuć, jak pod uderzeniem pęka kręgosłup Cally, to jeszcze milej byłoby obedrzeć nówkę ze skóry.

Lilith spojrzała na swoje ręce i zobaczyła, że drżą. Starła się z całej siły zapanować nad dygocącymi palcami. Sięgnęła do kieszeni blezera i wyjęła puderniczkę w szylkretowej oprawie.

Potrzebowała tylko odrobiny otuchy, to wszystko. Odrobiny czegoś, co pomoże jej zachować panowanie nad sobą. Musiała przecież wrócić na lekcje, uśmiechać się i udawać, że wszystko jest w porządku. W myślach jednak planowała już zemstę.

Otworzyła wieczko puderniczki z nadzieją, że zobaczy w błyszczącej powierzchni lusterka swoją śliczną twarz w pełni jej urody. Zamiast tego zobaczyła potwora o przekrwionych oczach i zaślinionych kłach.

Zaszokowana widokiem swojej przepelnionej nienawiścią twarzy, Lilith odrzuciła lusterko. Puderniczka spadła za krawędź i rozbiła się na kamiennej posadzce.

Lusterko zostało zniszczone, ale demon, jakiego w nim zobaczyła, żył nadal.

## Rozdział 16

Przez resztę nocy Cally była na rauszu. Nie tylko złamała kilka zasad, ale uszło jej to na sucho. Myślała nawet o tym, że dobrze się stało, iż wysłano ją do Bathory Academy.

Jasne, większość nauczycieli i uczennic nawet by na nią nie splunęła, gdyby zajęła się ogniem, ale teraz rozumiała, że nie wszyscy byli tu takimi nadętymi snobami jak Carmen i Lilith. Dziś wieczorem udało jej się zaprzyjaźnić z Bette i Exo i wyczuła, że Jules chciałby czegoś więcej. Musiała przyznać, że pedagodzy w Bathory byli o wiele lepsi niż ich koledzy w Varney Hall. Nauczycielka skrybowania, madame Geraint, była naprawdę miła i mimo swojej surowej powierzchowności trenerka Knorrig też chciała jej pomóc.

Chociaż wiedziała, że do szkoły dostała się przypadkiem, jeśli miała przetrwać w tym wampirzym świecie, musiała nauczyć się wszystkiego,

o kręgach Starej Krwi, o ich władzy i możliwościach. Tak samo, jak uczyła się od babki o ludziach, a w Varney Hall o Nowej Krwi.

Kiedy wychodziła z lekcji historii Madame Boucher, nadal czuła optymizm. Lekcje się skończyły i idąc do swojej szafki, Cally zastanawiała się, czy w drodze do domu znów nie wpadnie na Petera. Miała taką nadzieję, bo naprawdę chciała opowiedzieć mu o wszystkim, co jej się dzisiaj przytrafiło.

Peter ją rozumiał i nie oceniał jej. Nie chcąc liczyć tylko na kaprys losu, skorzystała z numeru, który jej dał, i zadzwoniła do niego.

Umówili się, że po szkole spotkają się na cmentarzu. Ale dobry humor Cally minął, kiedy doszła do szafki

i zobaczyła złożony kawałek pergaminu wetknięty w jedną z kratek wentylacyjnych.

Na kartce, zapisanej formalnym chtonicz-nym pismem Starej Krwi, widniało: „Ktoś nas widział. Nakabluje dyrektorce, jeśli nie dostanie forsy. Spotkajmy się w grocie po szkole, Bette .

Kiedy Cally wyszła z windy na korytarz prowadzący do groty, zdała sobie sprawę, że gazowe lampy już pogaszono. Takiej ciemności jeszcze

nigdy i nigdzie nie widziała. Zupełnie jakby wyszła z wagonika windy w najgłębszy rów oceaniczny.

Stała przez chwilę, pozwalając oczom przyzwyczać się do kompletnej ciemności. Mrok zaczął rozdzielać się na różne odcienie szarości, a Cally ruszyła korytarzem do groty. U jej wejścia dosłyszała jakiś szelest.

— Halo? — szepnęła. — Dostałam liścik.

Odpowiedział jej ten sam szelest. Cally uniosła głowę, usiłując zlokalizować źródło dźwięku, ale zobaczyła tylko stalaktyty zwisające ze sklepienia niczym odwrócony do góry nogami las.

— Gdzie jesteś?

— Tutaj... — odszepnął głos z ciemności. Kiedy poszła w jego kierunku, poczuła, że coś chrzęści pod jej stopami. Nadepnęła na jakieś okruchy powlekanego srebrem szkła.

Przykucnęła, żeby podnieść kawałek rozbitego lusterka i poczuła szum skrzydeł tak nisko nad głową, że aż włosy uniosły się na jej karku. Cally poderwała się i odwracając, odskoczyła. Serce waliło w jej piersi, ale nie zobaczyła tego czegoś, co nad nią przed chwilą przeleciało.

— Kto tam jest?! — zawołała w mrok. — Odpowiedz mi! Ten okrutny śmiech zdawał się dochodzić znikąd i zewsząd zarazem. Dziewczyna przeklina-



ła się w duchu, że była tak nieostrożna. Choć szkoła powinna być wolna od wendetty, Cally mogła nie wchodzić prosto w zastawioną pułapkę.

Nagle znów usłyszała szum skrzydeł i jakieś pokryte futrem ciało z twarzą demona runęło na nią, przewracając ją na plecy.

Cally przetoczyła się na bok. Powietrze poruszyło się wokół przypominającego nietoperza stwora. Nagle stanęła nad nią Lilith.

— On jest mój! Tylko mój, ty głupia suko! Teraz i na zawsze! — wrzasnęła, chwytając Cally za włosy.

Lilith brutalnym szarpnięciem postawiła ją na nogi. Cally wrzasnęła z bólu, czując rozdzierającą się skórę na czaszce.

— Nikt mi nie odbierze tego, co do mnie należy. Nie ujdzie ci to bezkarnie!

— Puszczaj mnie, wariatko! — warknęła Cally, uderzając Lilith pięścią w żołądek, aż tamta rozluźniła uścisk.

Lilith zatoczyła się i zgięła w pół. Ramionami osłaniała brzuch. Jej oczy zabłysły w mroku, kiedy chwytła powietrze jak ranne zwierzę.

— Zabiję cię, nówko! Rozrzucę twoje flaki stąd aż po Broadway!

— Czyś ty oszalała?! — krzyknęła Cally. Jakby w odpowiedzi, dziewczyna wrzasnęła

i rzuciła się na Cally głową naprzód, obnażając

kły. Cally zręcznie uskoczyła w bok, mierząc łokciem w plecy Lilith, która padła na kolana, powalona siłą ciosu. Cally szybko zareagowała, wymierzając jej dodatkowo kopniaka w zębra.

- Ja tego nie zaczęłam — syknęła Cally. — Ale to skończę, niech to jasna cholera!

Zanim jednak Cally zdążyła wymierzyć kolejne kopnięcie, ciało Lilith zamigotało i się zmieniło. Przed dziewczyną pojawił się wilk szczerzący kły. Zaatakował ostrymi jak brzytwa zębami. Cally szybko odskoczyła w tył, cudem unikając potężnych szczęk zwierzęcia.

Mrok groty rozjaśnił błysk fioletowobiałego światła. Lilith pisnęła z przerażenia, cofając się na widok poświaty promieniującej z prawej dłoni Cally.

— Odsuń się! — krzyknęła przywoływaczka burz, trzymając rękę nad głową niczym pochodnię. Ogniki tańczyły na koniuszkach jej palców jak płomienie świec w kandelabrze. — Usmażę cię, jeśli będę musiała!

Lilith warknęła, przestraszona, i na czterech łapach pobiegła w stronę najbliższej ściany. Kiedy do niej dotarła, znów przybrała ludzką postać i wbiegła po skalistej ścianie szybko jak jaszczurka. W połowie wysokości obróciła głowę o sto osiemdziesiąt stopni i splunęła z góry na swoją przeciwniczkę.

— Wiesz, co zrobi Madame Nerezza, kiedy się o tym dowie?! — krzyknęła do niej Cally.

— Jakby mnie obchodziło, co robi ta zasuszona krowa! — odpaliła Lilith. — Jestem spokrewniona z założycielką tej szkoły i moja rodzina jest najważniejszym sponsorem! W Bathory mogę robić, co chcę! A ja chcę, żebyś zdechła, nówko!

Rysy twarzy Lilith rozmyły się i zamieniła się w potwornego nietoperza. Odepchnęła się od ściany, rozpościerając skrzydła na całą ich szerokość. Cally schyliła się, kiedy Lilith zapikowała w jej stronę, ale przeciwniczce udało się rozorać jej plecy ostrymi jak brzytwa pazurami. Cally dotknęła ramienia, a kiedy spojrzała na dłoń, była mokra i czerwona.

— I znów pierwsza krew należy do mnie! — zatriumfowała Lilith piskliwym głosem. — Spójrz prawdzie w oczy, nówko, ze mną nie możesz się mierzyć!

Cally schroniła się za jednym ze stalagmitów, kiedy Lilith znów zniżyła lot, wysuwając szpony. Cally uniosła rękę i z jej dłoni wystrzeliła błyskawica. Z gniewnym ultradźwiękowym wrzaskiem Lilith wzbila się znów w powietrze, znikając w górnych rejonach groty. Cally wpatrywała się w jej katedralne sklepienie, rozpaczliwie usiłując zorientować się, gdzie znikła jej przeciwniczka, ale Lilith schowała się w mroku.

Cally znalazła się w trudnej sytuacji i obie o tym wiedziały. Choć w walce wręcz miały wyrównane szanse, to przywoływaczka burz nie mogła konkurować z umiejętnościami przekształcania się i latania. Jediną prawdziwą bronią, jaką miała w zanadrzu, była zdolność przywołania błyskawic. Ponieważ za pierwszym razem chybiła, potrzebowała teraz czasu i koncentracji, żeby ponownie je wywołać. Cally modliła się, żeby Lilith tego nie wiedziała i żeby nadal trzymała się z daleka. Musiała jak najszybciej wydostać się z grotu i pobiec do windy. Pewnie nie uda jej się dopaść drzwi, zanim Lilith zatopi pazury w jej kręgosłupie, ale musiała zaryzykować. Zbierając odwagę, Cally rzuciła się biegiem przez labirynt stalagmitów i kolumn. Nagle z mroków jaskini dobiegł ją okropny wrzask, zupełnie jakby jakaś przeklęta dusza zapłonęła w piekielnym ogniu. Cally obejrzała się przez ramię i zobaczyła Lilith, która pikowała w jej stronę z wyciągniętymi pazurami i oczami płonącymi złowrogą radością, jak jakaś starożytna harpia porywająca bezbronną ofiarę. Zdała sobie sprawę, że będzie po niej, jeśli Lilith zdoła obalić ją na ziemię. Cally obróciła się i podskoczyła tak wysoko, jak tylko umiała. Starła się z przeciwniczką w powietrzu. Wyrzuciła przed siebie ramiona w jakiejś groteskowej

parodii uścisku, objęła dziewczynę za skrzydła i razem upadły na posadzkę.

Nie mogąc przywołać błyskawicy, której potrzebowała, żeby się obronić, Cally rozpaczliwie próbowała odepchnąć głowę napstniczki, kiedy toczyły się po twardej kamiennej podłodze. Lilith wyczuła słabość przeciwniczki i głęboko zatopiła kły w jej prawym ramieniu. Cally zawyla z bólu.

Bez żadnego ostrzeżenia Lilith nagle wypuściła przeciwniczkę ze śmiertelnego chwytu. Przez przepelnioną bólem mgłę Cally dostrzegła w paciorkowatych, małych oczkach Lilith szok i zdumienie.

Dziewczyna nie wiedziała, dlaczego Lilith przerwała atak, ale nie zamierzała wystawiać swojego szczęścia na próbę. Zebrała całą energię, jaka jej pozostała, i cisnęła niewielką kulą ognia, która odepchnęła Lilith w tył. Cally stanęła na ziemi i podeszła do leżącej na plecach dziewczyny. Poszkodowana jęczała z bólu, a smużki dymu unosiły się znad jej osmalonego futra.

Kiedy tak nad nią stała, Lilith uniosła głowę i popatrzyła na Cally gniewnym, wojowniczym wzrokiem.

— No już! Na co jeszcze czekasz...? — Sierść zastąpiły jasne włosy i idealnie gładka skóra. -Zabij mnie i miejmy to z głowy!

Cally spojrzała na swoją zaciśniętą dłoń, która nadal *jarzyła*, się elektrycznością, a potem przeniosła wzrok na Lilith. Wzięła głęboki oddech i zamknęła oczy. Trzaskający nimb zamigotał i znikł bez śladu.

— Nie, Lilith — powiedziała Cally. — Wierz mi albo nie, ale ja nie chcę cię zabić.

— Bzdura! — warknęła Lilith. — Przestań się ze mną bawić i zrób to wreszcie!

— Możesz darować sobie te teksty w stylu: „Zabij mnie w końcu”. Próbuję zachowywać się przyjaźnie, chociaż sama naprawdę nie wiem, po co zawracam sobie głowę.

— Nie udawaj, że nie wiesz, dlaczego to zrobiłam — warknęła Lilith. — Ostrzegałam cię, co się stanie, jeśli nie będziesz się trzymała z dala od tego, co moje! Widziałam cię wcześniej z Jule-sem! Usiłujesz mi go ukraść, prawda? Tak samo, jak ukradłaś mi przyjaciółkę! To dlatego przy-lazłaś za mną do tej szkoły, prawda? Zeby mi wszystko odebrać!

— Hej! Może się jednak uspokoisz? — powiedziała Cally, unosząc ręce w takim geście, jakby prosiła o chwilę ciszy. — Posłuchaj, Lilith... Rozumiem, że to, co widziałaś, mogło źle wyglądać, ale za tym wszystkim kryje się niewinne wyjaśnienie. Nie interesuje mnie twój chłopak, a on nie jest mną zainteresowany...

— Nigdy nie mówiłam, że się tobą interesuje! — rzuciła Lilith.

— Nieważne, nie musisz się martwić. Jeśli mi nie wierzysz, idź i zapytaj Julesa. Powie prawdę. Przecież mu ufasz, prawda?

— Oczywiście! Jules jest mi obiecany. Nigdy by mnie nie okłamał.

— Miło mi to słyszeć. A jeśli chodzi o powód mojego pobytu w Bathory... Wszystko źle zrozumiałaś. Wcale cię nie śledzę. Nie mam zamiaru odbierać ci twojego życia. Chodzę do tej szkoły tylko dlatego, że ojciec zagroził, że przestanie utrzymywać moją rodzinę, jeśli się nie zgodzę.

— Twój ojciec? — odezwała się Lilith, mrużąc oczy.

— Nie pytaj mnie, dlaczego to dla niego takie ważne — westchnęła Cally. — Nigdy go nie widziałam. Wiem, że nie będziemy przyjaciółkami, ale nie musimy się od razu mordować.

Lilith przez chwilę wpatrywała się w ziemię, a potem znów spojrzała na Cally.

— Powiesz dyrektorce o tym, co się tu stało?

— Nie, jeśli ty nie powiesz, że widziałas, jak się wymykam ze szkoły dla chłopaków.

— Zatem umowa stoi. — Lilith skinęła głową.

— Pomogę ci.

— Nie dotykaj mnie! — warknęła Lilith, uderzając w dłoń Cally.

Podniosła się. — Nadal cię nie

cierpię, nówko, i z całą pewnością ci nie ufam! A to, co powiedziałam wcześniej, jest nadal aktualne: trzymaj się z dala ode mnie i od moich przyjaciół! A jeśli kiedykolwiek jeszcze zobaczę, że zaczepiasz Julesa, rozedrę cię na strzępy!

Po tych słowach ramiona Lilith znów zamieniły się w skrzydła i dziewczyna odleciała w mrok. Cally stała i patrzyła, chcąc się upewnić, że naprawdę już znikła, tak na wszelki wypadek, a potem wróciła do windy.

Miała nadzieję, że jej matka będzie spała, kiedy ona wreszcie dotrze do domu. Chociaż rany już jej się zagoiły, wiedziała, że Sheila się wystraszy, gdy zobaczy krew na blezerze i bluzce. Nie chciała też, żeby ojciec się dowiedział, że wdała się w szkole w bójkę. I to ni mniej, ni więcej tylko z córką Yictora Todda.



## ROZDZIAŁ 17

Po wyjściu z Bathory Academy Cally z ulgą zauważyła, że ulica jest pusta. Po tej konfrontacji w grocie nie chciała, żeby ktokolwiek dowiedział się, że dojeżdża metrem. Woląca nie myśleć o tym, co by się stało, gdyby Lilith zaczęła się na nią gdzieś po drodze.

Kiedy szła w stronę stacji przy Osiemdziesiątej Szóstej ulicy, Cally nie mogła się już doczekać, aż znajdzie się w Williamsburgu, w ciepłych objęciach Petera. Miała mu mnóstwo do opowiedzenia.

Nagle zdała sobie sprawę, iż lepiej nie wspominać, że Jules całował jej rękę - i co sobie wyobrażała, gdy to robił. Chociaż fajnie było się dzielić z Peterem szczegółami ze swojego życia, pewne rzeczy dziewczyna powinna utrzymać w sekrecie.

Szła, pogrążona w myślach, kiedy jakaś błyszcząca czarna limuzyna zatrzymała się tuż obok. Cally przewróciła oczami z niesmakiem. Tylko tego potrzebowała, żeby ta noc była już całkiem beznadziejna: żeby zaczął ją podrywać jakiś nadziany facet polujący na okazję.

Z cichym, elektrycznym pomrukiem otworzyła się przyciemniona szyba od strony pasażera, ukazując mężczyznę w średnim wieku o siwa-wych skroniach. Miał przeciwsłoneczne okulary z bocznymi osłonami i garnitur od Armaniego. Cally poczuła aromat drogiego kubańskiego cygara i burbona z górnej półki. Te zapachy otaczały go niczym woda kolońska.

— Panno Monture, może podwieźć? — odezwał się mężczyzna.

— Spadaj, palancie — odpaliła z miejsca, ale potem przystanęła i z zaskoczeniem zamrugła. — Zaraz, momencik! — Zawróciła i spojrzała na mężczyznę w okularach. - Skąd pan wie, jak się nazywam?

W ramach odpowiedzi, z limuzyny wychyliły się głowy Belli i Bette Maledetto.

— Cześć, Cally!

— Hej, Cally!

— Och! Przepraszam! Nie wiedziałam, że pan jest ojcem Belli i Bette!

- Nic się nie stało, moja droga. - Pan Maledetto zachichotał. - Ale propozycja nadal jest aktualna.

- Bardzo panu dziękuję - powiedziała Cally. - Ale właśnie idę do metra...

- Metro? - Pan Maledetto parsknął z niesmakiem. - Taka śliczna dziewczyna jak ty jeździ metrem o tej porze? Naprawdę strach pomyśleć, co by się mogło stać! - Drzwi od strony pasażera otworzyły się szeroko. - Proszę, pozwól się odwieźć do domu - powiedział, gestem wskazując jej, żeby wsiadła. — Nalegam! Cally wsiadła do limuzyny i rozsiadła się wygodnie na siedzeniu naprzeciwko jej właściciela i jego dwóch córek.

- Bette wspomniała tacie, co dla niej zrobiłaś w szkole — odezwała się Belle.

- Rzeczywiście, moja droga. - Ojciec pochylił się i poklepał Bette po kolanie. - Panno Monture, miałem nadzieję, że pozwoli mi pani odwdzięczyć się jakoś za tę uprzejmość. To, co zrobiła pani dla mojej Bette, świadczy o prawdziwej sile charakteru. W dzisiejszych czasach to rzadkość, przynajmniej w tym kraju.

- Dziękuję panu.

- Proszę, mów do mnie Vinnie! - zwrócił się do niej i uśmiechnął.

— Ale chyba nie Vinnie Maledetto?! — Cally aż zatkało ze zdumienia. Nagle to, co Bette powiedziała wcześniej, że inne dziewczyny w szkole boją się jej i siostry, zaczęło brzmieć sensownie. Ich ojciec był niekwestionowanym przywódcą Stregi, jednej z najstarszych i najsprawniej działających przestępczych organizacji w historii świata.

— Obawiam się, że tak — zachichotał. — My, Maledetti, cenimy sobie przyjaźń, zwłaszcza ze strony tych, którzy rozumieją, czym jest honor i lojalność. A więc od jutra oddeleguję jednego z moich szoferów, żeby woził cię do szkoły i z powrotem do końca roku.

— Panie Maledetto, nie musi pan tego robić! — zaprotestowała Cally.

— Przynajmniej tyle mogę — odparł, machnięciem ręki zbywając jej protesty. — Prawdę mówiąc, nawet gdybyś nie przyszła dziś wieczorem z pomocą mojej córce, i tak bym cię odszukał, moja droga. Widzisz, słyszałem bardzo ciekawe rzeczy na twój temat od naszej wspólnej znajomej.

Cally się zdziwiła.

— O kim pan mówi?

— O Knorrig.

— Trenerka rozmawiała z panem? — spytała Cally, jeszcze bardziej zaskoczona.

— Owszem. Sama się do mnie zgłosiła. Widzisz, ona i ja mamy umowę. Informuje mnie o tym, które uczennice, jej zdaniem, mają jakiś potencjał. Jednym z twoich talentów jest przywoływanie burz, prawda?

— Tak, proszę pana.

— To dość rzadka umiejętność. Obecnie większość wampirów umie przywoływać jedynie mgłę. Ostatnią osobą, która umiała przywołać błyskawicę, była sama Morella Karnstein. Wiedziałaś o tym?

Cally przypomniała sobie portret tamtej kobiety o przenikliwych oczach i rudych włosach. Tej, od której rzekomo miała pochodzić Lilith.

— Nie, proszę pana — przyznała.

— A mówię ci o tym dlatego, że Victor Todd od dawna jest mi solą w oku. I jak się zdaje, jego córka okazuje ci podobny brak sympatii — powiedział Maledetto, wskazując na krew zasychającą na jej ubraniu.

— Skąd pan wie, że to ona mnie zaatakowała? — spytała Cally, zaskoczona.

— Czuję jej zapach od ciebie — wyjaśnił Maledetto. — Dziecko, kiedy pożyjesz tak długo jak ja, poznasz krew wroga po zapachu.

Cally miała już powiedzieć, że się myli: w tej walce to nie ona upuściła krwi rywalce, ale się powstrzymała. Coś jej mówiło, że Vinnie

Maledetto to nie jest ktoś, komu należy się sprzeciwić.

— Ale zanim powiem coś więcej, chciałbym jedną sprawę do końca wyjaśnić. — Maledetto nachylił się tak, że jego twarz znalazła się zaledwie o centymetry od jej własnej. Zsunął przeciwsłoneczne okulary z nosa, ukazując oczy czarne jak oliwki. — Nowa czy Stara, krew to krew, prawda?

— Tak, proszę pana — zgodziła się cicho.

— Podobasz mi się, Cally — powiedział Maledetto, opierając się o siedzenie i wyjmując hawańskie cygaro z humidora wbudowanego w poręcz siedzenia. — Coś mi mówi, że mając odpowiednich przyjaciół, bardzo daleko zajdziesz w naszym świecie. Zwłaszcza jeśli ci przyjaciele są wrogami ojca twojego wroga.

Jules dopiero co sprawdził, która godzina, kiedy dzwonek do drzwi wreszcie zapowiedział pojawienie się Lilith. Ku swojemu zdziwieniu przekonał się, że nadal ma na sobie mundurek Bathory Academy.

Zwykle pozbywała się go najszybciej jak mogła.

— Gdzie byłaś? — zapytał. — Zaczynałem się niepokoić.

— Coś mi wypadło — wyjaśniła. — Musiałam zostać po szkole.

— Ale załatwiłaś to?

— Nie do końca - odparła, kręcąc głową. -No więc, czemu chciałeś się ze mną spotkać? Myślałam, że dzisiaj wyjdziemy.

— Tak, no cóż, rodzice wyjechali, a skoro dom mam dla siebie, pomyślałem, że byłoby miło spędzić razem wieczór. Od dawna tego nie robiliśmy.

— Tak, masz rację, byłoby miło — zgodziła się cicho.

— Liii, nic ci nie jest? — spytał z niepokojem. — Jesteś taka roztargniona.

— Po prostu mam wiele spraw do przemyślenia.

— Nadal ci przykro z powodu Tanith?

— Nie, już nie — przyznała.

— Dobrze to słyszeć - westchnął z ulgą. Lilith spojrzała mu w twarz, jakby szukała

w niej znaków, które tylko ona mogła odczytać.

— Jules... Widziałam cię dziś wieczorem w grocie z Cally i Bette.

— Co? — Chociaż się zirytował, próbował tego nie okazywać. — Widziałas nas?

— Jules, jak mogłeś? Całowałeś ją w rękę! -jęknęła Lilith, a w jej oczach pojawiły się łzy. -Wiesz, jak nienawidzę tej dziewczyny! Jules zachował nieodgadnioną minę. Musiał się z tego wyplątać. Przynajmniej na niego nie wrzeszczała. Bywała niemożliwa, kiedy się wściekła. Jeśli robiła się płaczliwa, znaczyło to,

że sama ze sobą czuje się źle. Wtedy mógł wykorzystać jej niską samoocenę.

— Lilith, po prostu pomagałem Exowi. Zdaję sobie sprawę, że między Vinniem Maledettem i twoim ojcem jest zła krew, ale nie jestem aż tak głupi, żeby obrażać jedną z jego córek. Poza tym nie całowałem ręki Bette Maledetto ani żadnej innej części jej ciała!

— Nie o nią mi chodzi! — ucięła Lilith. — O tę Nową Krew!

— Ale co masz na myśli? — zagadnął Jules, udając, że nie rozumie.

— Nie poznałeś jej? — spytała Lilith, przyglądając mu się podejrzliwie.

— Nie przyjrzałem się jej wtedy w parku — odparł. — Byłem zajęty Van Helsingami.

— Ona ci się podoba, prawda? Widziałam, jak na nią patrzyłeś, kiedy myślałeś, że nikt cię nie obserwuje — powiedziała Lilith oskarżyciel-skim tonem.

Jules roześmiał się i pokręcił głową.

— Liii, nie masz absolutnie żadnego powodu do zazdrości! Byłem po prostu miły, to wszystko. Rozmawiałem z nią, żeby zrobić przysługę Exowi. Nie ma w tym nic więcej.

— A więc ona wcale cię nie pociąga? — spytała Lilith z nadzieją.



— Oczywiście, że nie! — skłamał. — Poza tym wydaje mi się, że Exo robi do niej słodkie oczy.

— Exo i Cally? — Lilith nie zdołała powstrzymać chichotu na samą myśl o tej dwójce.

Jules odsunął z jej twarzy zabłąkane pasemko włosów i pocałował ją w czoło.

— Ty i ta twoja bujna wyobraźnia! Zawsze sobie wynajdujesz zmartwienia, których w ogóle nie ma. Dlatego właśnie pomyślałem, że fajnie będzie rozerwać cię dziś wieczorem.

— To znaczy? — zapytała.

— Zobaczysz — powiedział z szelmowskim uśmiechem. — Ale musisz mi najpierw zaufać. Ufasz mi? Ufasz mi, Liii?

Dziewczyna popatrzyła mu w oczy i się uśmiechnęła.

— Oczywiście, że ufam.

Sięgnąwszy do kieszeni, Jules wyciągnął jedną z czarnych jedwabnych chustek do nosa swojego ojca.

— Obróć się, zawiążę ci oczy.

— A skąd mam wiedzieć, czy mnie po prostu nie zwiążesz i nie zniewolisz?

— Jak powiedziałem, musisz mi zaufać.

— Nie zrozum mnie źle. — Westchnęła, kiedy zawiązywał jej chustkę na oczach. — Nie mam nic przeciwko zniewoleniu!

— Cała moja Liii — zachichotał. — A teraz daj mi rękę.  
— Co robisz? — Zaśmiała się nerwowo, kiedy Jules wziął ją za rękę i poprowadził w stronę schodów.  
— To niespodzianka.  
— Ale jaka niespodzianka?  
— Gdybym ci powiedział, to już by nią nie była, prawda? — Zaśmiał się. — Ups. Uważaj. Stopień. A teraz drugi.  
— Jules, to jakieś szaleństwo! — Uniosła rękę i zaczęła się mocować z węzłem chustki. — Zdejmuję to!  
— Nawet się nie waż! — powiedział, odciągając jej rękę. — Wiem, że lubisz kontrolować każdą sytuację, zupełnie jak twój ojciec, ale musisz się wyluzować, Liii.  
— Rewelacyjny sposób, żeby mnie podniecić. — Zaśmiała się. — Porównując mnie do ojca!  
— Wolałabyś, żebym cię porównał do twojej mamy?  
— W porządku, pojęłam aluzję!  
Jeszcze trochę schodów i wreszcie znaleźli się na piętrze.  
— Mogę już to zdjąć? — spytała.  
— Jeszcze tylko sekundkę. — Rozległ się odgłos rozsuwanych zasłon, a potem odsuwanych szklanych drzwi. - Dobra, już możesz popatrzeć.

Jules zdjął jej z oczu opaskę. Uśmiechnął się z oczekiwaniem. Lilith spojrzała za niego, na wielki balkon, i zobaczyła kilkadziesiąt zapalonych świec, porozstawianych na tarasie.

— Jak pięknie! — zawołała.

— Chodź na zewnątrz — powiedział, zapraszając ją gestem, żeby poszła za nim. — Mam jeszcze jedną niespodziankę.

Lilith wyszła na oświetlony świecami taras. Przesadnym gestem Jules wręczył jej małe, granatowe pudełeczko z De Beers.

— Otwórz to, Liii — namawiał, nie mogąc się doczekać jej reakcji i swojej nagrody.

Lilith rozwiązała czerwoną wstążeczkę i powoli otworzyła pudełko. Aż zadrżała na widok delikatnego łańcuszka z białego złota z wisiorkiem w kształcie serca, inkrustowanym czarnymi i białymi brylancikami.

— Och, Jules, jakie to śliczne! — zawołała.

— Podoba ci się?

— Czy mi się podoba? Jest cudowny. Chodź, pomóż mi go założyć!

— Uniosła w górę swoje jedwabiste, jasne włosy i obróciła się, żeby mógł zapiąć jej łańcuszek na szyi. Kiedy zapiął zamek, szybkim ruchem obróciła się znów do niego, zaglądając niecierpliwie w jego kocie oczy. — Jak wyglądam?

— Pięknie. — Uśmiechnął się, łagodnie pieszcząc jej policzek grzbietem dłoni.

Jules już gratulował sobie, że tak mu się udało, kiedy uśmiech Lilith nagle zbladł i znikł, jak płomień świecy zdmuchniętej silniejszym podmuchem wiatru.

— Wiem, że to dziwnie zabrzmiało, ale gdyby nasze rodziny nie obiecały nas sobie nawzajem, czy też byś mnie wybrał?

— Oczywiście — odparł z całym przekonaniem, na jakie mógł się zdobyć.

— A gdyby twój ojciec powiedział ci, że zmienia kontrakt małżeński? Ze będziesz obiecany komuś innemu? Zrobiłbyś to, co ci każą, czy zostałbyś ze mną, nawet jeśli to by oznaczało rezygnację ze swojego prawa krwi?

— To już szaleństwo — odparł Jules ze śmiechem. — Po co martwić się czymś, co w ogóle nie może się zdarzyć? Dlaczego mnie nie zapytasz, czy nadal byłibyśmy razem, gdybym wyglądał jakEXO, a ty byś ważyła sto pięćdziesiąt kilo?

— Tak, no chyba masz rację — powiedziała. — Wiesz, Tanith kiedyś powiedziała, że mam szczęście, iż obiecano mnie tobie. Myślałam, że chodzi jej tylko o to, że jesteś przystojny, ale teraz już rozumiem, że chodziło o coś więcej.

Jules ujął jej dłoń i uniósł do ust, całując je tak, jak pocałował dłoń Cally.

— Mam w kuchni trochę AB minus naszprycowanej burbonem, już się podgrzewa.

- Mniam. Moja ulubiona.

- Staram się, jak mogę. - Uśmiechnął się, wracając do środka. —  
Naciesz się tym widokiem, a ja pójdę po coś do picia, dobrze?  
Wracam za minutkę.

Lilith podeszła do krawędzi tarasu i spojrzała na betonowe wieże i kaniony miasta. Wiatr znad rzeki igrał w jej włosach, łagodnie unosząc je wokół głowy niczym pajęczą nić zrobioną ze złota. Spojrzała na połyskujący diamentami wisiorek zwisający między piersiami i zaborczym gestem schowała go w dłoni.

Kiedy Lilith po raz pierwszy natknęła się na tę Nową Krew, odczuła głęboką, instynktowną nienawiść. Zwykle jeśli Lilith kogoś nie lubiła, to dlatego że był nudny albo nie chciał robić tego, co mu kazała. Ale niechęć, jaką odczuła wobec Cally, była napędzana czymś o wiele bardziej prymitywnym: poczuciem zagrożenia.

W pierwszej chwili nie mogła zrozumieć, dlaczego tak się boi, nieważne czy to była przywoły-waczka burz, czy nie. Po ich walce w grocie poznała odpowiedź na swoje pytanie, ale nie ukoilo to jej lęków.

Jak wszystkie wampiry umiała zidentyfikować krewnego po smaku krwi, nawet jeśli to była tylko kropelka. W tej samej chwili, w której krew Cally napelniła jej usta, Lilith przestała się bronić

i pozwoliła swojej przeciwniczce zwyciężyć. Naprawdę spodziewała się, że Cally ją zabije. Ale kiedy darowała jej życie, Lilith zrozumiała, że ta druga dziewczyna nie ma zielonego pojęcia, co się dzieje.

Jednym z ulubionych powiedzeń jej ojca okazało się prawdziwe: wiedza to władza. Teraz, po tych wszystkich latach, wreszcie zaczynała rozumieć, o co mu chodziło. Nie miała żadnego zamiaru mówić Cally prawdy i nie zamierzała zdradzić jej ojcu. Wykorzysta jego sekrety przeciwko niemu, tak samo jak on chciał wykorzystać je przeciwko niej. Ale w przyszłości będzie musiała być o wiele ostrożniejsza. Nie chciała pozbyć się karty przetargowej, zanim nie pozna planów ojca.

Spoglądając na połyskliwe światła miasta, Lilith poczuła przyływ sił. Kiedy przyjdzie czas na działanie, będzie działała — i to bez litości.

Kontrakt małżeński, jaki Victor Todd zawarł z rodziną Julesa, był prosty. Trzeba było jedynie, żeby syn de Lavalow ożenił się z córką Todda. A ponieważ byli tylko jeden syn i jedna córka, nigdy nie powstały żadne wątpliwości co do ich losu.

Jednak teraz pojawiła się druga córka Todda. Odkąd była małą dziewczynką, Lilith marzyła o dniu, w którym wreszcie zostanie wspania-

ła, prawdziwą księżniczką. Wielkie bogactwo to jedno, ale stać się prawdziwym członkiem arystokracji Starej Krwi to już zupełnie innego typu władza. Kiedy się w końcu pobiorą, jej władza nad Nowym Jorkiem stanie się pełna i absolutna. Po tych wszystkich latach nie mogła pozwolić, żeby ktoś zmarnował to baśniowe zakończenie historii.

Usłyszała kroki Julesa wracającego z drinkami i odrzuciła na ramiona miękkie włosy. Miała zamiar żyć dalej, długo i szczęśliwie, i niech diabli porwą wszystkich innych. I niech lepiej nikt nie wchodzi jej w drogę — włącznie z samym Wymarzonym Księciem!

## *O SWIECIE WAMPIROW*

### *Czerwien*

Slangowe określenie na krew.

### *Dawca*

Pojmany człowiek, z którego regularnie wysysa się krew za pomocą współczesnych technik krwiodawstwa. Sytuacja nie do pozazdroszczenia, szczególnie jeśli nie chce się być dojną krową.

### *HYBRYDA*

Istota zrodzona z wampira i człowieka. Wampiry Prawdziwie Urodzone nie ufają hybrydom, gdyż uważają, że są one bardzo często wykorzystywane przez profesjonalnych poszukiwaczy czarownic i łowców wampirów. Najbardziej niechlubnym



przykładem takiej hybrydy jest znieawidzony przez wszystkie wampiry Pieter Van Helsing.

### *Kowal*

Osoba niezwykle pilna; kujon, maniak wiedzy.

### *Krew Szprycowana*

Krew pobrana od człowieka pojonego alkoholem lub naszprycowanego narkotykami.

### *Minus*

Slangowe określenie krwi o czynniku Rh minus.

### *Nadziany*

Slangowe określenie osoby, która poniosła śmierć z ręki łowców wampirów.

### *Nieumarli*

Ludzie zabici ugryzieniem wampira powracają do życia jako nieumarli. Choć ulegli przemianie, nie są ani ludźmi, ani wampirami. W przeciwieństwie do swoich panów, nieumarli nie mogą się przekształcać ani latać. Co ważniejsze, nie mogą też replikować się przez zadawanie ugryzień. Są jednak nieśmiertelni, chociaż wystawieni na bezpośrednie światło słoneczne ulegają samospaleniu. Nieumarli mają znaczenie dla codziennej egzystencji wampirów, ponieważ wykonują brudną

robotę, której Prawdziwie Urodzeni nienawidzą — zajmują się praniem, zakupami, zajęciami domowymi, opieką nad dziećmi, ogrodnictwem, rachunkowością, często są ochroniarzami. Są bezwzględnie lojalni wobec swoich panów. Jeśli kontrolujący ich wampir zostanie zabity przez łowcę wampirów, oni również umierają. Rodziny wampirów, które przez stulecia zdobyły licznych nieumarłych, przetrzymują mniej potrzebnych w magazynach w stanie zawieszenia funkcji życiowych. Wampir, który jest niezwykle zamożny, ale ma na służbie tylko nielicznych nieumarłych, stoi społecznie niżej niż ten, który posiada ich wielu. Wampiry zarządzają swoimi zapasami nie-umarłych ze szczególną uwagą, a ci z nich, którzy karygodnie zaniedbują swoje obowiązki, są surowo karani.

### *Nowa Krew*

Wampiry Prawdziwie Urodzone, których przodkowie utracili prawo krwi. Przez całe życie próbują odbudować swoją pozycję oraz dziedzictwo. Zwykle dysponują niewielkimi mocami, ale często są nieprzyzwoicie bogate. Niestety, nie mają za sobą tysiącleci władzy i prawa krwi przekazywanego z pokolenia na pokolenie w postaci dobrych genów, którymi cieszą się wampiry Starej Krwi.

## *Nowka*

W slangu Starej Krwi — Nowa Krew.

## *Obiecani*

Odpowiednik ludzkich zaręczyn w społeczności wampirów Prawdziwie Urodzonych. Dzieci wampirów zostają sobie nawzajem obiecane przez rodziców, którzy zwykle zawierają kontrakt „związania”, wyszczególniający, ile dzieci i jakiej płci zawrze związek. Zdarza się jednak, że wampiry Nowej Krwi wyłamują się z tej tradycji i pozwalają swoim dzieciom zawierać związki z uczucia.

## *Obszar Wolny od Wendetty*

Obszar wolny od wendetty to wyznaczone terytorium, gdzie nie można prowadzić wendetty. Jednym z takich uniwersalnych obszarów wyjętych spod prawa zemsty jest system szkolnictwa. Szkoły, do których wampiry posyłają swoje potomstwo, znajdują się poza zasięgiem rodowych waśni. Uczniowie tych szkół są wyłączeni spod długotrwałych rodzinnych rywalizacji. Kiedy uczeń skończy szkołę — albo ją rzuci — zostaje włączony w walkę. Wszelkie nielegalne ataki dorosłych wampirów na pisklęta w wieku szkolnym podlegają niezwykle surowym karom Synodu, ciała zarządzającego, które zajmuje się

pilnowaniem praw ustalonych przez wampirzą rasę.

### *Pazur Skryby*

Kawałek drewna lub kamienia, rzeźbiony na kształt zakrzywionego pazura, przypominającego szpony. Jest to tradycyjny przyrząd do pisania, używany przez wampiry.

### *Piskłe*

Młody wampir, który jeszcze nie osiągnął pełnej dojrzałości. Wampir jest pisklęciem od narodzin do chwili, kiedy może stworzyć nieumarłego. Mniej więcej między dwudziestym pierwszym a dwudziestym piątym rokiem życia.

### *Pismo Chtoniczne*

Pismo, które przynieśli ze sobą do naszego wymiaru Założyciele rasy wampirów, jest znane jako pismo chtoniczne. To język piekła.

### *Piwniczka*

Żywi, uwięzieni dawcy, z których wysysa się krew, to piwniczka. Slangowe określenie na prywatny bank krwi.

### *Plus*

Slangowe określenie krwi o czynniku Rh plus.

### *Podległy*

Słabszy wampir, który wiąże się z wampirem potężniejszym w nadziei na ochronę. Ale w przeciwieństwie do wasala nie pozbawiono go prawa krwi. Z własnej woli wybrał służbę u nowego pana.

### *Postać Totemiczna*

Zwierzę, w które może zmienić się wampir. Najczęściej jest to wilk, ale nie wszystkie wampiry wybierają ten totem. W zależności od rodowodu przekształcają się również w wielkie drapieżniki z rodziny kotów: pantery, lwy lub tygrysy. Czasami przybierają nawet formę węży: pytonów, kobr albo anakond.

### *POLKREW*

Wampir Prawdziwie Urodzony, ale z mieszanych rodziców, z których jedno jest Starą Krwią, a drugie to Nowa Krew.

### *Półrodzeństwo*

Wampiry, które mają wspólnego rodzica, zwane są półbraćmi (półsiostrami). Biorąc pod uwagę wysoką śmiertelność niemowląt i przypadki śmierci wśród wampirzyc podczas porodu, nie dziwi fakt, że wampiry płci męskiej mają kilka żon w ciągu życia. Często różnica wieku między półrodzeństwem sięga nawet dekad.

## *PRAWDZIWA MOWA*

Ultradźwiękowy język, którym kiedyś porozumiewali się Założyciele.

## *PRAWDZIWIE Urodzeni*

Określenie to odnosi się i do Starej, i do Nowej Krwi. Prawdziwie Urodzony jest dzieckiem dwojga żyjących wampirów. Choć są one odporne na wszelkie ludzkie choroby i zdolne do regeneracji każdego fragmentu ciała, poza głową i sercem, nie są nieśmiertelne. Mogą dożyć nawet ośmiuset lat, pod warunkiem że nie zostaną zabite przez łowcę wampirów albo, co bardziej prawdopodobne, przez innego żyjącego wampira. W czasie pierwszych dwudziestu pięciu lat swojego życia starzeją się tak samo jak ludzie, ale kiedy wreszcie osiągają dojrzałość, proces starzenia się zwalnia do jednej dziesiątej ludzkiego wieku. Ostatnim słupkiem milowym na drodze do dorosłości Prawdziwie Urodzonego są: niemożność utrwalania swojego wizerunku na zdjęciach i utrata odbicia w lustrze, a na koniec umiejętność stwarzania nieumarłych poprzez ugryzienie. Śmiertelność niemowląt jest nadal bardzo wysoka wśród Prawdziwie Urodzonych, a każda ciąża stanowi zagrożenie dla matki. Postęp w dziedzinie pediatrii to stosunkowo nowe zjawisko. Niestety, może w ich przypadku nie spełnić pokładanych w niej nadziei.

### ***Prawo Krwi***

Zdolność do kontrolowania wszystkich nieumarłych stworzonych przez członków jednego rodu nazywa się prawem krwi. Najstarsze wampiry posiadające taką umiejętność istnieją od czasów starożytnego Sumeru. Kiedy odchodzi przywódca wampirzej rodziny, przekazuje dziedzictwo wyznaczonemu spadkobiercy, który z umierającego patriarchy (głową rodu może być również kobieta) musi wysać całą krew, zmieniając jego ciało w popiół. W ten sposób wampir w wieku zaledwie stu lat (a nawet i młodszy) może kontrolować rzesze nieumarłych. Dziedzic zyskuje również prawo do władzy nad istotami ludzkimi, które pozostawały pod silnym wpływem jego rodzica. Gdy w bezpośrednim starciu jeden z wampirów wygra pojedynek, może pozbawić przegranego dziedzictwa, robiąc z niego wasala. Z prawem krwi wiążą się również szczególne moce.

### ***Prywatna Piwniczka***

Krew „wykonana na zamówienie”, zgodnie z gustem klienta.

### ***Przywoływacz Burz***

Prawdziwie Urodzony, który potrafi przywoływać błyskawice, burze śnieżne, tornada i tym

podobne zjawiska. Wszystkie wampiry w jakimś stopniu mają magiczne umiejętności, rzadko jednak zdarza się taki, który ma władzę nad siłami natury. Przeciężny wampir potrafi przywołać tylko gęstą mgłę lub mżawkę.

### *Pustaki*

Dawcy wyszani z krwi.

### *Skasowany*

Wampir, któremu odebrano prawo krwi, jest „skasowany”. Ma do wyboru: albo zostać wasalem tego, który uzurpuje sobie prawo do jego dziedzictwa i służyć mu w zamian za opiekę; albo zacząć wszystko od początku jako Nowa Krew. Może też wykładać na jednej z prywatnych uczelni dla wampirów.

### *Skrytorium*

Podziemny bunkier, który stanowi połączenie archiwum i biblioteki, gdzie przechowywane są dokumenty prawne, pamiętniki, drzewa genealogiczne i inne zapisy wampirzej rasy. To tutaj skrybowie ręcznie przepisują istotne dokumenty.

### *Skrzepy*

Jeśli potrzebne jest wam pogardliwe określenie na człowieka, możecie nazywać go skrzepem.



## *Slumsowanie*

Wycieczka w rejony, gdzie mieszkają męty społeczności ludzkiej, w celu pożywienia się nimi lub ich postraszenia.

## *Słaba Krew*

Wampiry uznawane za podrzędne niezdolne do przejęcia rodzinnego prawa krwi są uważane za osobniki słabej krwi. Kiedy pojawia się więcej niż jedno dziecko, głowa rodziny musi zdecydować, które z potomstwa najlepiej się nadaje do objęcia dziedzictwa. Rodzice wysoko sobie cenią agresywność, siłę fizyczną i wytrzymałość oraz rozmaite nadnaturalne moce. To piskłę, które zostanie uznane za najsilniejsze — a zatem najlepiej przygotowane do chronienia rodzinnego prawa krwi przed uzurpatorami — zostaje uznane za następcę, a pozostałe za słabą krew. Rodzeństwo o słabej krwi, rodzone lub przyrodnie, przez resztę życia będzie wspierać dziedzica. Małżeństwo i prokreacja są im zabronione (przynajmniej z innymi wampirami). A kiedy nadchodzi ich czas, muszą oddać własną krew — oraz wszystkich nieumarłych i cały nagromadzony przez stulecia majątek -albo rodzeństwu silnej krwi, albo jego potomstwu. Wampira słabej krwi od obowiązku zwalniają jedynie dwa wydarzenia: kiedy wyznaczony dziedzic ginie przed przekazaniem mu prawa krwi lub

gdy dwie rodziny pragną scementować władzę poprzez małżeństwo dzieci słabej i silnej krwi.

### *Stara Krew*

Są to wampiry Prawdziwie Urodzone o długiej i nienaruszonej linii prawa krwi, w niektórych przypadkach ich korzenie sięgają demonicznych przodków. Wampiry Starej Krwi mają na swoich usługach legiony nieumarłych i dysponują mocami, dzięki którym mogą przywoływać burze, panować nad zwierzętami, przyjmować różne postaci i kontrolować umysły innych. Mają również pewne wrodzone umiejętności magiczne, które pozwalają im rzucać zaklęcia i wytwarzać tajemne mikstury.

### *Staroc*

W Słangu Nowej Krwi - Stara Krew.

### *Strega*

Stowarzyszenie przestępcze istot posiadających nadludzkie moce, które wywodzi się ze starożytnego Rzymu i Grecji. Chociaż założyły i prowadzą je wampiry, skupia również czarownice, wilkołaki i rozmaite inne nadprzyrodzone stworzenia. Chodzą słuchy, że Strega sprzeda swoje usługi każdemu, kto zapłaci godziwą cenę -włącznie z ludźmi.

### *Synod*

Ciało zarządzające, które pilnuje przestrzegania praw i zwyczajów wampirów Prawdziwie Urodzonych. Synodowi przewodzi Lord Kanclerz, który pełni funkcję nadrzędnego sędziego. Rozstrzyga spory między rodami. Odpowiada też za wyznaczanie kar dla tych, którzy łamią prawo wampirów. Najcięższymi występkami są te, które narażają te istoty na ujawnienie całemu światu ich istnienia. I nie ma znaczenia, czy jest to świadome działanie, zaniedbanie czy przypadek.

### *Totentanz, Taniec Śmierci*

Wampirzy odpowiednik pogrzebu przypomina irlandzki zwyczaj czuwania przy zwłokach. Po śmierci wampira jego przyjaciele i krewni zbierają się na stypę, na której uczują i tańczą, tak jakby chcieli zaprzeczyć śmierci. Żałoba i lzy są zabronione. Im dłużej trwa impreza, tym większy szacunek okazany zmarłemu. W dawnych czasach Totentanz mógł trwać tygodniami, a nawet miesiącami.

### *Uzurpator*

Wampir, który przejął prawo krwi. Chociaż uzurpatorem może być osoba z tej samej rodziny, na przykład młodsze rodzeństwo czy kuzyni, częściej jest to ktoś niespokrewniony z ofiarą.

### *Uzurpowac*

Przejmować siłą prawo krwi innego wampira. Odbywa się podczas walki, kiedy silniejszy osobnik wysysie całą krew z przeciwnika lub wyrwie mu z piersi serce i je pożre.

### *Van Helsingowie*

Slangowe określenie łowców wampirów, a zwłaszcza tych, którzy pracują dla Instytutu Van Helsinga (IVH).

### *Wasal*

Wampir, którego prawo krwi zostało uzurpowane i który złożył przysięgę lenną; w zamian otrzymał ochronę i możliwość późniejszego wżenienia się w rodzinę, która odebrała mu prawo krwi.

### *Wendetta*

Zatarg w kwestiach prawa krwi między indywidualnymi wampirami lub całymi rodzinami. Wendettę najczęściej prowadzą zazdrośni rywale, skasowane wampiry i pozbawione prawa krwi, ale pragnące je odzyskać. Porzuceni kochankowie lub zawiedzeni przyjaciele.

### *Z Gwinta*

Slangowe określenie na picie krwi prosto z żyły.

### *Założyciele*

Było trzynastu Założycieli współczesnej rasy wampirów. Obecnie ich potomkowie czczą swych przodków jako istoty półboskie. Założyciele byli demonami przypominającymi nietoperze, zrodzonymi w piekle. Przywołał je ponad dwadzieścia tysięcy lat temu pewien czarownik. Kędy zmarł, demony przekonały się, że na stałe utkwily w śmiertelnym świecie. Początkowo była ich setka, ale demony szybko zaczęły ze sobą walczyć, żeby objąć władzę nad nową krainą. Kiedy pozostało ich tylko trzynaście, zawarły rozejm i rozproszyły się po różnych zakątkach ziemskiego globu, nadal jednak współzawodniczyły ze sobą.

### *Zniewoleniec*

Żywy człowiek, który znajduje się pod kontrolą wampira. Nie wszyscy zniewolenicy zdają sobie sprawę z własnego stanu. Mogą pełnić różne funkcje, od zwykłej służby potrzebnej w ciągu dnia, po polityków, głowy państw, duchownych i finansistów.

### *Związani*

Sytuacja wampirów „związanych” ze sobą odpowiada mniej więcej ludzkiemu małżeństwu. Wampiry łączą się stosunkowo w młodym wie-

ku, chociaż najlepsze lata na rozmnażanie przypadają między setnym a trzysta pięćdziesiątym rokiem życia. Poród dla wampirzyc jest bardzo niebezpieczny i wiele z nich umiera w porożu. Cięża mnogie są rzadkością. Niewielu wampirzycom udaje się urodzić więcej niż dwoje dzieci. Oczywiście, większość wampirów płci męskiej po śmierci partnerki żeni się ponownie i płodzi więcej dzieci. Małżeństwa wampirów Starej Krwi są aranżowane pomiędzy głowami rodzin i służą rozbudowywaniu wpływów i władzy.